

KAPUSCIŃSKIM: CATALUCCIO KONTRA KURKIEWICZ • JANOWSKA KONTRA DOMOSŁAWSKI

**PRZE
KROJ**

NR 9/33 5 / 2 MARCA 2010 / CENA 4,95 ZŁ

W TYM 79% VAT

MAGICY od SERCA

SIKORSKI
MÓWI NAJSZTUBOWI:
BĘDĘ PREZYDENTEM
LIGHT >24

JERZY PILCH
O PIĘKNYM
ROZMIARZE >74



www.kler.eu SALONY I STOISKA FIRMOWE: Białystok 085 664 90 07, Bielsko-Biała 033 498 71 04, Bydgoszcz 052 373 59 77, Częstochowa 034 368 34 47, Gdańsk 058 520 38 03, Gdynia 058 522 60 96, Gliwice 032 279 48 05, Gorzów Wlkp. 095 728 82 83, Jarosław 016 621 04 02, Jelenia Góra 075 647 24 31, Katowice 032 256 61 97, Kielce 041 334 00 06-07, Koszalin 094 347 32 35, Kraków 012 266 38 43, Lublin 081 746 59 09, Lubin 076 724 60 36, Łódź 042 672 46 20, Nowy Sącz 018 547 68 13, Nowy Targ 018 264 10 42, Olsztyn 089 539 04 80, Opole 077 403 01 50, Ostrow Wlkp. 062 735 60 17, Poznań-Komorniki 061 893 50 71, Poznań-Swarzędz 061 815 93 69, Racibórz 032 415 07 78, Radom 048 365 57 37, Rybnik 032 423 39 02, Rzeszów 017 850 29 80, Szczecin 091 461 34 67, Toruń 056 678 75 71, Warszawa: 022 894 35 61, 022 771 21 90, 022 654 64 04, 022 611 34 49, Wrocław: 071 359 09 74, 071 390 19 22, Zielona Góra 068 329 03 06, SALONY I STOISKA AUTORYZOWANE: Belchatów 044 632 87 22, Krosno 013 437 25 04, Sochaczew 046 861 91 21, Stalowa Wola 015 843 28 41, Warszawa 022 638 08 77, BELGIA: Bruksela +352/56755011, USA: Chicago 1/773/7889700, KANADA: Toronto 1/905/8290088.



TYLKO DO 31.03 PRZY ZAKUPIE MEBLI ATRAKCYJNY PREZENT DO WYBORU

MARCOWE BONUSY KLER

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU O KIM NIE PISZEMY...

...o Mirosławie Drzewieckim.

Bo co mielibyśmy napisać? Że dopóty Miro być ministrem, dopóki Polska być wery fajna zielona wyspa z tysiącem i jeden orlików, a jak Miro przestać być ministrem i wyjechać z wyspy na półwysep, to Polska od razu stać się dziki kraj?

...o Baracku Obamie i jego udziale w sześciogodzinnej debacie telewizyjnej na temat reformy służby zdrowia. Nie piszemy, żeby nie wyszło na jaw, że teraz medialnym guru nowej ikony popkultury staje się stara ikona – Fidel Castro.

...o Włodzimirze Żyrynowskim

i jego żądaniu zniesienia zakazu klonowania ludzi. Uzasadnienie wnioskodawcy: trzeba skłonić mądrych ludzi. Jako pierwszego – Żyrynowskiego. A nie piszemy, żeby nie inspirować naszych mądrych.

...o Ilonie Felicjańskiej i jej

rajdowych wyczynach pod wpływem na stołecznym Ursynowie. Żeby nie pisać o ogromnej fali solidarności ponad podziałami, jaka porywa za sobą nawet najdalsze kręgi twórców. Solidarności z błądzącą

pod wpływem. Już nie będzie wątpliwości, skąd wzięła się solidarność?

...o brytyjskim dziennikarzu

Jimie Murrayu, który od 1992 roku pisze tylko o whisky. To jeszcze nie powód, by o nim nie pisać. Ale dziennikarz w ogóle się nie całuje ani nie uprawia seksu (by nie złać łamiącego karierę kataru). Powód do niepisania już więc jest. A jeszcze lepszy jest taki, że Murray przyjechał do Polski szkolić kolegów po fachu – od profilaktyki antykararowej.

– ju

PRZE KROJ

- 4 | Ludzie listy piszą
- 6 | Świat według „Przekroju”
Janowskiej i Orbita „Przekroju”
Rymanowskiego
- 8 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

- 10 | Kurkiewicz i Cataluccio
o głośnej biografii „Kapuściński
non-fiction”
- 14 | Janowska pyta Domosławskiego
o Kapuścińskiego
- 18 | W Zielonej Górze gwałciciel
grasował, w Krośnie Odrzańskim
go sobie wymyślili
- 21 | Grecy protestują, bo Europa
nie chce im pomóc
- 22 | Fala samobójstw w Azji

SYLWETKA

- 24 | Sikorski obiecuje Najsztabowi
prezydenturę w wersji fitness
- 28 | Falszerz i Anioł, przestępca
i dobroczyńca
- 32 | Gorillaz – doskonałość
z Plastikowej Wyspy
- 34 | Teczeki i Skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

- 36 | Naprawiacze dziecięcych serc
- 41 | TEDx w Warszawie. Wiedza
gratis
- 42 | A źródłem grawitacji jest...
informacja. O nowej teorii
- 45 | Też pytanie!
- 46 | Przetestuj się z nami

KULTURA

- 48 | Film: „Alicja w krainie czarów”
cały czas miesza
- 52 | Książka: Iwaszkiewicz rozpacz
podszty
- 53 | Muzyka: Peter Gabriel zaskoczył
- 56 | Gry: Jeśli chcesz się przestraszyć
- 57 | Film: Rozmawiamy z czekającą
na Oscara Lone Scherfig
- 58 | Film: Fantastyczny „Liban”
- 60 | Lektura: Dumala o przemijaniu

OTWÓRZ OCZY

- 64 | Tim Burton: nie tylko reżyser
- ZAWSZE W PRZEKROJU
- 51 | Czwarta strona kultury Bartka
Chacińskiego
- 70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką
i felietonami
- 73 | Stopklatka
- 74 | Dziennik Pilcha
- 70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

O wysokich kosztach
Roku Chopinowskiego:
trudno, trzeba płacić fryckowe.

100-lecie Eilego

W styczniu 2010 roku minęła setna rocznica urodzin twórcy i pierwszego redaktora naczelnego „Przekroju” (1945–1969) Mariana Eilego. Z tej okazji ukazało się parę publikacji poświęconych Redaktorowi, m.in. Jana Pieszcachowicza „Arcyapostół cywilizacji »Przekroju«”, „Przekrój” nr 1/2010. Wspomina się zalety i wady tego twórcy „Przekroju”. O jednej tylko zalecie zapomniano – skromności. Przez 24 lata redagowania „Przekroju” nie ukazała się chyba ani jedna fotografia Redaktora Eilego. Niektórzy nawet mieli wątpliwości, czy jest taki Marian Eile. Obecnie w większości gazet i czasopism przy tekstach publikowane są fotografie ich autorów, często codziennie. A przecież nie każda „buzia” nadaje się do publikacji, ujawniając np. mało inteligentny wyraz twarzy.

Pozdrawiam, Czesław Żyliński

Gdzie się podział Mischczak człowiek?

Jestem absolutnie wstrząśnięta rozmową z Edwardem Mischczakiem zamieszczoną w ostatnim numerze „Przekroju”. O czym obaj panowie rozmawiają? W jakim świecie żyją? I kogo obchodzą przemyślenia dobrego niegdyś dziennikarza, według którego ludzie żyją tylko wtedy, gdy w rękę dzierżą pilota do telewizora? A myślącymi widzami są oczywiście tylko wtedy, gdy po ciemku i bez namysłu włączają jego macierzystą stację TVN. Pamiętam jeszcze wywiady, jakich Edward Mischczak udzielał w czasie, gdy zakładał Radio RMF, i później, gdy przeszedł do TVN-u. Pamiętam jego program „Urzekła mnie twoja historia”, który tytuł miał nieco pretensjonalny, ale pochylał się nad ludźmi. Edward Mischczak był wtedy jeszcze dziennikarzem, który chciał opowiadać o otaczającym go świecie i jego mieszkańcach. Lubił powtarzać, że nad

każdym człowiekiem trzeba się z czułością pochylić i odkryć jego historię. I pamiętam, że w wywiadach chętnie się chwalił, że pracuje z fantastycznymi młodymi ludźmi. Chętnie wymieniał nazwiska Drzyzgi, Rymanowskiego i Wrony i opowiadał o ich talentach. To były jego dzieci, które nauczył dziennikarskiego fachu, zabrał z Krakowa do Warszawy i zrobił z nich prawdziwe gwiazdy. Dziś Mischczak mówi jedynie o technologicznych nowinkach, które sprawiają, że człowiek będzie wreszcie mógł wyrwać się z „pogardzanej telewizyjnej masy” (to cytaty) i stanie się świadomym telewizorem. Mischczak sprawia wrażenie, jakby całym jego światem były telewizja i jej fantastyczne możliwości. A ja tęsknię za dawnym dziennikarzem, dla którego centrum świata był zawsze człowiek.

Regina Kostrzewa, Kraków

Prześwietna Redakcja,

dziękuję za fascynujący wywiad z panem Edwardem Mischczakiem. Szczególnie wzruszył mnie fragment poświęcony nowemu wspaniałemu trybowi kontaktu ze światem, który zachwala dyrektor TVN: „A VoD co mi daje? Idę do toalety i nie rozkładam »Polityki« ani »Przekroju«, tylko biorę sobie na kolana kompa”. Rety! A co, jeśli komp spadnie z kolan na toaletowe marmury? A jeśli to komp służbowy? TVN poniesie jednak stratę i nie będzie mógł wyprodukować któregoś z setek kulturalnych i do szpiku kości misyjnych programów, z których go znamy od lat. Może niech pan dyrektor zostanie jednak przy „Przekroju” (albo „Polityce”).

Łączę ukłony, Antoni Pradera

KOMENTARZE INTERNAUTÓW

...do tekstu „Uśmiech Kapuścińskiego” Katarzyny Janowskiej z „Przekroju” nr 8/2010

„Przekrój” to nie wybiórca

Szkoda, że taka trzeźwość i obiektywność myślenia jak u p. Janowskiej dostępna jest tak nielicznym. (...) Dla mnie Kapuściński nadal pozostaje wielkim pisarzem i filozofem, może nawet mniej reporterem.

– Piotr 2010.02.25 20:32

Dobry artykuł

Gratuluje Pani Janowskiej sensownego, wyważonego artykułu. Kapuściński był, jaki był, ale dużo po sobie zostawił. A że czasem prawdę upiększył czy trochę podkoloryzował... Jak to mówił baba: „Jest prawda, święto prawda

i g... prawda”. Naoczni świadkowie z reguły pamiętają te same wydarzenia inaczej. (...)

– Fizyczny 2010.02.25 11:03

MW

Twórca POLSKIEGO REPORTAŻU Melchior Wańkowicz wielokrotnie powtarzał, że ludzie, sytuacje są zlepione z wielu doświadczeń.

– Jacek 2010.02.25 10:21

Dajcie spokój Domosławskiemu

Człowiek wykonał kawał fantastycznej roboty, przekopał się przez tony materiałów, rozmawiał ze wszystkimi, z którymi powinien był rozmawiać. Opisał nie swoje

Lepiej dmuchać na zimne

Nie rozumiem świętego oburzenia dziennikarki, która pisze o dzieciach odbieranych rodzicom przez norweski urząd ochrony praw dziecka Barnevernet. „Tak bezlitośni, że aż bezduszni” – mówi o urzędnikach, przyznając równocześnie, że ten brak litości dotyka głównie rodziców niewydolnych wychowawczo. Czyli takich, którzy dziecka nie potrafią dopilnować, nie potrafią się nim zająć. I zawsze – przyznaje dziennikarka – zanim dojdzie do zagrożenia zdrowia lub życia.

Tak właśnie w krajach, które naprawdę dbają o swoich najmłodszych, przeciwdziała się patologiom w rodzinie. Czy autorce artykułu „Złodzieje dzieci” bardziej podoba się system polski, gdzie urzędnicy wkraczają na scenę dopiero wtedy, gdy dziecko dotkliwie pobite ląduje w szpitalu, a jego opiekunowie w areszcie?

Naprawdę lepiej jest dmuchać na zimne. Lepiej jest pomylić się sto razy i zabrać dziecko „wydolnym wychowawczo” rodzicom, niż raz czekać z działaniem zbyt długo.

Z poważaniem, Anna Wielicka

przekroj.pl

CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETU

„Przekroju” szukaj też w serwisach Facebook (jako facebook.com/przekroj), MySpace (pod adresem myspace.com/przekroj), Blip (przekroj.blip.pl) i Twitter (twitter.com/przekroj_pl). Aby dostawać co tydzień newsletter informujący o zmianach na przekroj.pl, wystarczy zapisać się na naszej stronie lub wysłać wiadomość o temacie „Zamawiam” na adres newsletter@przekroj.pl.



Jedź przez życie w wielkim stylu.

Klasa B. Przestronność. Sportowa sylwetka. Bezpieczeństwo.



Zalecam oleje Mobil

Mercedes-Benz

Klasa B 180 CDI już od

99 900 zł brutto

105%

to całkowity koszt umowy leasingowej w ofercie Mercedes-Benz Leasing na Klasę B. Brak opłaty administracyjnej, minimalna wpłata od 25% wartości pojazdu, czas trwania umowy 24 lub 36 miesięcy.

Możliwość odliczenia VAT

Mercedes-Benz BusinessCars

Usiądź za kierownicą Klasy B, odkryj idealne połączenie przestronnego wnętrza, komfortu i bezpieczeństwa, a wszystko to w samochodzie o sportowej linii i kompaktowych wymiarach. Jeszcze większe wrażenie zrobisz zamawiając opcjonalne Pakiety Sport lub Chrom, które tylko teraz dostępne są w cenie 2900 zł. Pakiety obejmują m.in. skórzaną kierownicę i gałkę zmiany biegów, obręcze kół ze stopu metali lekkich, chromowane elementy wykończenia oraz radio Audio 20 CD. Szukasz oszczędnego samochodu dla swojej firmy? Idealnym rozwiązaniem będzie Klasa B z pakietem rozwiązań ekologicznych BlueEFFICIENCY, który pozwala na obniżenie zużycia paliwa i kosztów eksploatacji. Klasa B dostępna jest także w ofercie kredytu 50/50 Mercedes-Benz Bank. Klasa B 180 CDI: 5,2 l/100 km, emisja CO₂ 137 g/km. O szczegóły pytaj w salonie. www.mercedes-benz.pl



Na szczytach panuje chaos

Co się dzieje, gdy reżyserzy zaczynają błądzić poza teatrem?

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

MORITZ MEISTER, BOHATER SPEKTAKLU KRYSTIANA LUPY SPRZED KILKU lat „Na szczytach panuje cisza”, to żalosny kabotyn, który uwierzył w swój geniusz. Właśnie zakończył opus magnum, wielką tetralogię, monumentalne, wielostronicowe pustosłowie. Jego wydawca czyta bełkotliwe dziełko i wydaje wyrok: dzieło jest genialne. Spektakl według Thomasa Bernharda podczyty był odważną autorefleksją reżysera, który nie chce zastępować w pozie mistrza.

Czas wyjść z teatru, grzebać tam, gdzie jeszcze reżyserzy teatralni się nie zapuszczali – zdawał się mówić Lupa, kiedy zapraszał widzów na spektakle „Factory 2”, czyli opowieści o fabryce Andy’ego Warhola. W spektaklu zaciera się granice między improwizacją a teatralną robotą, tekstem a nic nieznaczącym gadaniem. Jest kreator, Warhol, a może po prostu reżyser, który manipuluje aktorami i ich prywatnością. Wielogodzinny spektakl czasami chwyta za gardło, a momentami się rozłazi i nudzi. Ale wiemy, że to eksperyment. Szukanie wyjścia z pułapki przećwiczonego już wielokrotnie mistrzostwa.

Za Lupą idą inni. Krzysztof Warlikowski pokazuje „(A)pollonię”. Spektakl o sensie ofiary składa sam z różnych tekstów od Ajschylosa po Hannę Krall, miesza plany czasowe, stylistyki. Powstaje widowisko rozbite na sceny o różnej mocy rażenia. Ale mistrzowie mają prawo do poszukiwań. Fala się rozlewa. Za mistrzami próbują podążać naśladowcy, ich asystenci, a za nimi asystenci asystentów. Bohaterem najnowszego spektaklu Krystiana Lupy „Persona. Simone Weil” jest reżyser, który przypomina samego Lupe. Ale czuje się, że to tylko kopia mistrza. W pewnym momencie bohater rozbrajająco przyznaje, że nie wie, co powiedzieć aktorom, bo nie wie, o co mu chodzi. To wyznanie kopii czy mistrza? Na szczytach zaczyna panować chaos.

W „Personie. Simone Weil” Krystiana Lupy miała zagrać Maja Komorowska. Któż lepiej niż aktorka znana ze swojej religijności nadaje się do roli francuskiej myślicielki i religijnej maksymalistki? Komorowska jednak odmawia. Może nie chce, aby jej prywatność stała się elementem roli, może wolałaby pracować na konkretnym tekście, a nie na podstawie luźnych uwag reżysera, może wolałaby próby zamiast niekończących się dyskusji? Na pewno tego chciała Joanna Szczepkowska, która ostatecznie zagrała Simone Weil. Prowokatorka od lat głośno upominająca się o teatr oparty na rzemiośle podczas premiery na krótką chwilę wychodzi z roli i pokazuje cztery litery. „Persona. Simone Weil” Lupy dzięki między innymi wspaniałej Małgorzacie Braunek i Joannie Szczepkowskiej chwilami się udaje. Ale nie ma siły jego dawnych spektakli: „Braci Karamazow”, „Lunatyków” czy „Wymazywania”. Wierżgnięcie Szczepkowskiej, z którą Krystian Lupa jednak się rozstał, miał zresztą do tego święte prawo, odczytuje jak krzyk: mistrzowie, eksperymenty czas skończyć! Wracajcie do teatru.



Herbert i Kapuściński – żywoty równoległe

Łączą ich książki, dzielą życiorysy

BOGDAN RYMANOWSKI

PRZYSZLI NA ŚWIAT NA KRESACH WSCHODNICH II RZECZYPOSPOLITEJ. Pierwszy urodził się w 1924 roku we Lwowie, drugi osiem lat później w Pińsku. Obaj zmarli w Warszawie. Pierwszy w 1998 roku, drugi dziewięć lat później. Zbigniew Herbert miał 74 lata, Ryszard Kapuściński – 75 lat. Żyli prawie równoległe. Pierwszy był wielkim poetą, drugi wybitnym pisarzem.

W 1983 roku, kiedy miałem 16 lat, z bijącym sercem pochłaniałem książki ich obu. Czytelnik wypuścił właśnie „Szachin-szacha”. Wczytywałem się w opis irańskiej rewolucji i widziałem w nim Polskę sprzed zaledwie kilkunastu miesięcy. W tym samym czasie udało mi się zdobyć wydany w podziemiu „Raport z obłożonego miasta”. Wierszy uczyłem się na pamięć. Poza szkolną jazdą obowiązkową nie przytrafiło mi się to nigdy wcześniej ani później.

Kiedy więc czytam biografie „Kapuściński non-fiction” Artura Domosławskiego, nie mogę oprzeć się pokusie porównania. Kapuściński przez 30 lat był lojalnym członkiem PZPR, a w Komitecie Centralnym miał tak możnych przyjaciół jak Ryszard Frelek. Jako dziennikarz PAP-u współpracował z wywiadem PRL-u, sporządzając raporty, z których jeden miał charakter donosu. Gdyby nie romans z partią, nigdy nie napisałby tylu wspaniałych książek.

Herbert na komunizm był impregnowany. Nie miał złudzeń co do tego, jaki charakter ma system narzucony przez ZSRR. Nigdy z nim nie flirtował. Żeby dostać paszport, spotykał się z funkcjonariuszami SB. Jednak – jak sam wspominał – „gdy zaczął się Kafka”, zwał i nie stawiał się na kolejne przesłuchanie. Do końca PRL-u żył ze świadomością, że „władza wyprowadzona w pole nie da mu spokoju”.

Od czasu do czasu dzieci pytają mnie: „Tato, a ten pan był dobry czy zły?”. Nie mam wtedy żadnych szans na owijanie w bawełnę. Co powiem, gdy zapytają o Kapuścińskiego? Pewnie wyciągnę Ewangelię i zacytuję: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiacie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone”. Jednak chwilę później sięgnę po Herberta i jego „Potęgę smaku”. „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru/nasza odmowa niezgoda i upór/mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi/lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku/w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia”.

Autor jest dziennikarzem TVN24

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile
Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślinska, Piotr Kossobudzki
Jacek Ziemiński **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner (wicedy. art.), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
Szczechpański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolik, Marek Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński i Bartek Chaciński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz **DYREKTOR WYDAWNICTWA:** Barbara Stanisławczyk **PROMOCCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorpowa tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń tel. 22 525 99 50, Beata Drogońska tel. 22 525 99 51, Eliza Zymorska tel. 22 525 99 52, Izabela Cieniuszek tel. 22 525 99 15 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciążek **DRUK:** RR Donnelley **PRENUMERATA:** PRZEZ
WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47A, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mail: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji i Listach.
tel. 22 525 99 69 **PRZEZ RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.poj.pl

PRZE
KROJ

JUŻ 9 MARCA SPECJALNY EKOLOGICZNY „PRZEKRÓJ”

W numerze między innymi:

- Ekotycie to luksus
- Czy koniec ery ropy oznacza koniec lotnictwa?
- Paliwa z łąk pól i sadzawek
- Szklane zielone domy, czyli ekologia w architekturze



SZUKAJ „PRZEKROJU” Z ZIELONYM LOGO!

KRÓTKO

PODWÓJNE BIO SIKORSKIEGO

Jeden procent dla kultury

Twórcy szukają pieniędzy u premiera

MOŻLIWOŚĆ PRZEKAZYWANIA jednego procentu naszych podatków na cele kulturalne i przeznaczania na kulturę minimum jednego procentu budżetu to niektóre postulaty środowiska twórców. W apelu do premiera Donalda Tuska argumentują, że „kultura podnosi kapitał intelektualny” obywateli, a tymczasem wydatki na nią spadają. Pod apelem podpisało się ponad 400 najwybitniejszych polskich twórców. Apel znajduje się na stronie Forumsztukiwspolczesnej.blogspot.com, podpis można zgłosić pod adresem obywatele.kultury@gmail.com. – *fieda*

Plebania na diecie

Gospodyni zmniejszy brzuch proboszcza

OD 8 MARCA PRZEZ TRZY dni w Diecezjalnym Domu Rekolekcyjnym w Ciężkowicach koło Tarnowa 65 zakonnic oraz gospodyń weźmie udział w rekolekcjach oraz nauczy się szykować przyjęcia na plebaniach, zdobić dania, obsługiwać gości, a przede wszystkim gotować księżom zdrowo i dietetycznie. – Bo wbrew wyobrażeniom parafian proboszcz nie musi być brzuchaty – mówi pomysłodawca zajęć ksiądz doktor Robert Biel z kurii diecezjalnej w Tarnowie. Przed wakacjami, które zwykle obfitują w śluby, chce szkolić kościelne florystki. – *aj*

Łyżką w mur

Oni potrafią posługiwać się sztućcami

Z WIEZIENIA W HOLENDERSKIEJ Bredzie 35-letnia więźniarka uciekła przez tunel, który wykopała łyżką w piwnicy pod więzienną kuchnią. Kobieta spędziła za kratkami pół życia – odsiadywała 18 lat kary, do końca zostało jej kilkanaście miesięcy. W tym czasie 350 kilometrów na wschód, w niemieckim Bielefeld, 33-letni Niemiec korzystał z łyżki, by poruszać się w odwrotnym kierunku. Przemykał się do więzienia, po czym wytrychem zrobionym z łyżki otwierał cele, w której czekała jego dziewczyna. Wychodził przed świtem. Kochanka schwytano, gdy doniosły o nim zazdrośne więźniarki. – *syl*

Ostry protest z wieszaniem stron

Jedzenie przeciw rasizmowi 17 TYSIĘCY OSÓB W 400 HINDUSKICH restauracjach Australii zjadło 24 lutego ostre curry vindaloo. W tej formie zaprezentowali protest przeciw atakom na studentów z Indii. W ciągu roku w Australii kilkunastu Hindusów brutalnie pobito, a miesiąc temu w Melbourne ktoś zakatował na śmierć studenta z Pendżabu. Podczas protestu strony internetowe restauracji dostarczających curry do domów były tak przeciążone zamówieniami, że zawieszały się i czasowo je zamykano. – *rk*

WYŁĘŻ WZROK



1200 par Parka

Oto, co znaleźli seulscy funkcjonariusze w mieszkaniu 59-letniego mężczyzny o dość powszechnym w Korei Południowej nazwisku Park. 1200 par pantofli luksusowych marek. Według policji Park kradł je przez lata w przyszpitalnych domach pogrzebowych, a potem magazynował w szopie i od czasu do czasu próbował sprzedawać je na ulicy. Policja chce go postawić przed sądem za kradzież, ale przedtem będzie musiała pójść tropem każdego buta. – *raf*

HYDROLOGIA IGOR RYCIĄK

Tama w rękach opatrności

Spietrzone wody wielkiej odwilży napierają. Zapora wodna we Włocławku może runąć

LICHA KONSTRUKCJA WŁOCŁAWSKIEJ TAMY na Wiśle ma 40 lat, 43 kilometry długości i 3 szerokości. Tegoroczna zima skuła rozlane przed nią jezioro taflą lodu tak, że mogą po nim jeździć ciężarówki. Wiosna skieruje na tamę masy wody z całego zlewiska Wisły. Nikt nie wie, jak długo wytrzyma. – W dodatku woda spada z tamy ze zbyt dużej wysokości i wymywa dno. Teraz jest ono o trzy metry niższe niż 40 lat temu – tłumaczy Stanisław Murawski, szef Stowarzyszenia na rzecz Budowy Drugiego Stopnia na Wiśle. – Fundamenty są przez to mniej stabilne. Tama może runąć.

Może więc wylać wodę z zalewu, a potem rozebrać tamę? – Dno jeziora to składowisko trucizn niesionych latami przez rzekę. Spuszczając wodę, zatrujemy Bałtyk – oponuje Murawski.

Gdyby tama runęła, ściana wody zalałaby teren zamieszkały przez 320 tysięcy osób, czyli niżej położoną część Torunia, Nieszawę, Ciechocinek, a przede wszystkim Włocławek. – W sprawie tamy nic nie zależy od nas – rozkłada ręce Monika Budziniusz, rzecznik prezydenta Włocławka. – Od 10 lat korespondujemy z Ministerstwem Środowiska i różnymi urzędami.

Tama bowiem zarządzana jest z Warszawy. – Wkrótce będzie większy rezerwuuar.

mont, bo mamy unijną dotację – wyjaśnia Dariusz Bogacz ze stołecznego Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej. – W sumie pochłonie to ponad 150 milionów złotych. Trwa etap przetargów. – Czas upływa. Stan obiektu będzie się pogarszał, a nie polepszał – mówi Edmund Sieński, szef Ośrodka Technicznej Kontroli Zapór. – Tamie dają trójkę. No, z małym plusem.

Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej i koncern energetyczny Energa podpisały w zeszłym roku list intencyjny w sprawie budowy drugiego stopnia wodnego. Ma powstać za 2,5 miliarda złotych w okolicach Nieszawy i przez podniesienie poziomu wody odciążyć zapórę. – Nie odciąży, bo to chroniony programem obszar Natura 2000 Dolina Dolnej Wisły. Unia Europejska nie zgodzi się na nową tamę, jak nie zgodziła się na szosę w Dolinie Rospudy – ucina Przemysław Nawrocki, lider projektu „Rzeki dla życia” przy organizacji ekologicznej WWF.

Na razie w miejscowościach poniżej zapory wiszą głośnieki.

W kwietniu 2007 roku włączył się alarm – prawdopodobnie po uderzeniu pioruna. Po przeraźliwym wyciu syreny i komunikatach „Awaria tamy, proszę się ewakuować” dwie osoby zaszły, a jedna dostała zawału.



Rok przynosi Off Festival

ZAMIANA KIJA NA SIEKIERKĘ

NAPIERW W POŁOWIE LUTEGO PREZYDENT MYSŁOWIC zdecydował o wyłączeniu latarni na ulicach, przy których mieszkają radni opozycji. Oficjalnie – w ramach oszczędności. Radni odpłacili mu pięknym za nadobne i nie pozwolili zaciągnąć kredytu na dofinansowanie najważniejszej imprezy kulturalnej w mieście i jednej z najznakomitszych w regionie. „Naiwnie wierząc, że jestem w stanie pogodzić zwaśnionych z prezydentem radnych, regularnie pojawiałem się na sesjach rady miasta i przekonywałem ich do wartości, jaką Off Festival daje miastu. Polityczne ambicje, kłótnie i brak wyobraźni były jednak silniejsze niż dbałość o społeczny wymiar organizowanej w Mysłowicach imprezy” – czytamy w oświadczeniu [Artura Rojka], dyrektora artystycznego Off Festivalu.

Impreza musiała szukać nowej lokalizacji. Na to czekały Katowice (a nieoficjalnie wiadomo,



To nie sesja rady miejskiej, to publiczność hardcore'owej grupy Fucked Up podczas Off Festivalu

że także parę innych miast), które przywitały Rojka z otwartymi ramionami. Przy okazji jest to zamiana kija na siekierkę, bo Katowice dorzucą do festiwalowej kasy 2 miliony złotych zamiast 300 tysięcy, o które wzięli się za łby w Mysłowicach. W stolicy Śląska już ruszyły przygotowania do piątej edycji Off Festivalu, który odbędzie się w dniach 5–8 sierpnia. W Mysłowicach zaś trwa kampania wyborcza. A raczej pyskówka, w której radni i prezydent nawzajem obwiniają się o utratę festiwalu. Teraz w mieście zrobiło się naprawdę ciemno. – *jsz*

Kontrowersyjne związki

ONZ PODEJRZANA O UKRYWANIE EPIDEMII

W NAIROBI RUSZYŁ PROCES, KTÓRY wyjaśni, czy ONZ przyczyniła się do zeszłorocznej epidemii cholery w Zimbabwie.

Georges Tadonki, były szef tamtejszego oddziału Biura Narodów Zjednoczonych do spraw Koordynacji Pomocy Humanitarnej, twierdzi, że katastro-

fy można było uniknąć, gdyby ówczesny szef misji organizacji w Zimbabwie Agostinho Zacarias nie wstrzymywał decyzji o rozpoczęciu akcji humanitarnej.

Tadonki oskarża Zacarias, że ten pomagał dyktatorowi Robertowi Mugabe ukrywać przed światem problem cholery.



Sieroty z przedmieść stolicy Zimbabwe zaraz powitają premiera. A przecież to rząd przyczynił się do rozwoju śmiertelnej cholery

Nadchodzi czas pisania

Rushdie prawdopodobnie znalazł sposób, by dobrze o sobie napisać

SALMAN RUSHDIE BYĆ MOŻE w końcu napisze książkę o prawie 10 latach, które spędził w ukryciu, odkąd w 1989 roku ajatollah Chomeini nałożył na niego fatwę za powieść

„Szatańskie wersety”. – To moja historia i trzeba ją kiedyś opowiedzieć. Myślę, że ten czas właśnie nadchodzi – powiedział Rushdie w zeszłą środę na amerykańskim Uniwersytecie Emory. Wydawnictwo Random House, które publikuje jego powieści, milczy. Pisarz zaś pół roku temu przyznawał, że choć wieloletnie ukrywanie się przed

zemstą fundamentalistów to świetny materiał na powieść, on sam nie znalazł sposobu, jak zrobić z tego dobrą literaturę. Głowa Rushdiego, gdy był najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie, warta była miliony dolarów. Fatwę zdjęto w 1998 roku, ale część muzułmańskich fundamentalistów do dziś żąda śmierci pisarza. – *rk*



Po upublicznieniu zarzutów to Tadonki został zdymisjonowany, a Zacarias za ledwie przeniesiony na inną placówkę. Dlatego teraz Tadonki procesuje się z ONZ przed trybunałem arbitrażowym organizacji w Nairobi.

Sprawa rzuci światło na częste kontrowersyjne związki oficjeli ONZ z przedstawicielami niedemokratycznych rządów. Ten w Zimbabwie miał co ukrywać. W 2005 roku Mugabe znacionalizował wodociągi i przestał oczyszczać wodę, a w 2008 w ogóle przestał ją dostarczać, skazując ludzi na czerpanie z jezior, stawów i sadzawek. Trwająca od sierpnia 2008 do lipca 2009 roku epidemia objęła sto tysięcy osób. W niektórych rejonach kraju umarła ponad połowa chorych. – *mac*

REKLAMA

SITA.pl
Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe
prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI

ENGLISH

NIEMIECKI

DEUTSCH

FRANCUSKI

FRANÇAIS

HISZPAŃSKI

ESPAÑOL

WŁOSKI

ITALIANO

Święta, Nowy Rok
nowy język

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej używanych słów i zwrotów gwarantowana już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (799 zł).

Rabat 200 zł na urządzenie przy zakupie czterech poziomów kursów

Kursy językowe SITA

Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (229 zł za jeden poziom kursu).



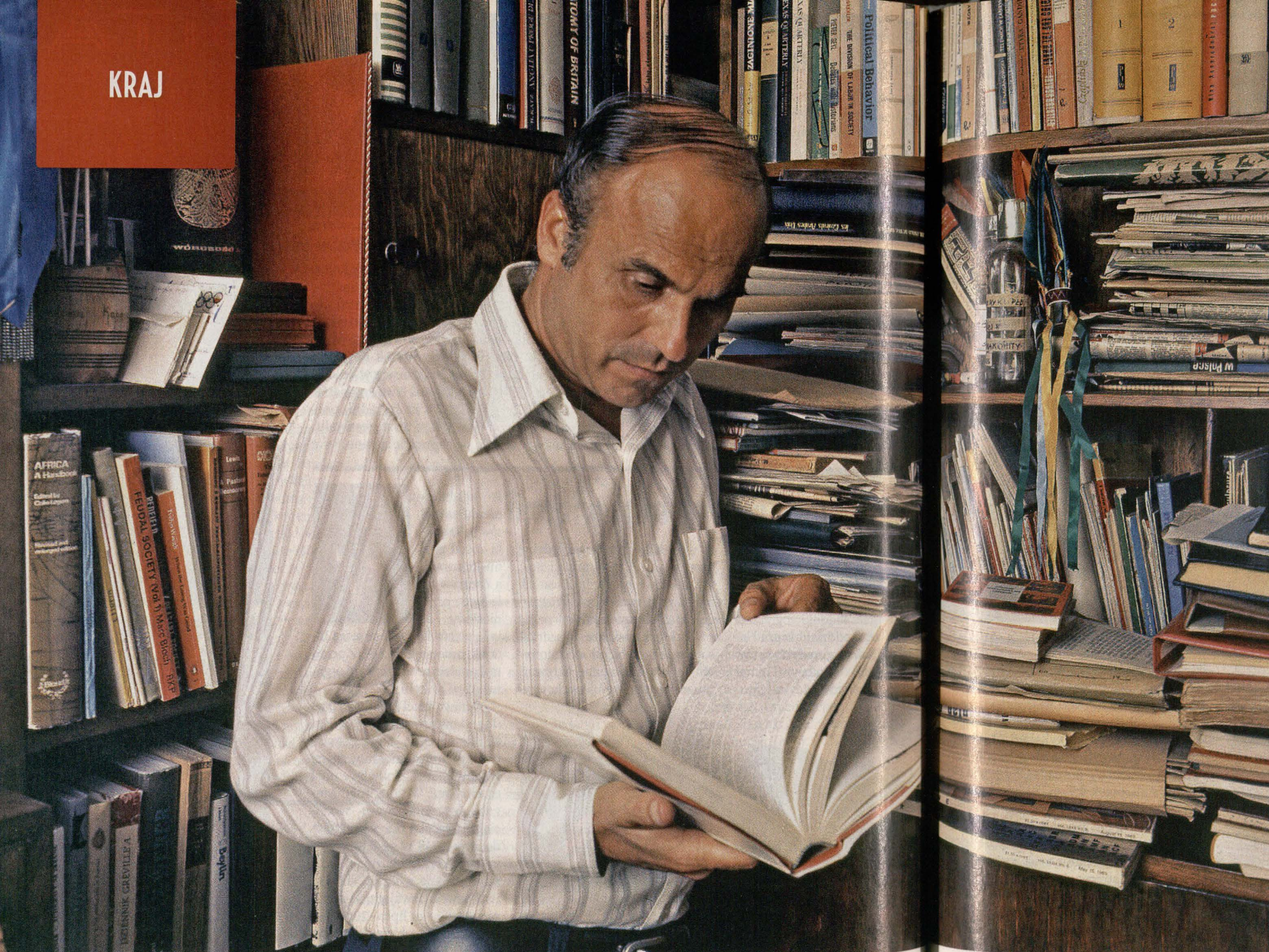
	PODSTAWOWY poziom 1	PODSTAWOWY poziom 2	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 1	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 2
angielski	☐	☐	☐	☐
niemiecki	☐	☐	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Platne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca. Urządzenie posiada 24 miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14 dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteście Państwo przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odesłamy pieniądze. PRZEKRÓJ

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa
www.sita.pl





BIOGRAFIA W POPRZEK

JEDNI PRZECZYTALI I SĄ ZACHWYCENI. DRUDZY – ZNIESMACZENI. SĄ I TACY, KTÓRZY ZARZEKAJĄ SIĘ, ŻE NIGDY JEJ NIE PRZECZYTAJĄ. KSIĄŻKA ARTURA DOMOSŁAWSKIEGO ROZPĘTAŁA PRAWDZIWĄ WOJNĘ. A TO DOPIERO POCZĄTEK, BO „KAPUŚCIŃSKI NON-FICTION” WŁAŚNIE TRAFIA DO KSIĘGARNI

ODBRZĄDZANIE AUTORYTETÓW. PYTANIE O GRANICE MIĘDZY REPORTAŻEM A LITERATURĄ, MIĘDZY WYMAGIEM OBIEKTYWIZMU A PRAWEM DO SUBIEKTYWNEGO INTERPRETOWANIA WYDARZEŃ. ŚWIADOME KREOWANIE WŁASNEGO ŻYCIORYSU KONTRA FAKTY. WOLNOŚĆ SŁOWA VERSUS POSZANOWANIE DLA GODNOŚCI DRUGIEGO CZŁOWIEKA. ZDERZENIE PRZYJAŹNI I LOJALNOŚCI Z DIENNIKARSKIM IMPERATYWEM POSZUKIWANIA PRAWDY.

Awantura o książkę „Kapuściński non-fiction” Artura Domosławskiego toczy się wokół wielu punktów zapalnych. Budzi emocje, bo jak w soczewce skupia wątki z różnych debat, które po 1989 roku rozpały opinię publiczną. Ale w grę wchodzi nie tylko najnowsza historia sporów polsko-polskich. Biografia ta przynosi echa o wiele dalsze, by wspomnieć chociażby Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Tak

Mieszkanie w Sadach Żoliborskich w Warszawie. Królestwo Kapuścińskiego, 1975 rok

oto potwierdza się banalna prawda, że każde pokolenie musi skonfrontować się z pytaniami, z którymi przyszło już zmagać się poprzednikom.

I czasem warto przypomnieć sobie ich odpowiedzi. Domosławski roztrząsa na przykład, dlaczego Kapuściński pisał, że afrykańskie trawy sięgają dwóch metrów wysokości, podczas gdy brytyjski dziennikarz William Pike zapewnia, że miały tylko metr. Przed wieloma dziesięcioleciami skonfrontowany z podobnymi sytuacjami Melchior Wańkowicz posługiwał się pojęciem zaczerpniętym z nauk ścisłych – błędem paralaktycznym. Otóż wyobraźmy sobie, że trzech mężczyzn stoi na peronie i patrzy na wielki zegar ze wskazówkami. Jeden znajduje się dokładnie na wprost tarczy, dwóch pozostałych stanęło po przeciwnych stronach.

Jest godzina punktualnie dwunasta – i taką godzinę odczytuje mężczyzna ustawiony centralnie. A jego towarzysze? Jeden twierdzi, że jest za minutę dwunasta. Drugi, że jest minuta po. Tylko jeden się nie myli, ale żaden nie kłamie.

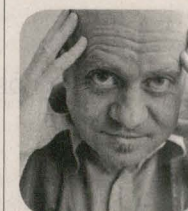
Jaki z tego płynie wniosek? Krytycy książki Domosławskiego powiedzą, że subiektywizm musi skazić każdą relację – wygrzebywanie takich nieścisłości autorowi „Szachinszacha” trąci czepialstwem. Można zresztą założyć, że to mylił się Pike, a nie Kapuściński. Ale w takim razie również zwolennicy Domosławskiego mogą powiedzieć, że biografia ma prawo do własnych ocen postawy bohatera, byle tylko przyłożył się do rzetelnego gromadzenia faktów.

Na łamy „Przekroju” zaprosiliśmy i jednych, i drugich. □

DWA
GŁOSY NA
JEDEN TEMAT

Kapuściński wart myślenia

DOMOSŁAWSKI NAPISAŁ KSIĄŻKĘ BEZKOMPROMISOWO KOMPETENTNĄ, RADYKALNĄ. TO POMNIK Z KRWI, KOŚCI I PYTAŃ



Roman Kurkiewicz
Felietonista

Kapuściński się śmieje. Bez słów. Rozumieją się bez słów.

To, że Artur Domosławski napisał książkę nietuzinkową, radykalną i bezkompromisowo kompetentną, widać już po wrzawie, która rozchodzi się jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Problem w tym, że kręgi wibrują w najlepsze, zanim kamień został wrzucony do wody, czyli książka wydana, przeczytana, zrozumiana, przedebatowana. A przez chwilę, wydawało się, groził jej nawet areszt. Jeśli jest groźba więzienia, jest problem winy. Artur Domosławski zawinił w tej książce po wielokroć. Zanim powiemy czym, wyjaśnijmy dla porządku i jasności: autor biografii Kapuścińskiego wszedł w dziesiątki polskich i niepolskich sporów, które z trudem doczekują się pogłębionej, nieskrępowanej debaty. Poczynając od meandrów najnowszej historii Polski i naszej części świata, udziału, współtworzenia systemu i wartości pracy twórczej w czasach PRL-u, poprzez standardy dziennikarskiej pracy (służby, misji, fachu, wizji?), kształt życia zawodowego i osobistego. Każda z tych spraw znajduje w Domosławskim dociekliwego badacza, znajduje w nim nie śledczego, ale pytającego, →

JEDYNYM POMNIKIEM GODNYM wielkiego pisarza są myśli i książki, jakie jego dzieło może sprowokować. W tym sensie książka Domosławskiego o Kapuścińskim, reporterze, pisarzu, człowieku, jest pomnikiem z krwi, kości i pytań. Domosławski otwiera szeroko okna w zatęchłej od niemyślenia i klisz współczesności. Przeciąg mурowany. Ale to wiatr od myślenia. Niech wieje.

Czy smutnej staruszce dziennikarz ma prawo „domalować” lżę, której w rzeczywistości nie uroniła? – pytał Gabriel Garcia Márquez podczas warsztatów dziennikarskich w Meksyku, na które zaprosił Mistrza – Ryszarda Kapuścińskiego, przyjaciela. I sam odpowiedział purystom obiektywności i bezstronności: „Ma prawo. Żeby oddać nastrój chwili, stan ducha. Ty też, Ryszard, czasem kłamiesz, prawda?”.

→ poszukującego, wątpliwego, krytycznego – i życzliwego – towarzysza drogi. Domosławski nie odgrywa roli prokuratora, sędziego. Odbywa podróż po Kapuścińskim rzeczywistości. I w tej podróży jest absolutnym pionierem. Chce sam znaleźć punkty istotne w powstawaniu warsztatu, chce móc opisać opisującego świat Kapuścińskiego, reportera i pisarza, który jak żaden wcześniej polski autor nie zawiązał globalnymi czytelnikami. Kiedy Domosławski planował swoją podróż transkapuścińską, musiał zrobić listę ludzi, spraw, kwestii, pytań. Jego największą i jedyną „winą” jest to, że nie wykreślił żadnych pytań, że nie odrzucił kierunków, które mogłyby narazić go na krytykę i – co już wiemy – dzisiaj narażają. Ale nie mogą sobie wyobrazić, że z tej książki coś się „wyrzuci”, „wycina”, dokonuje „redakcyjnej obróbki”. Nie widzę, jak miałyby zyskać na tym sama opowieść, ba, nie wyobrażam sobie, żeby zyskał na tym sam bohater owej „non-fiction”. Oprócz pochwał za warsztat, kompetencję źródłową, dotarcie do nieoczywistych i znaczących świadków opowieści najwy-

Książka Domosławskiego dopełnia dzieło Kapuścińskiego. Wypełnia zadziwiającą pustkę, jaką było otoczone

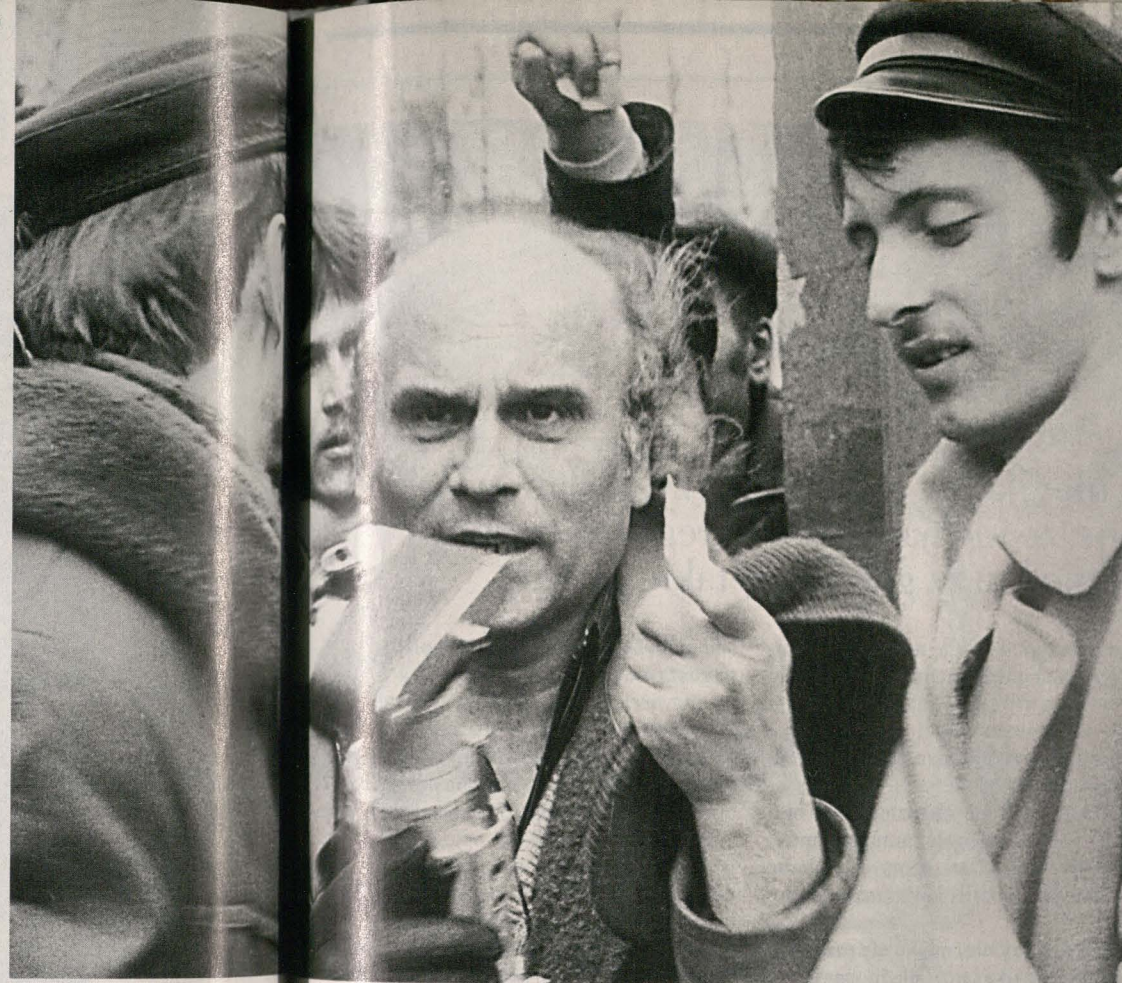
sze uznanie należy się Domosławskiemu za pokonanie ograniczeń pozornie niewidocznych: nieprzyjęcie oczu na tabu środowiskowe, na tabu wyznaczone przez wyznawców, na ograniczenia będące konsekwencją filozofii laurkowej. Książka „Kapuściński non-fiction” w moim rozumieniu dopełnia dzieło Kapuścińskiego i wypełnia zadziwiającą pustkę, jaką było otoczone: przywraca pejzaż historyczny, ideowy, zaangażowany i polityczny, pejzaż osobisty i skryty, pejzaż, dzięki któremu możemy pełniej odczytać bohaterów pierwszoplanowych: książki samego Kapuścińskiego.

Z głębokim zdumieniem i niedowierzaniem przysłuchiwałem się pojawiającym się głosom, że Domosławski obala autorytet Kapuścińskiego. Wolne żarty! Domosławski swoją książką otwiera nowy rozdział czytania i rozumienia, i konieczności przemyślenia dzieła autora „Cesarza” i „Szachinszacha”. Domosławski przywraca nam Kapuściń-

skiego politycznego, nieobojetnego, jego literackość, jego „domalowane” lzy były walczące, były po coś. A sam Kapuściński był człowiekiem świadomym swej mocy, choć skrywał ją za owym słynnym, jakby buddyjskim uśmiechem. Uważność Kapuścińskiego nie pochodziła z bajki o niezależnym obiektywnym obserwatorze, który pozbawiony jest własnego dzieciństwa, języka, koloru skóry, płci, szkół. Ale Kapuściński w tym świecie wybierał punkt widzenia. Nie był pisarzem widzem, był uczestnikiem, był samotnikiem, który opisywał całe kontynenty, rewolucje, wojny.

Domosławski dokonał niezwykłego zbliżenia do Kapuścińskiego. Myślę, że gdyby Ryszard Kapuściński przeczytał tę książkę o sobie, uśmiechnąłby się. Bez słów. Rozumieliby się bez słów.

Kapuściński reporter. Tu próbuje dostać się na wiec Lecha Wałęsy na stadionie w Radomiu, 1981 rok



FOT. JANUSZ SOBOLEWSKI/FOTUM, MAREK SZCZEPANSKI, ALEKSANDER JĄŁOSIŃSKI/FOTUM, MIROSLAW TREMBECKI/PAP

CZEKAJĄ NA PRAWDZIwą ROZPRAWĘ

W CYWILNYM POZWIE ALICJA KAPUŚCIŃSKA zarzuciła Arturowi Domosławskiemu, autorowi biografii „Kapuściński non-fiction”, oraz wydawnictwu Świat Książki naruszenie dóbr osobistych, a dokładniej prawa do dobrej pamięci po zmarłym mężu, prawa do życia prywatnego oraz praw autorskich po mężu. Wdowa żąda zaprzestania naruszania tych dóbr oraz zaniechania publikacji – w części lub w całości. Jednocześnie domaga się tak zwanego zabezpieczenia powództwa, czyli zakazu rozpowszechniania książki do czasu prawomocnego wyroku sądu. Ten 22 stycznia i ponownie 22 lutego nie uwzględnił wniosku o zabezpieczenie. Po ostatnim werdykcie Alicja Kapuścińska zapowiada odwołanie do sądu apelacyjnego. Data właściwej rozprawy nie jest wyznaczona – Sąd Okręgowy w Warszawie czeka na odpowiedź pozwanych. Paweł Szwed, redaktor naczelny Świata Książki, wydał oświadczenie: „Zarzuty stawiane książce nie znajdują uzasadnienia w jej treści, a argumenty wysuwane przez większość osób krytykujących jej powstanie każą sądzić, że książki nie czytały. (...) Fakt, że nie jest to książka pomnik, nie może być rozpatrywany jako zarzut (...) Zdajemy się na osąd niezawisłego sądu”.

DWA
GŁOSY NA
JEDEN TEMAT

Oko Mistrza

KAPUŚCIŃSKI BYŁ PISARZEM, A NIE REPORTEREM, WIĘC PRÓBA „DEMASKOWANIA” JEGO WARSZTATU DZIENNIKARSKIEGO TO STRZAŁ KULĄ W PŁOT!

Książka Artura Domosławskiego była bardzo bolesną lekturą dla mnie, starego przyjaciela Ryszarda Kapuścińskiego. Ale chcę ją oceniać przede wszystkim jako zwykły czytelnik. Na pewno to ciekawe przedsięwzięcie. Domosławski zabrał się do dzieła porządnie, nie ma co do tego wątpliwości. W książce znalazły się frapujące wątki, a autor zadał sobie wiele trudu: zebrał dużo materiałów, rozmawiał z wieloma osobami, sporo podróżował do miejsc odwiedzanych wcześniej przez Kapuścińskiego. Na tej podstawie można by sądzić, że struktura tej biografii jest bardzo solidna. Niestety, ta ogromna praca w znacznej mierze poszła na marne, bo Domosławski napisał książkę, która miesza krytykę utworów z wątkami bardzo osobistymi. W rezultacie sam wystawił się na zarzut, że jest ona plotkarska, skupiona na demaskowaniu tego, co było za kulisami, a nie na analizie wielkiego fenomenu Kapuścińskiego, który czeka na wnikliwie, wszechstronne naświetlenie.

Domosławskiemu się nie udało. Dlaczego? Moim zdaniem autor biografii zrobił poważny błąd już w samym zało-



Francesco M. Cataluccio
pisarz,
autor głośnej
książki „Niedojrzałość.
Choroba naszych czasów”,
tłumacz literatury
polskiej na język włoski

żeniu. Jego celem, aż nadto widocznym, było zburzenie legendy autora „Cesarza”. Tymczasem znacznie bardziej interesująca byłaby próba głębszego zbadania, a nie zniszczenia mitu Kapuścińskiego. I nie o apologetykę mi chodzi! Dlaczego Domosławski koncentruje się na tej połowie butelki, która jest pusta, a nie na tej, która jest pełna? Dlaczego draży tę część, która jest mniej ciekawa?

Dlaczego tak wiele miejsca poświęca opisom związków Ryszarda z kobietami, opisom jego kontaktów z władzami komunistycznej Polski, ze służbami specjalnymi? Można odnieść chwilami wrażenie, że Kapuściński był agentem Moskwy, a to przecież śmieszne, absurdalne. Domosławski wykorzystuje jednak ten wątek po to, żeby zniszczyć mit Kapuściń-

skiego. A Ryszard nie miał problemu z wyjaśnieniami, jak to się odbywało, w jaki sposób na przykład uzyskał paszport – że w zamian musiał dostarczać regularnych raportów o tym, z kim się spotykał itd. On to robił, bo taki był warunek jego wyjazdów z komunistycznego kraju, ale nie sądzę, by tymi raportami komukolwiek wyrządził krzywdę – czy w Polsce, czy na świecie. Nikogo nie szantażował, nikomu nie groził, nie donosił na kolegów. Zresztą informował ich o tym lojalnie. Domosławski przesadnie to eksponuje. Do tego dochodzi natrętne, irytujące moralizatorstwo: że Kapuściński był złośliwy, niegrzeczny, dwuznaczny. Jaką prawdę chce przed nami odkryć Domosławski swoją „non-fiction”?

Nie tylko w Polsce, także we Włoszech i gdzie indziej mamy do czynienia z takim zjawiskiem, że po śmierci kogoś wybitnego rozpoczyna się gra pod tytułem „trzeba obalić ten mit”. W Polsce tak było po śmierci i Zbigniewa Herberta, i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Szkoda, że Domosławski wpisuje się w tę grę, zamiast wykorzystać swój talent i determinację w innym celu.

Jest jasne, że Kapuściński budował swoją legendę i że robił to na dwóch polach: z jednej strony tworzył wielką literaturę, a z drugiej powieść o sobie samym czy – jak kto woli – właśnie legendę. Ale to drugie robi każdy człowiek i ma do tego pełne prawo. Mnie, jako czytelnika, znacznie bardziej inte-

resuje to pierwsze. Przyjrzyjmy się rzekomo merytorycznej części krytyki Kapuścińskiego zawartej w biografii Domosławskiego. Przecież wszyscy wiedzieli, że książki Ryszarda nie były sensu stricto dziełami reportażowymi! Ich autor nie był reporterem, on był literatem. Wiele razy, choćby tutaj we Włoszech, na pytania, „jak chciałby pan być wspomniany wtedy, gdy już pana nie będzie na świecie?” – Ryszard odpowiadał, że albo jako poeta, albo jako wielki fotograf. To oczywiście było mówione żartem, ale była w tym też prawda całkiem serio. Jeśli się analizuje jego książki przez pryzmat faktów, to oczywiście wiele z nich nie jest zgodnych ze stanem rzeczywistym. Ale to nie jest żadne odkrycie.

Bardzo ważną postacią dla Ryszarda był Herodot i jego dzieło. Mówił, że „Dzieje” są jego ulubioną książką. A przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie ma do Herodota pretensji o to, że w jego opisach nie zgadzają się pewne fakty, że nie wszystko jest zbieżne z prawdą. Przeciwnie, nazywamy go ojcem historii. Jego książka jest bowiem nie kroniką aptekarską, lecz wielkim dziełem antropologicznym, dziełem wnikliwie opisującym ówczesne narytury i mechanizmy sprawowania władzy. Błędem Domosławskiego, największym, jest właśnie nieumiejętność uchwycenia i przeanalizowania tego, co jest istotą twórczości Kapuścińskiego. A przez to cała jego ogromna przecież praca nabiera wymiaru karykaturalnego.

Wielka szkoda. Być może łatwiej byłoby zrozumieć fenomen Kapuścińskiego, gdyby Domosławski pochylił się i zastanowił nie nad jego romansami, ale nad jego fotografiami. Twierdę, że to znakomity sposób na rozgrzygnięcie fenomenu Kapuścińskiego. Gdy się ogląda na przykład afrykańskie zdjęcia Ryszarda (z ery sprzed Photoshopu, żeby nie było wątpliwości), to doskonale można zrozumieć, jaka była jego filozofia, jego stosunek do otaczającej go rzeczywistości, jak wielki był jego szacunek dla innych ludzi, respekt wobec innych kultur, umiejętność głębokiego ich rozumienia. I to jest właśnie esencja Kapuścińskiego. On miał niesłychaną intuicję. To wyśmienite oko Kapuścińskiego widać także w jego książkach. Dzięki niemu był świetnym fotografem i świetnym pisarzem.

Wzięmy „Cesarza”. Kapuściński często powtarzał, że napisał go, używając obficie języka barokowego. Przyznał wielokrotnie, że przygotowując się do napisania „Cesarza”, czytał więcej książek z epoki baroku w Polsce niż wszystkich książek razem wziętych o Etiopii. Kapuścińskiego nie tyle interesowała prosta historia człowieka, nie tyle sam życiorys Hajle Sellasjego, ile analiza mechanizmów sprawowania władzy. Już to świadczy, że próba prześwietlenia „Cesarza” pod kątem prawdziwości faktów badanych w samej Etiopii jest pozbawiona sensu, jest nie na miejscu. Bo Ryszard sam mó-

wił, że jemu chodziło o coś innego. Kapuściński był pisarzem, a nie reporterem, więc próba „demaskowania” jego warsztatu dziennikarskiego to strzał kulą w płot!

„Szachinszach” może być też oczywiście krytykowany, ale znów nie z poziomu detalicznych faktów, ale przy uwzględnieniu, że jest to arcydzieło, niesamowity klucz do zrozumienia wydarzeń XX wieku i ich konsekwencji, z którymi mamy do czynienia po dziś dzień. Przecież w tej książce Kapuściński jako pierwszy dostrzega w głęboki sposób, w jak wielkim stopniu religia łączy się z polityką, tworząc mieszanekę wybuchową o wielkiej sile rażenia. On pierwszy to zrozumiał, potrafił spojrzeć dalej niż kronikarze bieżącej chwili. Setki reporterów obserwowały i opisywały wydarzenia w Iranie dzień po dniu, mniej lub bardziej dokładnie, ale tylko Ryszardowi udało się spojrzeć dalej, dostrzec w tych wydarzeniach głębszy sens.

Trzy czy cztery książki Kapuścińskiego są bez wątpienia arcydziełami literatury XX wieku. A jeśli Kapuściński wytyczał nowy szlak, to warto pokazać, jak to robił, przeanalizować, jak pracował, zamiast zajmować się trzeciorzędowymi wątkami kobiet w życiu pisarza czy jego związków z politykami PRL-u. Tym bardziej takie właśnie zadanie powinien był postawić sobie Domosławski, którego książka nie miała przecież ambicji bycia „zwykłą” biografią.

KAPUŚCIŃSKI DLA DOROSŁYCH

Staralem się napisać prawdę a nie fikcję – mówi Katarzynie Janowskiej **Artur Domosławski**. Przekonuje, że nie naruszył dobrego imienia reportera: – Wszystko się we mnie burzy, gdy słyszę takie zarzuty

Alicja Kapuścińska, wdowa po Ryszardzie Kapuścińskim, czuje się dotknięta książką twojego autorstwa. Uważa, że naruszyłeś dobre imię jej męża i jej dobra osobiste. Dlatego wystąpiła do sądu z pozwem o wstrzymanie rozpowszechniania biografii „Kapuściński non-fiction”. Ma powód być urażona?

– Rozumiem, że są w książce fragmenty, które mogą sprawić przykrość, bo ta przykrość była też w życiu. Ale uważam, że nie da się opowiedzieć prawdziwej historii człowieka tak, aby wszyscy byli zadowoleni i żeby nikomu w żadnym momencie nie było przykro. To jest po prostu niemożliwe. Oczywiście autor powinien brać pod uwagę przykrość i ból, jakie sprawi bliskim osobom bohatera.

I ty wziąłeś?

– Tak, ale równie ważne są inne kryteria, czyli wierność faktom, które poznaje się w czasie pracy. Trzeba w tym wszystkim znaleźć własną drogę. O sprawach bolesnych mówiła sama pani Alicja Kapuścińska w wywiadzie, jaki zrobiłem z nią razem z Teresą Torańską dla „Gazety Wyborczej”.

Staralem się o tych sprawach napisać w sposób taktowny i delikatny.

Czyli masz na myśli sprawy rodzinne, wątek relacji pisarza z kobietami?

– Tak. Gdy słyszę, że książka narusza dobre imię Ryśka, to wszystko się we mnie burzy, dlatego że napisałem tę biografię, aby Kapuścińskiego wyjaśnić, zrozumieć, prześledzić jego życie, jego szalenie czasami trudne wybory, często niejednoznaczne. We wszystkich sprawach przedstawiam okoliczności działające na jego korzyść.

Przystąpiłeś do pisania tej książki jako uczeń i przyjaciel Ryszarda Kapuścińskiego. Czy nie nadużyłeś zaufania jego bliskich i przyjaciół? Myślisz, że tak samo chętnie otwieraliby się przed tobą, gdybyś był kimś zupełnie obcym?

– Nie nadużyłem niczyjego zaufania. Niektórym z najbliższych przyjaciół Kapuścińskiego książka bardzo się podoba. Jeden wyraził krytyczną opinię o nieostatecznej jeszcze wersji

książki, wziąłem pod uwagę niektóre jego sugestie, a wymiana między nami ostatnich uwag była pozbawiona napięcia. Nie wiem, czy zmienił zdanie o książce. Kwestia „nadużycia zaufania” nie była przedmiotem naszego sporu, bo zaufania nie nadużyłem.

Ale nie chcę w ten sposób rozmawiać o biografii, nie chcę eskalować antagonizmów. Książka będzie wzbudzała spory o rozmaite sprawy, o których napisałem. Wspaniale – spierajmy się!

Czy tego chcesz, czy nie, mleko się rozlało, zanim książka się ukazała, i nie możemy udawać, że to się nie wydarzyło. To przecież też temat do dyskusji o tym, jak pisać biografie. Czy istnieje jakaś granica, której biograf nie powinien przekroczyć? Pisałam kiedyś tekst na ten temat. Joanna Siedlecka, autorka biografii Gombrowicza, Kosińskiego, Herberta, powiedziała mi, że szuka ciemnych plam w życiorysie swoich bohaterów, pęknięć i za tym idzie. Joanna Ronikier z kolei, autorka biografii Piotra Skrzyneckiego, znalazła informację, że Skrzynecki miał żonę i dziecko, ale uznała, że to nie miało znaczenia dla faktu, jakim był człowiekiem. Wyciąganie tej sprawy byłoby jej zdaniem pogonią za sensacją. Które myślenie jest ci bliższe?

– Przede wszystkim popychała mnie ciekawość, żeby poznać człowieka, z którym wiele godzin w ciągu ostatniej dekady jego życia przegadałem na jego poddaszu, którego podpatrywałem, który obdarzył mnie przyjaźnią, w dużej mierze ukształtował mój sposób myślenia o zawodzie i, co może ważniejsze, o świecie. Na początku nie miałem żadnego założenia. Uważałem, że powinienem się dowiedzieć wszystkiego, czego trzeba, zrozumieć to, a w toku pracy zrodzi się model biografii. Moim założeniem było, że chcę napisać prawdę. Pytanie oczywiście, jak skonstruować książkę. Nie ma żadnych wątpliwości, że lubię swojego bohatera. Problem pojawił się, kiedy zacząłem odkrywać sprawy, które nie pasowały do mojego wyidealizowanego obrazu Kapuścińskiego.

Nie pomyślałeś wtedy: może lepiej to zostawić?

– Oczywiście, że pomyślałem, ale potem przyszła refleksja: a właściwie dlaczego? Czy Kapuściński nie zasłużył na to, żeby o nim opowiedzieć w sposób dorosły, czyli na poważnie? Nie opowiadać bajki o nim, bo bajkę już mieliśmy. Pomyślałem też: jeśli nie pójdę dalej, to tak, jakbym w Kapuścińskiego nie wierzył. Jakbym uważał, że w jego życiu są tak straszne rzeczy, których nie da się wytłumaczyć i po których nie da się myśleć dobrze o nim. A ja w Kapuścińskiego wierzyłem, otwierałem kolejne drzwi i dowiadywałem się nowych rzeczy.

Kiedy pojawiły się wątpliwości, przypomniałem sobie historię, którą opowiedział mi profesor Clayborn Carson z Uniwersytetu Stanforda. Profesor dostał archiwum Martina Luthera Kinga. W toku poszukiwań odkrył, że King popełnił plagiat. Profesor, wielbiciel Kinga, historyk ruchu wyzwolenia Afroamerykanów, stanął przed pytaniem: co zrobić, kiedy okazuje się, że ikona tego ruchu, człowiek mający także skomplikowane życie osobiste, popełnił rzecz, którą trudno usprawiedliwić, czyli plagiat? Mimo wszystko zdecydował się o tym napisać. Jego zdaniem jeśli patrzymy na ludzi niezwykle jak na bogów czy jak na świętych, to odkrycie każdej najdrobniejszej rysy musi sprawić, że nasza wiara legnie w gruzach. Natomiast kiedy patrzymy na naszych bohaterów jak na zwykłych ludzi, którzy pomimo codziennej krzątaniny potrafią robić rzeczy niezwykle, to wtedy nawet ich niechłubne zachowania ujrzymy w zupełnie innym świetle.

Czy ty naprawdę patrzyłeś na Ryszarda Kapuścińskiego czy jakiegokolwiek ważnego dla ciebie człowieka jak na świętego czy idealnego bohatera?

– Oczywiście nie. Ale wielu rzeczy wcześniej o Ryśku nie wiedziałem. Ale to, że ma teczkę czy że musiał układać się z władzą, współpracować z wywiadem, chyba cię nie zaskoczyło? Przecież bez tego w PRL-u nigdzie by nie wyjechał. Przy pozorach chęci do współpracy okazywało się, że nic z niej nie wyniknęło.

Materiały, które dostarczał wywiadowi, były bezwartościowe. Nikogo nie skrzywdził.

– To mnie w ogóle nie zaskoczyło i mam swoją teorię na ten temat. On moim zdaniem nie traktował tego jako układania się z władzą. To był człowiek, który przez całe życie serce miał po lewej stronie. Przez bardzo długi czas uważał PRL za swoje państwo. To nie był cynik, który chciał dzięki partii zrobić karierę. Był idealistą i mimo że kilkakrotnie rozczarowywał się PRL-em, i tak wierzył, że to jest lepszy ład niż kapitalizm. Ład kapitalistyczny znał od najgorszej strony, od strony Trzeciego Świata, czyli miejsca, gdzie Zachód pokazał swoją najszpetniejszą twarz.

W książce pojawia się ciekawy dla mnie wątek oceny kontaktów Kapuścińskiego z wywiadem nie z punktu widzenia ideologicznego, tylko standardów dziennikarskich.

– Rzeczywiście stawiam pytanie, czy dziennikarz może mieć jakiegokolwiek świadome kontakty z wywiadem.

Dzisiaj bez wahania odpowiedzielibyśmy, że nie. Ale mówimy o czasach zimnej wojny. W książce przytaczasz przykłady dziennikarzy amerykańskich, szefów stacji telewizyjnych, wydawców dużych gazet, którzy współpracowali z CIA.

– I oceniam to krytycznie. Uważam, że żaden dziennikarz ani z krajów zachodnich, ani socjalistycznych nie powinien być tego robić, bo jeśli choć jeden korespondent to robi, wszyscy jesteśmy podejrzani. Ale robili to i jedni, i drudzy.

Oceniając Kapuścińskiego w tej sprawie, trzeba pamiętać, że w PRL-u nie było debat na temat standardów dziennikarskich, o konfliktach interesów, o istocie tego zawodu. Tak więc Kapuściński mógł wówczas nie mieć świadomości, że coś robi nie tak. Ale uważam, że z pewnością zrozumiał to później. I dlatego tak bardzo w ostatnich latach bał się wyciągnięcia na widok publiczny tej sfery jego życia. Czuł, że dziś to będzie inaczej interpretowane, że rzuca się na niego lustratorzy.

Mówisz, że chciałeś pokazać prawdę o swoim bohaterze. Czy uważasz, że można dotrzeć do prawdy o człowieku, czy to będzie prawda autora biografii?

– Prawda jest zawsze relatywna, a o każdym z nas jest wiele prawd. Teresa Torańska pisze na okładce mojej książki, że nie ma jednej prawdy o Ryśku i że ja te różne prawdy o nim spletałem i rzucam do przemyślenia.

Można stworzyć bardzo różne opowieści o tym samym człowieku. Wyobraź sobie, że o tych wszystkich sprawach, które zebrałem, pisze ktoś niezręczliwy Kapuścińskiemu. A więc o jego współpracy z wywiadem, o konfabulacjach w jego książkach czy wreszcie o tym, że w Polsce Ludowej umiejętnie poruszał się po korytarzach władzy. Dla mnie nie ma w tym nic bulwersującego, bo wszedłem w jego buty i spojrzałem na świat jego oczami – tej postaci uczylem się zresztą od niego. Ale wyobraź sobie, jak napisałby o nim ktoś, komu horyzont przysłań lustracja i postrzeganie PRL-u jako nieomal III Rzeszy – a wiemy, że są i tacy.

Ale ta książka tak będzie używana.

Niezręczliwi przeczytają ją jako opowieść o konfabulancie, konformiście, człowieku bezwzględnym w życiu prywatnym.

– Na to nie ma rady. Jak ktoś jest niezręczliwy bohaterowi, to sformułuje akt oskarżenia na podstawie jego jadłospisu. Wielki historyk Tony Judt opowiedział mi kiedyś historię z życia Artura Koestlera. Zapytano Koestlera, dlaczego jest tak strasznym antykomunistą i jego słowa brzmią jak fanatyczne ataki mccarthyistów? Koestler był lewicowy, ale antystalinowski. Odpowiedział: jeśli głupcy albo fanatycy mówią to samo co ty, mając swoje odmienne motywy – które mogą brzmieć podobnie do twoich myśli – trzeba mimo to mieć odwagę głoszenia swoich przekonań.

W biografii przedstawiłem moją prawdę o Kapuścińskim, a także wiele prawd ludzi, którzy ze mną rozmawiali, którzy o nim pisali. Jakich wpływ może mieć autor na recepcję swojego utworu? Ale mogą go mieć na przykład życzliwi recenzenci.

Uderzyło mnie, że tak bardzo dużo miejsca poświęcasz w książce sprawie poruszania się Kapuścińskiego po korytarzach władzy, pisesz o jego partyjnych



→ **polecznikach, którzy roztaczali nad nim parasol ochronny przez cały PRL.**

– Widocznie mamy różne bariery tolerancji dla kompromisów, które zawierał w sferze działań pozaliterackich. Kompromis to zresztą nie jest tu dobre słowo – teraz ja wpadłem w pułapkę antykomunistycznego języka. Kapuściński nie zawierał kompromisów, bo PRL był jego państwem, o czym już mówiliśmy. Miał politycznego mecenasa Ryszarda Frelka, który przeprowadził go przez PRL, ale to była część know-how kariery w tamtej Polsce. Nie zapominajmy jednak, że odniósł sukces nie dlatego, że znał Frelka, lecz dlatego że był wielkim reporterem. Frelk mu pomagał, ułatwiał różne rzeczy i tyle. Zresztą to nie był jedyny przyjaciel na szczytach władzy. Był jeszcze Stanisław Trepczyński i inni.

A co w takim razie ciebie nieміло zaskoczyło?

– Jedna rzecz. To, że Kapuściński w pewnym momencie odwrócił się od ludzi, którzy mu w PRL-u pomagali. Od Frelka zaczął się dystansować już w latach 80. Frelk po 30 latach przyjaźni poczuł się odrzucony, bo on nie tylko był jego mecenasem politycznym, lecz także przyjacielem.

Sam piszesz w książce, że Ryszard Kapuściński miał taki styl bycia, że wiele osób, które się z nim zetknęły, uważało, że się z nim przyjaźnią. Może w tym wypadku było podobnie?

– Wszystko, czego się dowiedziałem, świadczy o tym, że byli w bliskiej przyjaźni. Spotykali się towarzysko, Kapuściński jeździł do państwa Frelków na działkę na Mazury. Kiedy Kapuściński wyjechali do Ameryki Łacińskiej, Frelkowie opiekowali się ich warszawskim mieszkaniem. Nie tylko zresztą Frelk nieprzyjemnie odczuł wolę polityczno-towarzyską Kapuścińskiego, kilku innych starych towarzyszy też. **Zobaczyleś w nim konformistę?**

– Akurat konformizm nie jest taką znowu bardzo rzadką cechą gatunku ludzkiego. Nie rzucałbym z tego powodu w nikogo kamieniem.

Ale jednocześnie mówisz, że ta cecha twojego bohatera najbardziej cię uderzyła. Wiktor Osiatyński, przyjaciel Ryszarda Kapuścińskiego, w książce podsuwa ci tytuł biografii: „Kapuściński. Cena wielkości”. To była cena wielkości?

– Tych cen było wiele. Może największą ceną, jaką zapłacił, były sprawy rodzinne, trudne relacje z córką. Inną ceną było tworzenie mitu własnej osoby, czyli fantastycznego, odważnego reportera – nie wszystkie elementy tej układanki były prawdziwe. Ale czy koniec końców Kapuściński przegrywa? Czy mamy go nie lubić z tego powodu, że prócz wielkich książek współtworzył swoją legendę? Przecież nie ma literatury bez legend o pisarzach.

Nie wykorzystalem pomysłu Wiktora Osiatyńskiego zasugerowanego z najlepszą intencją, bo uznałem, że taki tytuł negatywnie ustawa opowieść o Kapuścińskim. Pytałem o radę innych przyjaciół Ryśka i jeszcze kilku osób, którym ufam – wszyscy źle reagowali na ten

pomysł. Bo pierwsze skojarzenie nasuwające się w związku z tym tytułem było takie: jakie to straszne rzeczy tam są, skoro już w tytule muszę Kapuścińskiego usprawiedliwiać! Tak więc jako tytuł całości to nie był dobry trop, natomiast jako jedno z luster pomysłu Osiatyńskiego zagrał bardzo dobrze i jestem mu wdzięczny za tę sugestię.

Rozdział o kobietach w życiu Kapuścińskiego starałem się napisać szeptem

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Trudnym bardzo tematem jest relacja Kapuścińskiego z córką. Sprawa jest niezwykle delikatna i bolesna. Nie udało ci się z nią porozmawiać. O jej uczuciach, o skomplikowanych stosunkach z rodzicami piszesz, opierając się na opowieściach innych. Nie bałeś się nadinterpretacji? Zarówno obraz Kapuścińskiego, jak i jego córki jest w tym fragmencie bardzo negatywny.

– Starałem się być wierny temu, co udało mi się dowiedzieć w rozmowach zarówno z panią Alicją Kapuścińską, jak i przyjaciółmi rodziny. W książce stronię od jakichkolwiek ocen w tej sprawie, szkicuję opowieść.

A co wątek romansowy pisarza wniósł do jego portretu? Rozumiem, że biograf nie może chować pod dywan faktów, ale czy potrzebny był cały rozdział poświęcony jego związkom z kobietami? Wypowiadają się w nim panie, które chronią swoją tożsamość, a jednocześnie swobodnie mówią o prywatności bohatera i jego żony. Coś tu jest nie w porządku.

– Zbliżamy się do pytania, czy należy pisać w biografii o rzeczach osobistych. Ten gatunek uprawnia do pisania o wszystkim. Jest tylko kwestia, jak to się robi. Starałem się napisać o tej sferze życia z taktem i delikatnością. **Biografia, owszem, uprawnia do pisania o wszystkim, pytanie tylko, jak się rozłożyć akcenty. Można coś mocniej wyeksponować, można słabiej. Można napisać o usunięciu ciąży przez dziewczynę bohatera we wczesnej młodości, a można to sobie darować. Jeśli w rozbudowanej formie przytacza się pikantne szczegóły z życia bohatera, które nie mają związku z jego pisarstwem, to można uznać, że to jest pogoń za sensacją, a nie dążenie do prawdy.**

Artur Domośłowski, 43 lata, dziennikarz i publicysta. Ukończył Wydział Wiedzy o Teatrze warszawskiej PWST. Od 1990 roku związany z „Gazetą Wyborczą”. **Debiutował książką o kontrowersjach wokół pontyfikatu Jana Pawła II „Chrystus bez karabinu” (1999).** Później wydał „Świat nie na sprzedaż: rozmowy o globalizacji i kontestacji” (2002), głośną „Gorączkę latynoamerykańską” (2004) i „Amerykę zbuntowaną. Siedemnaście dialogów o ciemnych stronach imperium wolności” (2008) **wyróżnioną nagrodą imienia Beaty Pawlak.**

– Ależ w mojej książce nie ma żadnych „pikantnych szczegółów”! A rozdział o kobietach w życiu Kapuścińskiego należy do najkrótszych, nie jest „rozbudowany”. I starałem się napisać ten rozdział szeptem. Jest tam też jego poezja miłosna. Czy nie jest ciekawe pytanie o jej źródło?

Ponadto to biografia, a nie biografia twórcy. Relacje z kobietami dużo mówią o bohaterze. Jeśli opisujemy sytuacje, w których np. bohater traktuje nieraz ludzi instrumentalnie, to wydaje mi się, że to ma znaczenie dla jego obrazu.

W jego książkach kobiet praktycznie nie ma.

– Owszem, można to tłumaczyć tym, że stałaś do pokolenia, w którym kobiety odgrywały dużo mniejszą rolę niż dziś. Albo tym, że nie traktował kobiet jak partnerek. W „Podróżach z Herodem” dziwi się w jakiejś sytuacji, że kobiety milczą, a przecież zazwyczaj mają tyle sobie do powiedzenia, np. czy coś się nie przypaliło w kuchni. Nie traktował ich w życiu po partnerku i to przenosiło się na jego pisarstwo.

Kapuściński to był żywy, barwny człowiek, który wiódł takie a nie inne życie dorosłego mężczyzny, miał nietławy charakter, apetyt na życie. Uważałem, że zasługuje na pełnokrwistą biografię, w której obecne są wątki osobiste. Bez nich jego portret byłby dalece uboższy.

W rozdziale „Legendy: skazany na rozstrzelanie” podważasz prawdziwość relacji Kapuścińskiego z wydarzeń w Kongu. Z relacji Kapuścińskiego wynikało, że cudem uniknął rozstrzelania. Powołujesz się na rozmowę Bożeny Dudko z czeskim dziennikarzem, a potem tłumaczem książek Kapuścińskiego, który pytany o wydarzenia w Kongu odpowiada, że wszystko świetnie opisał Ryszard. Ty wyciągasz z tego wniosek, że być może tłumacz nie chciał demistyfikować wersji reportera. Może warto było porozmawiać z samym Duśanem Provnaznikiem?

– A dlaczego miałbym sądzić, że rok czy dwa lata później Provnaznik zmieni relację pod wpływem moich pytań? Moją uwagę zwróciło to, że Bożenie Dudko wypytującej go o sytuację niebezpieczną w Kongu odmawia komentarza, natomiast gdy pytała o inne wątki wyprawy, miał sporo szczegółów do dodania. To jeszcze nie dowód na cokolwiek, ale to mnie zaniepokoiło. Innym impulsem były plotki, z których wynikało, że faktografia w tekstach Ryśka bywa wątpliwa...

Ale sam umieszczasz w książce minirozdział pt. „Historia pewnej plotki”, z którego wynika, że zarzucano Kapuścińskiemu plagiat, a ostatecznie okazało się, że to właśnie tylko plotka. O znanych

ludziach chętnie się plotkuje, szczególnie jeśli osiągnęli sukces. Wielu dybie na ich prawdziwe lub wymyślone wpadki.

– Czyli, jak widzisz, weryfikuję plotki i gdy mogę je rozstrzygnąć na korzyść Kapuścińskiego, chętnie to robię. Postanowiłem też sprawdzić pogłoski o kongijskiej wyprawie. Dotarłem do Jaroslava Boučka, syna nieżyjącego już przywódcy tamtej wyprawy. Młody Bouček konfrontuje tekst Kapuścińskiego z relacją swojego ojca Jardy Boučka, w której nie ma nic o zagrożeniu życia czy ich „skazaniu na rozstrzelanie”. Ta relacja podaje w wątpliwość, czy taki fakt w ogóle miał miejsce, sugeruje, że Kapuściński wykreował opowieść nieporównanie bardziej sensacyjną niż sytuacja, w jakiej znaleźli się reporterzy. Przyjaciele przyznają, że Rysiek był katastrofistą i nieraz trzeba było podzielić to, co mówi, przez dwa. Najbliższy przyjaciel, Jerzy Nowak, powiedział mi, że Kapuściński mrugał do przyjaciół okiem, kiedy mówił o tych wszystkich rozstrzelaniach, a oni wiedzieli, że to była licentia poetica. Niestety z czasem, kiedy był już coraz bardziej znanym pisarzem i w oparciu o jego książki powstawała legenda nieustraszonego reportera, nie prostował tego, zaczął to traktować poważnie.

Trzeba pamiętać także o tym, że każdy inaczej odczuwa zagrożenie...

– Dokładnie w ten sposób piszę w książce... **...i że to, co dla kogoś było niegroźnym epizodem, dla kogoś innego może oznaczać poważne niebezpieczeństwo. Uważasz, że Ryszard Kapuściński zmieniał fakty, kolory zawał?**

– Robił jedno i drugie. Zdarzało mu się zmieniać miejsce i przebieg zdarzeń, o czym opowiadał jego przyjaciele, a gdy mu zwracali uwagę, on tłumaczył, że nie chodzi o zgodność szczegółów, lecz przekazanie „istoty rzeczy”. Pytany kiedyś, czy dopuszcza deformowanie chronologii zdarzeń dla uzyskania lepszego efektu, odpowiadał, że można „rozbudować rzeczywistość”, trzeba jednak posługiwać się autentycznymi elementami. Czasem postępuje w myśl powiedzonka przypisywanego Garcii Márquezowi: – Nie pozwól, by rzeczywistość zniszczyła ci dobry reportaż.

Podczas warsztatów dziennikarskich Garcii Márqueza, jak przytaczasz w książce, miał sprowokować Kapuścińskiego, mówiąc, że też zdarza mu się kłamać. Ponoć reporter tylko się uśmiechnął. Czy dziennikarz może koloryzować w imię siły swojego tekstu? Książki Kapuścińskiego pokazywały pewne mechanizmy, nie były zapisem sytuacji jeden do jednego. Był prekursorem gatunku, rozszerzał jego granice. Może to była cena, jaką płać?

– Uważam, że dziennikarz nie może kłamać, przekręcać faktów, przedstawiać plotek jako faktów. Choć akurat na ten temat Kapuściński miał trafną teorię. Uważał, że przywoływanie plotek w reportażu jest rzeczą absolutnie uprawnioną i że dzięki temu udaje się opisać pejzaż społeczny w danej chwili, świadomość ludzi.

Tym bardziej że jego rozmówcami byli głównie zwykli ludzie.

– I z tego absolutnie nie czynię mu zarzutu. Ale uważam, że o ile literatura może opowiadać prawdę poprzez kłamstwa, o tyle reportaż jednak nie. Dziennikarzowi mniej wolno. Może zmienić dane osoby, jeśli tekst byłby zagrożeniem dla jej bezpieczeństwa, i na tym koniec. Natomiast jeśli tworzy jedną postać złożoną z kilku, to powinien o tym zawiadomić czytelnika, grać fair.

Znalazłeś postaci nieprawdziwe w reportażach Kapuścińskiego?

– W klasycznych reportażach nie, ale nie jestem pewien, czy postaci w „Cesarzu” są autentyczne. Od razu podkreślam: nie czynię z tego zarzutu Kapuścińskiemu, bo pisząc „Cesarza”, eksperymentował, mógł nie być świadom, dokąd ów eksperyment go zaprowadzi. Pisał tę książkę w odcinkach „Trochę Etiopii”, które ukazywały się jako teksty dziennikarskie. Tymczasem w trakcie pracy Kapuściński przekroczył granice gatunku, dworzenie mówią barokowym językiem – i powstała wielka literatura, ale chyba nie reportaż. Wszystko w porządku, jeśli postawi się tę książkę na półce z napisem: literatura.

Jeśli dziennikarz wkracza na teren fikcji, płaci za to ogromną cenę, bo jego relację można podważyć. Dla wiarygodności naszego zawodu lepiej trzymać się reguły, że uprawiamy dziennikarstwo, a nie literaturę. A jeśli piszemy literaturę, to wyraźnie powinniśmy to zaznaczyć. Dziś mamy wspaniałe książki Kapuścińskiego, z których jedne zaliczymy do dziennikarstwa, a inne do literatury.

– Nie pozwól, by rzeczywistość zniszczyła ci dobry reportaż – cytował Márqueza Ryszard

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Z którymi książkami Kapuścińskiego masz zatem problem?

– Nie mam kłopotu z całymi książkami, ale czasem z niektórymi relacjami. Np. dowiedziałem się, że jeden z bohaterów „Chrystusa z karabinem na ramieniu” nie był małym naciągaczem, lecz poważnym politykiem i wydawcą prześladowanym przez dyktaturę w Boliwii. Może za jakiś czas, gdy będę ponownie czytał książki Kapuścińskiego, będę się czasem zastanawiał, gdzie przekroczył granice gatunków. Czytając „Heban”, będę pamiętał krytykę Johna Ryle’a, który twierdzi, że Kapuściński nonszalancko traktuje historię mówioną Afrykanów, a tymczasem jest ona często precyzyjna.

Kim jest dla ciebie dzisiaj Ryszard Kapuściński po trzech latach wchodzenia w jego biografie?

– Tym, kim był wcześniej. Starszym kolegą, przewodnikiem, który otwierał mnie na świat, kształtował moje myślenie, mentorem. Dowiedziałem się o nim wielu rzeczy, o których nie

wiedziałem, nie zawsze przyjemnych, ale po jakimś czasie, kiedy spojrzałem na nie w kontekście i logice jego biografii, przestawały tak bardzo dziwić.

Może jako jego przyjaciel bałeś się zarzutu, że piszesz laurkę, i dlatego polowałeś na swojego bohatera?

– To podejrzenie uważam za wysoce niesprawiedliwe. Rolą biografa jest poznać życie bohatera. Jeśli weryfikuję fakty z jego biografii, to znaczy, że na niego poluję? Czy biograf, który ustala fakty i szuka okoliczności tłumaczących bohatera, jest myśliwym? Nie dajmy się zwariować. A gdybym nie sprawdzał precyzyjnie, spytałabyś pewnie, czy nie przesłizguję się nad wątpliwościami. I miałabyś rację!

Ale jeśli we wstępie piszesz, że uśmiech Kapuścińskiego to była maska, to znaczy, że zakładasz jakiś fałsz w jego zachowaniu, w biografii i dajesz czytelnikowi do zrozumienia, że będziesz tę maskę zdzierał?

– Każdy ma jakąś maskę. Czasem maska staje się drugą naturą. To nie znaczy, że Kapuściński nie był naprawdę życzliwym dla innych człowiekiem. Był. Ale przecież tym uśmiechem osłaniał też świat, zjednywał sobie rozmówców, wychodził dzięki niemu z opresji, zasłaniał słabości i tajemnice. Maska służy do różnych rzeczy. Jest wizytówką, może być tarczą obronną. Dlaczego odczytywać ją jedynie w negatywny sposób? Ja tego nie robię.

Myślisz, że Ryszardowi Kapuścińskiemu podobałaby się twoja książka? Czy może byłaby większym ciosem niż ujawnienie zawartości jego teczek, czego – jak piszesz – bardzo się w ostatnich latach życia obawiał?

– Sądzę, że byłby zadowolony ze sposobu, w jaki odczytuję to, co miał do powiedzenia o świecie; nie miałby wątpliwości, że stoję całym sercem i piórem za nim. Z drugiej strony, nie mogę uciec od wątpliwości, czy ktoś, kto włożył dużo wysiłku w zbudowanie legendy, polubiłby taki swój portret, jaki namalowałem.

A potem przychodzi jeszcze jedna refleksja: czy nie za szybko się poddaję wobec tego pytania? A może Kapuściński nie miałby nic przeciwko temu, żeby opisać go prawdziwie? Za życia nie „wyznaczył” człowieka, który miałby opisać jego życie zgodnie z legendą. Może wcale nie chciał ani pomnika, ani świętego obrazka? Nie dowiemy się tego. Dodam, że wszystkie miny zostały rozbite. Nic strasznego się nie stało. Chyba jednak ulga.

Czy teraz, kiedy książkę wypuścisz w ręce czytelników i widzisz, jak jest czytana, usunąłbyś coś z niej?

– Nie.

Nie masz wyrzutów sumienia wobec swojego bohatera, wobec wdowy po nim?

– Nie. Ale powiem ci, że nie spodziewałem się, że tak się to potoczy. To, co się dzieje wokół mojej książki, to jakiegoś szaleństwo. Może wcale nie chcemy prawdziwych – to jest czasem bolesnych – opowieści, a wolimy jednak znieczulające bajki? □



Portrety pamięciowe
gwałciciela o widać
twarzach wiszą w całym
Krośnie Odrzańskim.
Zaśmiecają ulice
i umysły kobiet

KONFABULACJE ANNA SZULC

Gwałt po duszach szalał

Seryjny gwałciciel miał co najmniej sześć wcieleń, w tym operatora koparki i niesłubnego syna prokuratora. Zjawiał się w wielu miejscach prawie jednocześnie.

A przede wszystkim w głowach sześciu kobiet

P przed godziną siódmą rano 12 lutego na klatce schodowej niewielkiego bloku było jeszcze ciemno. Dorota W., 40-letnia rozwódka z dwójką dzieci, zastępca kierownika supermarketu, nie zapaliła jednak światła. Do dziś nie wie dlaczego. On zjawił się nagle, stał przed wyjściem, w kurtce z futerkiem, jakby czekając właśnie na nią. Wysoka, atrakcyjna szatynka poczuła na plecach zimny pot. Przypomniała sobie wszystko, co czytała w gazetach o seryjnych gwałtach. Że po raz pierwszy zwyrodnialec zaatakował w styczniu, że jedne kobiety gwałcił, a inne okaleczał. Że kobiety widziały go nie tylko w oddalonej o 40 kilometrów Zielonej Górze, ale także tu, w Krośnie Odrzańskim. W autobusach, na dworcu, w Biedronce. Dorota W. już poprzedniego dnia zauważyła na ulicy mężczyznę, który dziwnie, wręcz szyderczo mierzyl ją wzrokiem.

Dalej wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Gwałciciel wyciągnął kobietę z bloku, wykręcił jej ręce, przygwoździł do muru. Oстрыm przedmiotem przejechał jej po twarzy (poczuła nagłe pieczenie), a potem brutalnie pocałował ręce (rękami zastaniała twarz).

Całe życie stanęło mi przed oczami – powiedziała później lokalnemu dziennikowi Dorota W. A że nie chciała życia tracić – ma przecież dzieci – mocno kopnęła gwałciciela w udo. Tak mocno, że uciekł.

Rzucona na tapczan

W. przypomni sobie również, że tego dnia nie wzięła ze sobą świętego obrazka, który codziennie nosiła pod bluzką. Za to trzy tygodnie wcześniej poprosiła matkę, by ta zamówiła w jej intencji mszę. Dorota W. coś przeczuwała. Dla tego właśnie Bóg, mimo że cudowny obrazek zostawiła w domu, okazał się tak miłosierny.

Znacznie mniej miłosierni dla W. są dziś mieszkańcy miasteczka. Najchętniej wywieźliby ją z Krosna Odrzańskiego na taczkach. A potem zapomnieli o jej istnieniu.

Bo przyniosła naszej miejscowości wstyd – wyjaśnia nam pani K., oburzona pracownica pobliskiego banku.

– Bo nas skrzywdziła, przy okazji krzywdząc także swoje dzieci, które wystawiła na pośmiewisko i rehot kolegów – dopowiada pani R., nauczycielka.

Bo cała dramatyczna opowieść Doroty W., którą relacjonowały miejscowe gazety i jedna telewizja o krajowym zasięgu, okazała się kłamstwem.

W telewizji pojawiła się również Andżelika P., 22-letnia matka dwójki dzieci z Leśniowa Wielkiego pod Zieloną Górą. Występowała w towarzystwie konkubina Grzegorza.

Andżelika P. opowiadała tak: sprawca napadł na nią, gdy wyszła na chwilę na ganek po drewno. Jak w amerykańskim filmie zaciągnął kobietę do domu. Rzucił ją na tapczan, a potem zgwałcił w obecności 2,5-letniej córki Martyny i 10-miesięcznego synka. Jeszcze przed gwałtem zdążył uderzyć Martynkę, a matce pocałował udo. Na szczęście niegroźnie, bo miała na sobie dwie pary spodni. Gwałt zdarzył się zaledwie kilka godzin po tym, jak ktoś próbował zgwałcić Dorotę W.

A teraz gliniarze mówią, że to kot ją podrapał – żali się ojciec Andżeliki, Andrzej P. – Mówią tak, bo to nie policjanci, tylko świnię.

Co do świń, to P. kiedyś hodował kilka. W złotych dla niego czasach, gdy pracował w jednym z nieistniejących już PGR-ów. Potem stracił robotę i mieszkanie przy gospodarstwie. Tułał się z rodziną po różnych miejscach, aż pewien litosiwy leśniczy zaproponował mu tymczasowe lokum w swoim drewnianym domu w Leśniowie. Kąt na kilka miesięcy, dopóki bezdomny P. z żoną i trzema córkami nie znajdą mieszkania. To było

10 lat temu. P. mieszka w domu leśniczego do dziś (dwie córki się z niego wyprowadziły), bez zameldowania, bez toalety, za to z wyrokiem eksmisyjnym. I wieloma innymi kłopotami.

Małe białe auto

Świat o nas zapomniał – żali się ojciec Andżeliki P. I wylicza: nikt z rodziny nie ma pracy, o zasiłkach mowy nie ma, bo te wydaje się na podstawie dowodów osobistych. A żadne z P. dowodu nie ma. Dlaczego? Bo ich wyrobienie kosztuje. Dlatego oficjalnie P. nie istnieje. Nie istnieją więc też Andżelika i jej dzieci.

Wie pani, jak to wygląda w praktyce? Lekarka z naszej przychodni od miesiąca rwie włosy z głowy, bo nie wie, jak obejść prawo, by te dzieci zaszczepić! Oficjalnie tego zrobić nie może, bo przecież nie mają numeru PESEL – irytuje się pani Halina, sprzedawczyni w sklepie wielobranżowym w Leśniowie.

W praktyce oznacza to również, że Andżelice P. z powodu wielkiej biedy grozi odebranie przez sąd w Zielonej Górze praw rodzicielskich do dzieci, choć powszechnie wiadomo, że mimo wszystko stara się o nie bardzo dbać. W związku z tym zagrożeniem Andrzej P. na podwórku chałupy leśniczego obok kilogramów śmieci, starego telewizora i zdezelowanego roweru trzyma też wcale niezdezelowaną piłę. Andżelika P. zaś w ogóle nie wychodzi z dziećmi z domu. Wyjątek to wizyty w komendzie policji, by złożyć kolejne zeznania.

Miejscowi policjanci zorientowali się, że były to zeznania fałszywe, bo kobieta co rusz podawała im różne wersje zdarzeń. A te coraz bardziej klóciły się z zebranymi dowodami – wyjaśnia doktor Mariusz Sokołowski, rzecznik prasowy Komendy Głównej Policji.

Raz gwałcicielem miał być jeden z dwóch fałszywych komorników, którzy z piskiem opon podjechali pod dom małym białym samochodem. Innym razem pewien znajomy, którego załoty Andżelika P. już kiedyś odrzuciła. Pierwszy z domniemyanych →

LUBUSKIE: OD NAPADÓW DO KŁAMSTW

PIERWSZY NAPAD NA KOBIETĘ w Zielonej Górze odnotowano 9 stycznia 2010 roku. Do dziś miało miejsce w sumie sześć napadów, z czego dwa policja ostatecznie potraktowała jako gwałty, dwa kolejne jako zdarzenia na tle seksualnym, a pozostałe jako napady na tle

rabunkowym. Za fałszywe uznano zgłoszenia o gwałtach i próbach gwałtu w Krośnie Odrzańskim, Leśniowie Wielkim, Gubinie i Gozdniczy. W styczniu na podstawie śladów zebranych po gwałcie w Zielonej Górze ustalono profil DNA sprawcy. Sporządzono portrety pamięciowe

podejrzanych. W regionie cały czas obowiązuje stan podwyższonej gotowości. W ciągu doby nad bezpieczeństwem mieszkanki Zielonej Góry i jej obrzeży czuwa zwiększona liczba patroli. Policja i władze miasta wyznaczyły w sumie 23 tysiące złotych nagrody za informację o sprawcach. Codziennie lubuska policja otrzymuje kilkadziesiąt telefonów na temat gwałcicieli.

→ gwałcicieli był niski, krępy i ciemny, a drugi wysoki, o jasnych włosach, w zielonej kurtce z futrem na kapturze.

– Ja ich dobrze znam i jeszcze się z nimi policzę – zapewnia Andrzej P., który dziś wypowiada się w imieniu córki, bo jej partner, ten sam, który występował wcześniej w telewizji, zakazał swej narzeczonej (słowo to mężczyzna dobitnie podkreśla) wszelkich publicznych wypowiedzi. Zakazał, odkąd wyszło na jaw, że w opowieści Andżeliki nic się nie zgadza. Ani gwałt, bo wykluczili go lekarze podczas badania kobiety w szpitalu, ani cięcia nożem, bo wykluczili je biegli sądowi, specjaliści od przemocy seksualnej. Ani nawet mały biały samochód, choć policjanci przygotowali na niego obławę. – To była zmasowana akcja, w którą zaangażowano dziesiątki funkcjonariuszy wspieranych przez straż graniczną – mówi Mariusz Sokołowski. – W całym województwie zarządzono blokady dróg, skontrolowano setki aut w białym kolorze, za których kierownicami siedzieli mężczyźni.

Do działań włączyli się policjanci ze specjalnej grupy operacyjno-śledczej. Przesłuchano dziesiątki świadków, przeprowadzono szczegółowe oględziny miejsc zdarzeń. Sporządzono, a potem upubliczniono kolejne portrety pamięciowe. W pewnym momencie było ich dziewięć.

– To wszystko potęgowało panikę, kobiety przestały zachowywać się racjonalnie – mówi doktor Anita Kucharska-Dziedzic, szefowa Lubuskiego Stowarzyszenia na rzecz Kobiet „Baba”, które od 10 lat udziela pomocy ofiarom przestępstw, także gwałtów, a które Kucharska-Dziedzic założyła po tym, jak sama dekadę temu o mały włos nie padła ofiarą gwałciciela.

Legenda zatacza kręgi

Tak oto w Lubuskiem w połowie lutego gwałcicielem stał się niemal każdy mężczyzna w kurtce: mąż nerwowo czekający po pracy na żonę, student w kapturze, bezdomny szukający schronienia w pustostanie. – Na skrzynkę e-mailową dostawałyśmy zdjęcia mężczyzny, bo jakaś pani uznała, że wygląda podejrzanie – opowiada Anita Kucharska-Dziedzic. – Niejednego Bogu ducha winnego młodzieńca potraktowano gazem pieprzowym, bo za szybko szedł ulicą. W lubuskich miasteczkach pojawiły się społeczne grupy

obrońców kobiet, które patrolowały okolicę w poszukiwaniu obcych.

W połowie lutego grasowała już całkiem spora gromadka gwałcicieli. Operator koparki (czasami pomagać miał mu brat bliźniak), syn miejscowego prokuratora, były policjant, taksówkarz, wysoko postawiony urzędnik samorządowy i kierowca białego samochodu o niesprecyzowanej marce, oraz właściciel czarnego bmw.

– Tajemnicze auto doskonale wpisuje się w miejską legendę – twierdzi profesor Dionizjusz Czubala, antropolog i folklorysta z Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. – Wpisuje się w nią też wampir, w tym wypadku gwałciciel o wielu twarzach. Im większe napięcie, tym więcej wcieleń i wersji zdarzeń. Z czasem, jeśli napięcie nie osłabnie, legenda zatacza coraz szersze kręgi.

Niejednego Bogu ducha winnego młodzieńca potraktowano gazem pieprzowym, bo za szybko szedł ulicą

16 lutego auto gwałciciela zaparkowało w Gozdniczy. Tuż przed północą do Komendy Powiatowej Policji w Żaganiu zadzwoniła zrozpaczona kobieta, by powiadomić, że właśnie została napadnięta na ulicy przez nieznanego mężczyznę, który ją szarpał, okaleczył jej twarz, po czym uciekł. Rzecz jasna, był w kurtce z kapturem. Odjechał białym wozem.

Na miejsce wysłano patrol policji z Iłowej i Żagania, w Gozdniczy znowu pojawiła się specjalna grupa operacyjno-śledcza. Kilka godzin później ratownik medyczny, który opatrywał kobiecie obrażenia na twarzy, oświadczył, że to tylko otarcia naskórka, w żadnym razie efekt działania ostrego narzędzia użytego przez gwałciciela. Napadu nie było.

Nie było go też w Gubinie, gdzie rzekomego sprawcę napadu na trzy kobiety – matkę i jej dwie nastoletnie córki – przez całą noc poszukiwało ponad 60 policjantów oraz funkcjonariusze Nadodrzańskiego Oddziału Straży Granicznej z Krosna. Okazało się w końcu, że panie chciały się pozbyć z domu znajomego, który nad ranem stał się już niepożądanym gościem.

Magiczne kłamstwo

– I tak dramat z gwałcicielem w ciągu kilku tygodni zamienił się w farsę – dodaje Anita Kucharska-Dziedzic, zauważając przy okazji, że fałszywe oskarżenia (za które grożą nawet trzy lata więzienia) znacznie osłabiają wagę rzeczywistych zdarzeń. A o jakie właściwie zdarzenia w Lubuskiem chodzi?

Nie o naście ani nawet o 10, jak wcześniej podawano, lecz o cztery napady na kobiety, w tym dwa rzeczywiste brutalne gwałty, do których doszło od początku roku w Zielonej Górze i okolicy. Reszta domniemanych gwałtów i ich prób okazała się przywidzeniem lub oszczerstwem (miejscowa policja twierdzi, że to powyżej statystyk, ale nie czarna seria).

– A może niektóre były krzykiem rozpaczy, dramatycznym wołaniem o pomoc? – zastanawia się profesor Zbigniew Izdebski, znany seksuolog z Zielonej Góry. – Może nagłośnienie gwałtów zadziałało jak wyzwalacz, uwolniło w kobietach skrywane dotąd pokłady emocji, z którymi od lat nie potrafiły sobie poradzić? Może powinniśmy uważniej się wsłuchać w to, co chciały nam powiedzieć?

Problem w tym, że kobiety, które jeszcze niedawno były bardzo rozmowne (co też wzbudziło niepokój fachowców, bo ofiary gwałtów z powodu traumy najczęściej mało o sobie mówią), teraz nabrały wody w usta.

Dorota W. na przykład od dwóch tygodni nie wychodzi z domu, jest na zwolnieniu lekarskim. Niechętnie otwiera obcym.

– Chciałam tylko pomóc policji – wyjaśnia mi krótko, kiedy pytam, dlaczego opowiedziała nam wszystkim historię, której nie było. Kiedy zamyka przedmną drzwi, widzę, że jedną ręką przytrzymuje na piersi święty obrazek.

– W tym wypadku religijność wydaje się mieć wymiar magiczny – zauważa ksiądz Andrzej Draguła z Zielonej Góry, doktor teologii. – Być może kobieta próbowała również zaczarować rzeczywistość, która nie przystawała do jej oczekiwań. Tylko czy to jest powód, by się okaleczać i narażać na gniew otoczenia?

GRECJA RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Ballada o Helladzie

Prawdziwy problem Greków to nie kryzys, lecz to, że nie chcą z niego wyjść. Uważają, że ktoś powinien ich z niego wynieść

Ciężkie czasy wymagają poświęceń, więc Grecy wzięli się do roboty. Powrócili do filozofowania, czyli do tego, co wymyślili dwa i pół tysiąca lat temu. I uznali, że najlepszym systemem na dziś będzie konsekwentny hedonizm wzbogacony o postulat odwrócenia herakliteskiego porządku świata. Czyli: ma nam być dobrze i chcemy zawsze wstępować do tej samej rzeki. Takie przynajmniej wrażenie można odnieść, obserwując reakcje Greków na fatalne prognozy dotyczące ich ojczystej gospodarki. Polsko-grecka hybryda „spychotechnika” (polskie „spychać”, greckie „techné”) zyskała nowe znaczenie. Rytmowane: „To inni są winni”.

Lud: winny jest rząd

Jedna trzecia Greków pracuje na państwowym. Państwowe to 14 pensji w roku, długie urlopy, 40-godzinny tydzień pracy, emerytura w 61. roku życia. I silne związki zawodowe, które czuwają nad tym, żeby pracownikowi było coraz lepiej. Jak czuwają, można było zobaczyć 24 lutego podczas ogólnogreckich protestów przeciwko rządowemu planowi ratowania kraju.

Dygresja: Grecja jest w poważnych opałach. Jej deficyt budżetowy wynosi prawie 12 procent (podczas gdy w krajach strefy euro nie może przekraczać 3 procent). Zapychanie tego deficytu staje się coraz droższe. Trzeba nie tylko wydrukować obligacje państwowe, ale także znaleźć na nie kupców i ubezpieczyć je na wypadek braku pokrycia. Jeszcze w styczniu ubezpieczenie 10 milionów dolarów kosztowało 282 tysiące dolarów. Dziś – 400 tysięcy. Grecja musi się zadłużać, żeby spłacać własne zadłużenie. Jeśli rząd nie poszuka dodatkowych oszczędności, kraj stanie się niewypłacalny. Więc szuka. Chce zwiększyć podatki, zamrozić pensje i podnieść wiek emerytalny. Koniec dygresji.

24 lutego na ulice Aten wyszło około 20 tysięcy osób. Stanął transport, urzędy, szkoły. Nawet dziennikarze nie przyszli do pracy. Wśród obrazków z objętej strajkiem stolicy znalazło się



Pozory mylą. Ten oddział policji nie strajkuje, lecz rusza do akcji. Ateny, 24 lutego

zrobione przez fotografa Agencji Reutersa zdjęcie Akropolu zamkniętego dla zwiedzających. Była w tym pewna złośliwość, bo nie różniło się ono niczym szczególnym od milionów innych zdjęć tego wzgórza. Zupełnie jakby Reuters chciał powiedzieć: dość trudno spostrzec różnicę między Grekiem strajkującym a Grekiem pracującym.

Coś w tym jest. Bo Grek nie zgadza się z tym, że wszystko płynie. Chce, żeby nie płynęło. – Niech rząd lata dziurę, ale nie naszym kosztem – mówił na wiecu Spyros Paraspyros, szef centrali związków zawodowych ADEDY. Paraspyros nie zgadza się ani na podwyżkę akcyzy na paliwo, ani na zamrożenie płac w sektorze publicznym. Protestuje też przeciwko podniesieniu podatków, choć wie (bo wszyscy w Grecji to wiedzą), że połowa Greków ukrywa przed fiskusem całość swoich zarobków. Taki obyczaj. Grek ukrywa, a fiskus to rozumie i daje spokój. Korupcja w urzędach jest powszechna, ale jeśli dzięki temu i urzędnik, i petent są zadowoleni, to po co to zmieniać? Zdaniem Paraspyrosa byłoby to niepotrzebne. – Za kryzys niech płacą bogaci – wołał podczas strajku.

To jeszcze nic. Marksiści, lamentując, że rząd chce zlikwidować czternastki, zażądali wprowadzenia 35-godzinnego tygodnia pracy i rezygnacji z podniesienia wieku emerytalnego.

Rząd: winni są naziści

Nieszczęścia Grecji zaczęły się w 2001 roku wraz z decyzją o przyjęciu euro. Gospodarka nie była na to gotowa, ale udało się to ukryć przy współpracy z bankiem Goldman Sachs, który za pomocą kreatywnej księgowości zmniejszył grecki dług publiczny. Eksperti Goldmana na prośbę rządu w Atenach przewalutowali ten dług, wykorzystując różnice w kursach i oprocentowaniu. Dzięki temu „zmałał” on o miliard euro i Grecja zmieściła się w zadanym deficycie. Potem przez całe lata władzom udawało się ukrywać, że zadłużenie stale rośnie, a jego obciążenie kosztuje coraz więcej.

Obecny premier, socjalista Jeorios Papan-dreu, rządzi Grecją dopiero od października 2009 roku, więc łatwo mu się bić w cudze pierś. Winę za kryzys zważył na konserwatystę Kostas Karamanlis. Zapomniał jednak, że był on premierem od 2004 roku, a z Goldmanem układał się Kostas Simitis, też socjalista.

Rząd obwinia również nazistów, którzy w czasie wojny zrujnowali grecką gospodarkę. Angela Merkel odrzuciła te zarzuty, przypominając, że Niemcy przez lata wypłacali Grekom odszkodowania i wspierali finansowo rząd.

W trakcie poszukiwania winnych padło również na Goldmana Sachsa. Eksperti argumentowali, że bank postąpił z Grecją tak samo pod koniec 2008 roku z bankiem Lehman Brothers (za pomocą spekulacji udało się doprowadzić go do upadku), z ubezpieczycielem AIG (prawie udało się doprowadzić go do upadku) czy ze złotym (udało się osłabić jego wartość). Zarzuty są poważne i nie dziwnego, że sprawą zajęły się i Bruksela, i Waszyngton, ale nie na tyle poważnie, żeby za dzisiejszy stan Grecji winić Goldmana. – Mówimy o różnicy wynoszącej kilka procent budżetu niewielkiego kraju – przypomina Vanessa Rossi, ekonomista z instytutu Chatham House. – Grecja ma o wiele poważniejszy problem niż niedoszacowany deficyt.

Grecja ma problem systemowy, na co zwróciła uwagę kanclerz Merkel. – Dlaczego Niemcy, którzy pracują do 67. roku życia, mieliby ratować Greków, którzy pracują o sześć lat krócej? – pytała retorycznie. Niemcy dzielą się to stanowisko – 70 procent ankietowanych nie ma najmniejszego zamiaru płacić na Grecję.

– Interwencja krajów strefy euro byłaby potrojnym błędem – uważa Rossi. – Po pierwsze, odbyłaby się na koszt unijnego podatnika. Po drugie, wysłałaby sygnał innym krajom, że nie muszą się martwić o swoją przyszłość. Po trzecie wreszcie, wysłałaby taki sygnał Grekom. A oni sami muszą wybrać, czy chcą płacić podatki i pracować jak należy, czy wolą kombinować z maskowaniem deficytów.

W tym domu w Leśniewie Wielkim Andżelika P. miała zostać brutalnie zgwałcona. Dziś ukrywa się w nim i to wcale nie przed bandytami



Tradycyjny układ rodzinny w Azji rozspadł się w drobny mak. Od wieków rodzice pomagali swoim dzieciom, wiedząc, że gdy przestaną pracować, one – zgodnie z naukami Konfucjusza – zapewnią im w zamian opiekę na starość.

Dzisiaj dogorywa pierwsze pokolenie rozczarowanych – tych, którzy pomagali, ale bez wzajemności. Starszym ludziom w Japonii, Korei Południowej, Chinach, Hongkongu czy na Tajwanie świat się zawalił.

Ostatnia rozmowa

W Korei Południowej tacy ludzie czasem dzwonią na telefon zaufania dla samobójców. To właśnie z nimi dyżurującym psychologom rozmawia się najgorzej. Takich najtrudniej odwieść od realizacji planów. Wiedzą, co robią, gdy mówią, że są ciężarem dla swoich dzieci, że są niepotrzebni, że nie mają za co żyć. Psycholog niewiele może zrobić. Pozwala im się wykrzyczeć i wypłakać. Pyta: „Czy naprawdę chce pan (najczęściej dzwonią mężczyźni) odebrać sobie życie? Jak? Kiedy?”. Gdy dowiadują się, że trucizna albo strzykawkę są już gotowe, muszą się spieszyć.

Numer dzwoniącego wyświetla się na ekranie komputera, więc alarmują policję lub strażaków i razem jadą do domu desperata. Tam jeszcze raz wysłuchują gorzkiej historii o synu, który daje do zrozumienia, że stary ojciec jest mu kamieniem u szyi. Albo opowieści o niewdzięcznej synowej. Pracownicy telefonu zaufania wypisują receptę na lek antydepresyjny i pilnują, by desperat poszedł do apteki. Później mówią o nim pracownikom socjalnym i proszą ich, by jak najczęściej go odwiedzali.

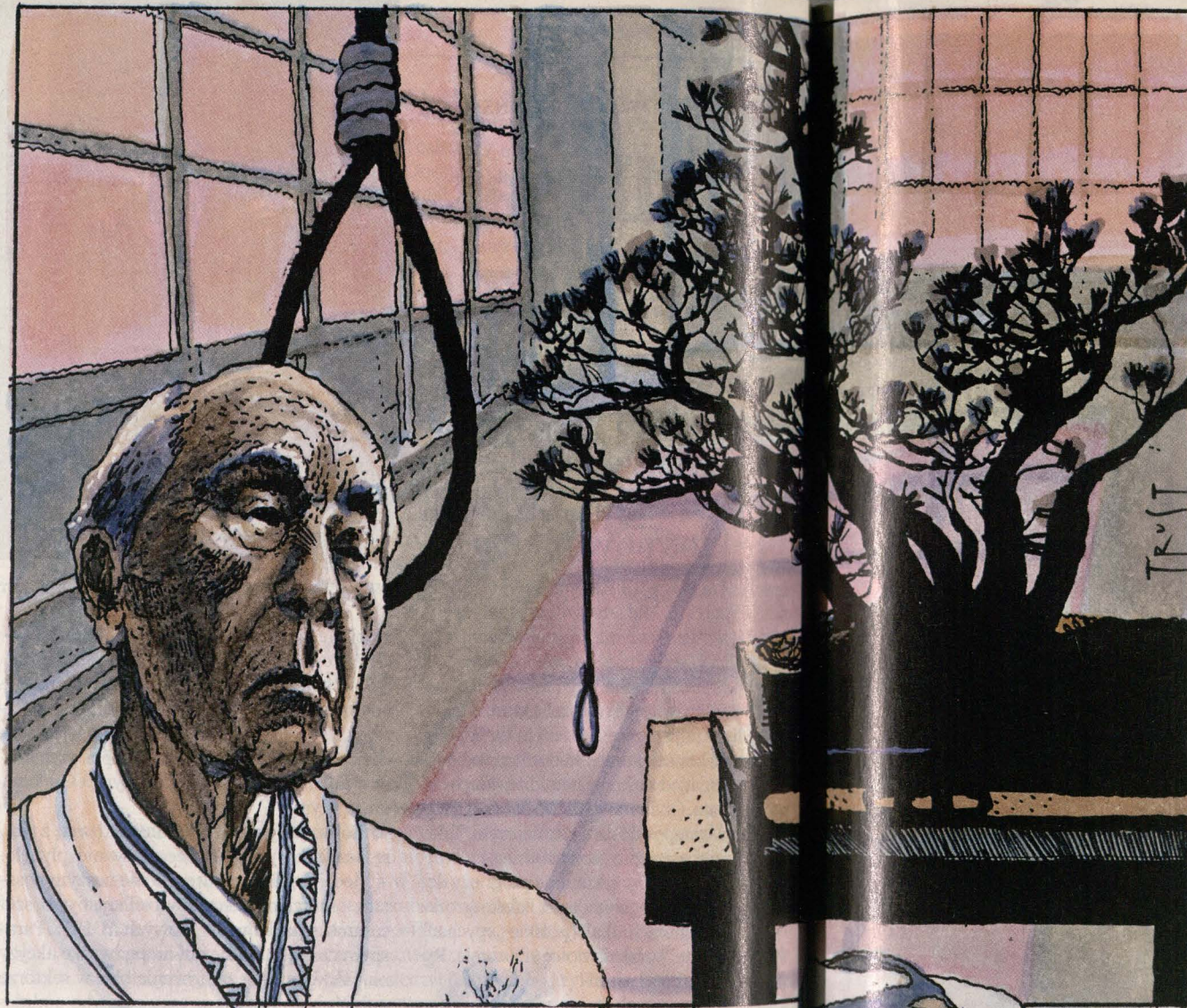
Nie zawsze jednak udaje się nawiązać taki kontakt. Co trzeci rozmówca w podeszłym wieku kończy rozmowę i odbiera sobie życie, zanim ktokolwiek do niego dotrze.

Zauroczenie Zachodem

Przecież jedną z najważniejszych powinności dziecka, a szczególnie pierworodnego syna, jest opieka nad starzejącymi się rodzicami. Wspólne mieszkanie i utrzymanie ich do końca życia – mówi profesor James Traphagan, religioznawca ze stanowego uniwersytetu w Austin w Teksasie. – Koreańscy, japońscy czy chińscy rodzice mieli prawo tego oczekiwać: latami odejmowali sobie od ust, by nakarmić dzieci, wydawali ostatnie grosze na ich edukację.

Ten zakorzeniony w tradycji system rodzinny działał bez zgrzytów w sporej części Azji przez kilkanaście wieków. Niepotrzebne były państwowe emerytury ani domy starców, bo wszystko zapewniał najstarszy syn. Dbał o rodziców nie tylko z miłości, ale także z obawy, że w przeciwnym razie zostanie potępiony przez otoczenie.

I nagle kilkanaście lat temu wszystko zaczęło się zmieniać. Młodzi Azjaci zachwyceni płynącymi z Zachodu ideami wolności i osobistego rozwoju zapomnieli o zasadach. Mają własne, całkiem nowe problemy: pracują od ra-



SPÓŁCZENSTWO RENATA KIM, ILUSTRACJA TRUST

Rachunek śmiercią opłacony

Starzy rodzice w Azji już nie liczą na swoje dzieci. Wolą odebrać sobie życie

na do nocy pod ogromną presją sukcesu, muszą kupić mieszkanie, z roku na rok coraz droższe, oraz wysłać dzieci na prywatne kursy do kształcenia, które kosztują fortunę. – Na tym właśnie polega dramat – tłumaczy doktor Liu Hui-li z uniwersytetu medycznego Laohsiung na Tajwanie. – Wszystkim, w tym władzom, wydaje się, że starsi ludzie żyją pod opieką młodszego pokolenia. Starsi oczekują od dzieci wsparcia emocjonalnego i finansowego. Ale młodzi coraz rzadziej są w stanie spełnić te oczekiwania – mówi doktor Liu.

Nic zatem dziwnego, że na przykład Korea Południowa ma najwyższy ze wszystkich krajów OECD wskaźnik samobójstw – na każde 100 tysięcy mieszkańców co roku życie odbiera sobie blisko 25 osób, a 30 procent wszystkich samobójców to ludzie po sześćdziesiątce. Profesor Hong Kang-Eui, przewodniczący koreańskiego towarzystwa zapobiegania samobójstwom, od lat bada, dlaczego w kraju, w którym przecież panuje dobrobyt gospodarczy, chce się zabić tylu ludzi. Według niego to właśnie ten dobrobyt jest przyczyną całej

ła skazana na pięć lat więzienia. Gdy sędzia pytał, dlaczego nie poprosiła o wsparcie mieszkającej w pobliżu córki, powiedziała, że się wstydziała. O tym, że w Japonii istnieje pomoc społeczna, nie wiedziała.

Na początku lutego tego roku życie odebrała sobie 69-letnia mieszkanka Singapuru. Li Meixiang wyskoczyła z okna mieszkania na 13. piętrze wieżowca. Mąż, emerytowany taksówkarz, jest ciężko chory na raka jelita grubego, a 30-letni syn od kilku miesięcy nie może znaleźć pracy. Prasa natychmiast przypomniała zgryźliwe powiedzenie, że mieszkańców Singapuru stać na śmierć, ale już nie na leczenie. To samo dotyczy mieszkańców większości krajów Azji: obowiązkowe ubezpieczenia, jeśli są, pokrywają tylko najprostsze zabiegi. Za wszystko inne trzeba płacić, więc dłuższy pobyt w szpitalu może zrujnować rodzinę. Jeśli dzieci nie pomogą, nikt już nie pomoże.

Nie wolno być ciężarem

Na dodatek Azja szybko się starzeje. W latach 60. ubiegłego wieku przeciętna długość życia w Korei Południowej wynosiła nieco ponad 62 lata. Teraz to już prawie 80 lat. – Seniorzy tworzą zupełnie nową generację: zgubili własną kulturową tożsamość, próbując desperacko zrozumieć współczesny świat – mówi profesor Hong. – Wielu z nich mieszka samotnie, co jeszcze kilkanaście lat temu było nie do pomyslenia.

On sam uważa się za szczęściarza, bo ma solidną uniwersytecką emeryturę. Widzi jednak wokół siebie mnóstwo osób, które muszą wyciągać rękę do dzieci. – Taka sytuacja jest szczególnie trudna dla ludzi żyjących samotnie na wsi. Ich dzieci wyjechały do dużych miast, a oni zostali na roli, której nie są w stanie uprawiać. Kiedy więc jest im ciężko, biorą puszkę środka owadobójczego, bo ten na wsi jest zawsze pod ręką, i kończą swą udrękę – opowiada profesor Hong.

W Japonii już 21 procent mieszkańców kraju ma ponad 65 lat. Blisko jedna czwarta z nich żyje poniżej granicy biedy wyznaczonej przez OECD. Podstawowa państwowa emerytura w wysokości 66 tysięcy jenów, czyli około 800 dolarów, nie wystarcza nawet na najskromniejsze życie. Prywatne składki emerytalne opłaca jedynie 45 procent pracujących.

Profesora Johna Traphagana, który analizował przyczyny samobójstw seniorów w Japonii, zaskoczyło to, że szczególnie często popełniają je osoby żyjące w dużych, wielopokoleniowych rodzinach. Doszedł do wniosku, że gdy na niewielkiej powierzchni gnieździ się kilka generacji, starsi paradoksalnie czują się bardziej wyobcowani, niż gdyby mieszkali sami. – Bo nie potrafią się dogadać z młodszymi. I to dosłownie: jeśli senior mówi w rzadkim dialekcie, to wnukowie go nie rozumieją. Znam ludzi, którzy skarżyli się, że do dzieci ich dzieci dociera załedwie jedna trzecia tego, co mówią. To tworzy poczucie izolacji – opowiada. Jego zdaniem ironia tkwi w tym, że Japonia jest

opisywana jako kraj, w którym zawsze można się na kimś oprzeć. – Tyle że równocześnie nie ma przyzwolenia na to, by być dla kogoś ciężarem – tłumaczy.

Uratowani znów chcą umrzeć

Najbardziej otwarta na publiczną dyskusję o samobójstwach najstarszych obywateli jest Japonia. Ale już w Chinach, gdzie odebranie sobie życia to wciąż społeczne tabu, rodziny zmarłych często starają się ukryć prawdę. Samobójcy też zazwyczaj nie obarczają dzieci odpowiedzialnością, a prasa ogranicza się do enigmatycznej informacji, że przyczyną desperackiego kroku były trudności finansowe. Wszyscy i tak doskonale wiedzą, że starszyskowie byli na utrzymaniu dzieci.

W Korei Południowej media nie informują o samobójstwach. Chyba że popełni je znana aktorka czy były prezydent Roh Moo-hyun, który w maju ubiegłego roku skoczył z wysokiej skały.

Co gorsza, wszędzie brakuje systemowych działań na rzecz zapobiegania takim pokoleniowym dramatom. Profesor Park Ji-young z uniwersytetu Sangji dotarła do 27 emerytów, którzy próbowali odebrać sobie życie, ale zostali odratowani. Pytała, dlaczego zdecydowali się na tak drastyczne wyjście. Większość opowiadała, że czuła się winna, bo musi polegać na swoich dzieciach. Ośmioro ankietowanych kilka miesięcy po pierwszej próbie samobójczej znów chciało ze sobą skończyć. Profesor Park uważa, że trzeba jak najszybciej stworzyć dla seniorów sieć ośrodków pomocy w ich najbliższym otoczeniu.

Próbują to robić władze Hongkongu, które w zeszłym roku przeznaczyły blisko 625 tysięcy dolarów na promocję aktywnego stylu życia w podeszłym wieku. Z kolei na Tajwanie kilka tygodni temu rozpoczęto niezwykłą kampanię: 10 największych sieci supermarketów zobowiązało się, że ich ekspedientki każdego klienta, który kupi jedynie węgiel drzewny, zapytają, po co mu on, i w razie podejrzenia powiadomią policję. Wdychanie trujących oparów węgla jest bowiem najpopularniejszą metodą odebrania sobie życia na wyspie.

Doktor Liu Hui-li uważa jednak, że żadna taka akcja nie wystarczy: aby naprawdę poprawić sytuację, rząd Tajwanu powinien raczej wspierać publiczną służbę zdrowia, poprawić system pomocy społecznej i zasiłków rodzinnych. A przede wszystkim namawiać obywateli, by uczyli się i przez całe życie podnosili swoje kwalifikacje. Bo tylko w ten sposób uniezależnią się od państwa i swoich dzieci.

W przeciwnym razie – jak ostrzegają eksperci – samobójstw wśród seniorów będzie przybywać. Takich jak przypadek 72-letniego mężczyzny z południowokoreańskiego portu Busan. Obok buteleczki po truciznie samobójca zostawił krótki list: „Rachunek za leczenie w klinice stomatologicznej wynosi około 20 milionów wonów. Wolę poświęcić siebie”. 20 milionów wonów to 15 tysięcy dolarów. □



Upiera się, że nie jest młody i nieobliczalny. Chwali się, że zna angielski i zapowiada „panowanie w wersji light i fitness. Panie i panowie. Kandydat na kandydata — **Radek Sikorski**

SYLWETKA

W tym tygodniu:
ANIOŁ Z KRAKOWA WŁAŚNIE
OPUŚCIŁ ARESZT — S.28 GORILLAZ
WRACA ZE ŚWIETNĄ PŁYTĄ
— S.32 NAJSZTUB PROWOKUJE
SIKORSKIEGO — PONIŻEJ

**Najsztab
pyta**



WALCZACY Z OBCIACHIEM

Rozmowa odbyła się 23 lutego 2010 roku w Warszawie

Umie pan przegrywać?

— Wolę wygrywać.

Umie pan przegrywać?

— W życiu przeważnie udawało mi się wchodzić w te spory, w których nie tylko miałem przekonanie co do swoich racji, ale też szansę na sukces. Gdy jechałem na wojnę w Afganistanie, wielu nie dawało szans na sukces...

Że pokona pan Związek Radziecki?

— A ja ten sukces po stronie partyzantów widziałem i — jak pan wie — wygraliśmy.

Pytam raczej o radzenie sobie z osobistą porażką, bo mężczyzna musi się tego nauczyć, nie rodzi się z tym.

— Jestem dziwnie spokojny, że o moich porażkach chętnie porozmawiają moi konkurenci, więc proszę tego ode mnie nie wymagać.

Po co pan się stara o prezydenturę? Jest pan młodym człowiekiem, dajmy na to zostanie pan prezydentem, może nawet będzie reelekcja...

— Przerwę panu, bo rozmawiamy w dniu moich 47. urodzin.

Przerwę panu, bo rozmawiamy w przeddzień moich 48., a ja uważam, że jestem młodym człowiekiem.

— Gratuluję dobrego samopoczucia. Jednak rozmawiamy w kategoriach politycznych i to dokładnie ten wiek, w którym prezydent USA objął urząd, a prezydent Kwaśniewski był o pięć lat młodszy ode mnie, gdy obejmował urząd.

Na prezydentów USA, gdy kończą prezydenturę, czeka cały program zagospodarowujący im życie. Oni mają co robić i nie są po prostu emerytami o głośnych nazwiskach. A w Polsce, widać to na przykładzie prezydenta Kwaśniewskiego, tego programu nie ma. Więc po prezydenturze nie byłoby już miejsca dla pana w polskiej polityce. Chce pan tak skończyć?

— Rzeczywiście uważam, że to jest ułomność naszego systemu i stąd moja propozycja, aby byli prezydenci zostawiali dożywotnimi senatorami.

I odejść już od starszejszego przekonania, że bardzo ważnym urzędnikiem państwowym jest się do końca życia. Czy to w parlamencie, czy w kolejnych ministerstwach ciągle sobie przypominam, że jestem tutaj tylko gościem. I że przyjdzie ten moment, kiedy wsiadę rano do samochodu, otworzę gazetę, a samochód nie pojedzie, bo już zostałem odwołany i nie mam kierowcy.

Doceniam żart. Ale co potem?

— Pije pan pod niewłaściwy adres, bo zanim zostałem ministrem, prezentowałem stanowisko Polski, argumenty na rzecz naszego regionu, w ważnych think tankach w Europie, w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli to robiłem, zanim zostałem parlamentarzystą, a co dopiero ministrem, to znacznie skuteczniej mógłbym to robić z prestiżem byłego ministra czy wyżej.

Zaskoczyła pana decyzja Tuska o niekandydowaniu?

— O jego wahaniach dowiedziałem się wiele miesięcy temu, więc kiedy decyzja zapadła, nie była dla mnie zaskoczeniem.

Dreszcz przeszedł po plecach, że oto rysuje się szansa?

— Pojawił się, gdy premier zaakceptował koncepcję prawyborów, które mają się rozegrać wśród członków partii, bo wtedy trzeba liczyć, że członkowie PO mają podobne preferencje jak większość społeczeństwa, a ona widziałaby mnie na tym urzędzie.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiał pan o tym z żoną?

— Zeszłego lata.

Pan ją przekonywał, że chciałby, że powinien, czy pytał ją, jak ocenia pana szanse?

— Żona życzyła mi zwycięstwa przy wigilijnym opłatku w ostatnie święta.

To dziwne. Przecież dla niej bycie żoną prezydenta to kłopot, bo jest aktywną publicystką o znaczącym głosie.

— Jak mawia klasyk języka polskiego: są plusy dodatnie i plusy ujemne w byciu żoną polity-

ka. Byłem już politykiem, gdy się pobieraliśmy, więc mógłbym powiedzieć obcesowo: widziały gały, co brały.

Ale już wtedy pokazywał pan jej plecak, w którym była buława?

— Gdy 18 lat temu braliśmy ślub, byłem już byłym wiceministrem obrony. Od tego czasu ponownie byłem wiceministrem, senatorem, posłem i ministrem obrony. Żadnych zaskoczeń. **Panie ministrze kandydacie, nie obawia się pan, że żydowskie pochodzenie pana żony może stanowić wyborczy problem w Polsce, w której istnieje podskórny antysemityzm?**

— Nie jestem panu wdzięczny za to, że pan wywołuje złego ducha...

Nic nie wywołuję. Widzę go.

—...z lasu, że pan pyta o coś, co nie jest kwestią debaty publicznej. Mam wiarę w tolerancję Polaków, w ich zdrowy rozsądek. Nie zauważyłem, żeby kłopotem kiedykolwiek był protestantyzm Jerzego Buzka czy Adama Małyszka.

To będzie tak: najpierw na forach internetowych zaroi się od obelg pod adresem pańskiej żony, również pana...

— To nic nowego.

Tyle że będą boleśniejsze, bo arsenał obelg antysemickich jest dotkliwy. Czy pan w swoich kalkulacjach wyborczych bierze ten element pod uwagę?

— Biorę to pod uwagę, myślałem o tym i rozmawiałem z przyjaciółmi. Uważam, że jest margines polskiego społeczeństwa, który uważa, że to dyskwalifikuje moją kandydaturę. Ale większość z nich i tak nie głosuje na Platformę Obywatelską. A proszę zważyć na zalety sytuacji, w której mimo tego marginesu bym wygrał. Co by to powiedziało Polakom o nas samych i co by to powiedziało światu o Polsce? Rozmawiałem z amerykańskimi przyjaciółmi, którzy też o to zapytali i którzy po rozmowie doszli do wniosku, że właściwie to jest tak jak u nich. To byli akurat ludzie, którzy zawsze głosowali na Republikanów, a w ostatnich wyborach —



→ głosowali na Obamę. Dlaczego? Bo powiedzieli, że „a niech są na parę lat wyższe podatki, ale chcemy, żeby ta sprawa rasy w naszym kraju raz na zawsze została zamknięta. Pewnie u was jest tak samo, ludzie już mają dość bycia oskarżanymi o antysemityzm”.

Coś pan mruczy pod nosem, jak czyta o sobie „nieprzewidywalny kandydat”?

– Czekam na jakieś przykłady tych moich nieprzewidywalnych decyzji jako ministra obrony czy ministra spraw zagranicznych. A z drugiej strony to nie ja jeździłem na jakiś posterunek w górach w nocy, żeby usłyszeć strzał ostrzegawczy, i nie ja chodziłem na wiecie i zapowiadałem walkę z Rosją. A pod adresem tamtego polityka ten zarzut nie pada. Uważam, że jeżeli jest się wyrazistym politykiem – a ja taki jestem – to zdarza się czasami człowiekowi powiedzieć, której potem żałuje, a przynajmniej żałuje jej interpretacji.

W tym kontekście przywoływane jest to, że porównał pan umowę o rurociągu północnym do paktu Ribbentrop–Mołotow.

– A co ja powiedziałem?

Opinia publiczna zapamiętała, że powiedział pan, że rurociąg północny jest współczesnym paktem Ribbentrop–Mołotow.

– A faktycznie powiedziałem, że rurociąg północny był umową zawartą ponad naszymi głowami. A my, Polacy, mamy alergię na umowy zawarte ponad naszymi głowami, takie jak... I tu wymieniałem parę takich umów, w tym tę, o której pan mówi. Czy w tym znajduje pan coś nieprzewidywalnego albo naganego?

To pytanie zadałem już dwa tygodnie temu Bronisławowi Komorowskiemu, więc teraz zadam je panu. Czy pan nosi w sobie zdolność do bycia Brutusem? Bo wyobraźmy sobie, że zostaje pan prezydentem, rządzi nadal Donald Tusk, jest drugi raz premierem, jest tak jak dziś uważany za nieomylnego w Platformie, więc decyduje o tym, co PO mówi i robi. A może się okazać, że popełnia błędy, ale ich nie widzi. Wtedy prezydent, na przykład z PO, powinien mieć determinację Brutusa, żeby go zepchnąć z roli głównodowodzącego.

– To jest pytanie o rolę prezydenta w procesie politycznym. Nie aspiruję do roli prezydenta, który by obalał czy powoływał premierów albo nawet chciał współrządzić. Tu się z Bronisławem Komorowskim różnimy. On jest zwolennikiem propozycji konstytucyjnych, które przy osłabieniu weta dałyby prezydentowi prawo do zgłaszania poprawek na każdym etapie procesu legislacyjnego. Ja uważam, że to prezydentowi jest niepotrzebne. Co za tym idzie – nie aspirowałbym też do systemu, w którym prezydent może obalić premiera. Odwrotnie – deklaruje to w swojej odezwie wyborczej i wobec pana, że chciałbym reprezentować Polskę w kraju i za granicą niezależnie od tego, kto nią rządzi. I moją aspiracją byłoby wyłączenie prezydenta z procesu współrządzenia w sprawach, za które

odpowiada rząd, bo uważam, że nieszcześciem Polski jest pomieszanie kompetencji i odpowiedzialności. Prezydent nie zna się, nie ma aparatu urzędniczego, eksperckiego do orzekania w sprawach reformy zdrowia, reformy emerytur czy zawiadywania gospodarką i nie powinien się do tego mieszać.

Musi, bo musi podpisywać ustawy.

– Nie musi. Prezydent może zadeklarować, że każdą ustawę, która nie łamie konstytucji, która nie dyskryminuje obywateli, która nie psuje pieniądza, podpisze, bo rząd ma swój mandat społeczny i w swoim zakresie ma rządzić, jak umie najlepiej, i zostanie przez społeczeństwo w innym trybie rozliczony. Ja chciałbym być prezydentem takim w wersji *light*.

I fitness?

– Tak, jeżdżącym na rowerze bez zadęcia, który nie próbuje być trzecią izbą parlamentu. Prezydent ma dość prerogatyw, żeby być traktowanym poważnie przez zagranicę jako partner w dialogu, ale nie tyle, żeby...

Jeśli mówi głosem rządu.

– Dokładnie, przecież cały dramat prezydenta Kaczyńskiego polega na tym, że on sądził od po-

Nie aspiruję do roli prezydenta, który by obalał czy powoływał premierów albo chciał współrządzić

RADEK
SIKORSKI

nad dwóch lat, że dla zagranicy jest podmiotem samodzielnym, nie rozumiejąc, że cały jego autorytet w relacjach z zagranicą wynikał – na początku przynajmniej – z domniemania, że reprezentuje państwo polskie, a nie siebie, swoją kancelarię i szefa opozycji. A więc prezydent powinien się trzymać bardzo blisko stanowiska rządu i je reprezentować – z wyjątkiem kwestii z przecięcia spraw zagranicznych i obronnych, gdzie ma pewne mocniejsze umocowania.

Czyli co może robić?

– Może powołać Radę Bezpieczeństwa Narodowego, która – przypomnę – nie spotkała się od ponad dwóch lat, a do której powinni należeć...

Członkowie obecnej, powołani przez prezydenta Kaczyńskiego, nie muszą się spotykać, bo myślą tak samo jak prezydent w każdej sprawie. To byłaby strata czasu.

– Dokładnie. A powinna to być Rada Bezpieczeństwa Narodowego, do której weszliby premier, kluczowi ministrowie, szefowie stronnictw politycznych, zwoływana na przykład raz na miesiąc w jakiejś ważnej dla strategicznych interesów państwa sprawie. Nie byłaby miejscem podejmowania decyzji, lecz wymiary kluczowych informacji i docierania się stanowisk. Gdzie prezydent siłą i perswazji, i autorytetu urzędu, i intelektu mógłby mieć wpływ na sprawy państwa. Bo moim zdaniem prezydent w Polsce panuje, a nie rządzi...

Co to znaczy „panuje”?

– Może mieć wpływ, a nie władzę, i może mieć dużą wartość dodaną dla kraju poprzez właściwe jego reprezentowanie.

Czyli kiedy nad sobą panuje? Z tym się zgodzę!

– Polska dojrzała do pokazania światu nowej twarzy kraju skoku cywilizacyjnego, młodzieży, która włada językami, kraju bez kompleksów.

Pan nie ma kompleksów?

– Wydaje mi się, że jestem typowy dla mojego pokolenia Polaków.

Czyli ma pan. Jakie?

– Wychowałem się na osiedlu leśnym w Bydgoszczy, w bloku, chodziłem do szkoły numer 20, tak zwanej tysiąclatki, potem do Liceum Ogólnokształcącego numer 1 imienia Ludwika Waryńskiego, więc wydaje mi się, że jestem w pewnym sensie przykładem awansu społecznego i cywilizacyjnego dzięki odzyskaniu wolności. Potem doświadczenie emigracji, też typowe dla naszego pokolenia Polaków...

Ale czy architektoniczna brzydota – nie bójmy się tego słowa – Bydgoszczy nie uszkodziła pańskiego ośrodka estetycznego?

– Pan prezydent Kaczyński powiedział mi kiedyś: „Pochodzisz z tej parszywej Bydgoszczy i żaden Oksford tego nie zmaże”. I ja się z panem oraz panem prezydentem w tej sprawie nie zgadzam.

Przecież Bydgoszcz jest brzydka...

– A był pan niedawno na starówce bydgoskiej, na Wyspie Młyńskiej?

Już dawno nie byłem.

– Zachęcam, mile pan się zdziwi. Pobliski Żnin, z którego pan pochodzi, też wypiękniał. Moi synowie uwielbiają kolejkę wąskotorową z Wenecji do Biskupina.

Pojadę. Kiedy pan był w Oksfordzie i w podobnych miejscach osławionych mądrością, historią, tradycją, nie miał pan „kompleksu bydgoszczanina”?

– Bydgoszczanina nie, bo nikt tam o Bydgoszcz nie słyszał, natomiast na Oksfordzie w latach 80. jako Polak z komunistycznej Polski miałem poczucie bycia zwierzęciem dość egzotycznym.

Panny na to leciały?

– Bywało. Egzotyka z jednej strony, a z drugiej w Anglii zawsze panowało domniemanie, że Polak to jednak ktoś, kto walczy o wolność, z kim sympatyzujemy. I bycie człowiekiem Solidarności też pomagało w ciepłym przyjęciu.

A jak już jesteśmy – czy właściwie ja jestem – przy kobietach, to czy pójdzie pan na nowy film Polańskiego z żoną?

– Naturalnie.

Ona nie jest zazdrosna o pana wcześniejszą miłość, która gra tam rolę – podobną niezłą – żony premiera, która na koniec okazuje się agentką CIA? Czytałem, że to była pana pierwsza miłość, trwała cztery lata...

– Żona jest fanem aktorstwa Oliwii Williams.

Nie ma takiej prostej kobieciej zazdrości?

– Panie doceniają talenty w swoich dzie-
dzinach.

Nie żałuje pan czasami, że nie jest mężem hollywoodzkiej gwiazdy?

– Myślę, że rola męża hollywoodzkiej gwiazdy usatysfakcjonowałaby mnie przez jakiś tydzień. Wystarczyłoby się uzależnić od narkotyków, a potem już by jakoś poszło. Panie mini-
strze, przeczytał pan wywiad z pańskim byłym wiceministrem Waszczykowskiem?

– Nie śledzę publicystyki ministra Waszczykowskiego, ale rad bym wiedzieć, czy reprezentuje stanowisko Lecha Kaczyńskiego.

To zacytuje. On twierdzi, że kiedy wyłączają się kamery i mikrofony, jest pan chamem, operuje wulgaryzmami. To prawda?

– W szczególnym przypadku ministra Waszczykowskiego zdarzyło mi się, że gdy zapomniałem w ważnych negocjacjach, którą stronę stołu negocjacyjnego reprezentuje, to rzeczywiście usłyszałem ode mnie reprimendę wyrażoną w stanowczych, żołnierskich słowach.

Czyli jak burą sukę go pan potraktował?

– Jak powiedział uchodźca polityczny z PiS...

Ale to są wyjątki w pana życiu czy ma pan taki żołnierski styl bycia?

– Są jednostki, dla których zdarzyło mi się odejść od języka dyplomacji.

Jak pan sądzi, czy dla prezydenta Kaczyńskiego czymś bardziej gorzkim byłaby przegrana z panem niż z Donaldem Tuskiem?

– Tak wnoszę po nerwowych reakcjach jego brata, bo przypomnę, że gdy tylko zapadła decyzja o prawyborach, prezes Kaczyński powiedział o dyskwalifikujących mnie zdarzeniach z przeszłości, a z kolei Lech Kaczyński stwierdził, że preferowanym przez niego rywalem byłby Bronisław Komorowski. Rozumiem więc, że bracia Kaczyńscy chcieliby wybrać, z kim z PO konkurują. Uważam, że powinniśmy tę ich preferencję wziąć pod uwagę...

Może obaj mogliby zgłosować w waszych prawyborach?

–...ale niekoniecznie musimy wybrać tak jak oni.

Ta świadomość wkurzania ich daje panu dodatkowy napęd?

– A jeszcze chciałbym zauważyć, bo mówimy tutaj o nieodpowiedzialności i nieprzewidywalności, że tym jest właśnie gołosłowne atakowanie urzędującego ministra spraw zagranicznych. I to jeszcze w momencie zasadniczego sporu z sąsiednim krajem.

Radosław Sikorski, 47 lat, jeden z głównych kandydatów PO w wyścigu do fotela prezydenckiego. Zanim poświęcił się polityce, pracował dla brytyjskich mediów. Był między innymi korespondentem wojennym w Angoli, Jugosławii i Afganistanie (za zdjęcie z tego ostatniego **zagrożono go World Press Photo**). W rządach Marcinkiewicza i Kaczyńskiego był ministrem obrony, w gabinecie Buzka i Tuska – szefem MSZ. Żonaty z amerykańską dziennikarką Anne Applebaum, mieszkają z dziećmi w podbydgoskim Chobiecinie.

Pan wie, o co im chodzi? Jarosław lub Lech Kaczyńscy musieli to już kiedyś panu osobście zarzucić...

– ...bracia Kaczyńscy muszą się czuć strażnikami tak wielkiej tajemnicy, iż poculi, że muszą chronić państwo polskie przed tak niebezpiecznym osobnikiem...

No to co pan takiego niegodziwego zrobił?

– Kolejny raz powiedziałem „sprawdzam” i kolejny raz okazało się, że blefowali. Takie atakowanie z za węgla rzekomej tajemnicy państwowej jest aktem tchórzostwa braci Kaczyńskich. **Mówi pan często, że nie ma powodów do wstydu... A czy sposób, w jaki zostały zlikwidowane WSI, to nie jest jednak powód do wstydu? Pan był wtedy ministrem obrony, pod pana skrzydłami Antoni Macierewicz to robił.**

– Przypominam, że WSI miały sporo za uszami. Jestem najlepiej udokumentowaną ofiarą WSI, opublikowałem swoją teczkę. I przypomnę, że likwidacja WSI była wspólną decyzją PO i PiS. A ja nie miałem wiedzy o tym, jakie są naprawdę WSI, zanim nie zostałem ministrem obrony. Z perspektywy czasu uważam, że można było tę służbę zlikwidować i przekształcić znacznie mniejszym kosztem zarówno dla tych – w większości lojalnych – oficerów WSI, jak i dla państwa polskiego. Wydaje mi się, że braciom Kaczyńskim WSI były potrzebne jako taki kolejny wróg, przeciwko któremu mobilizuje się własne zaplecze polityczne i społeczeństwo.

No i pan wziął w tej mobilizacji udział.

– Już wtedy uważałem, że ostatnią osobą, która się nadaje do przekształcenia WSI w prawdziwe oczy i uszy polskiego wojska, jest Antoni Macierewicz. Prezes Kaczyński mnie oszukał. Obiecał mi, że nominacja dla Antoniego Macierewicza będzie na trzy miesiące, a potem odmówił zdymisjonowania go. Nawet po tym, gdy było jasne, że Macierewicz mówi rzeczy nieodpowiedzialne, choćby o ministrach spraw zagranicznych jako sowieckich szpiegach.

I co pan myśli teraz, jak słyszy, że w nieopublikowanym aneksie do raportu z likwidacji tych służb są argumenty przeciwko Bronisławowi Komorowskiemu?

– Po pierwsze, nie wierzę w żadne niestosowne zachowanie Bronisława Komorowskiego. Po drugie, myślę, że społeczeństwo ma po dziurki w nosie kontrowersji związane z WSI. Po trzecie, wiarygodność autorów i oryginalnego raportu z likwidacji WSI, a tym bardziej aneksu, jest tak niska, że będzie to tylko powodem do wierszówki dla dziennikarzy, a nie poważnym wkładem do jakiegokolwiek dyskusji.

Kiedy pan podejmował decyzję, że będzie kandydować, to musiał pan jednak trochę się liczyć z przegraną, która utrudniłaby dalszą karierę.

– Pan ciągle wraca do motywu kariery, a...

A pan co robi? Wiem! Pan służy.

– Uważam, że mam pewną wartość dodaną, to znaczy, że jeżeli wśród ministrów innych państw mój głos bywa zauważany, to to znaczy,

że nasz region powinien mieć rzeczników, którzy poprawną angielszczyzną nawiążą kontakt jak równy z równym.

Pańska poprawna angielszczyzna to minimalistyczne podejście.

– Bo ja się zgadzam z prezesem Kaczyńskim, że bez znajomości angielskiego można być w Europie co najwyżej politykiem czwartej kategorii.

Myśli pan, że żona sprawdziłaby się w roli polskiej pierwszej damy?

– Mówiąc żartobliwie, moja żona jako pierwsza dama byłaby wydarzeniem medialnym i towarzyskim. Przyjeżdżałaby tutaj z Londynu i Nowego Jorku i chcieliby rozmawiać z nią o Polsce, więc takiej szansy na darmową reklamę naszego kraju nie powinniśmy marnować.

A co z jej ewentualnym polskim obywatelstwem?

– Żona zadeklarowała, że chciałaby uzyskać polskie obywatelstwo, ale od następnego prezydenta.

My ją trochę śmieszymy z tymi naszymi historycznymi zakrętkami?

– Żonę bawi na przykład nasza wiara, którą ja też kiedyś miałem, że można dostać grypy od otwartego okna. I jak twierdzi, jesteśmy jedynym krajem na świecie, w którym ludzie wierzą, że ciśnienie powietrza wpływa na samopoczucie.

Ma jeszcze jakieś inne ciekawe obserwacje o nas?

– Tak. Na przykład uważa, że Polska jest umieszczona w złej strefie czasowej.

Bo?

– Bo na przykład latem robi się jasno o czwartej rano.

A my dalej śpimy...

– I to parę godzin. To była nasza wspólna refleksja po wizycie w Hiszpanii, że jesteśmy w tej samej strefie czasowej, a tam latem wschód słońca jest o 7.30, a jasno jest do północy.

Co w starciu z Lechem Kaczyńskim byłoby pańskim atutem oprócz młodego wyglądu i znajomości języka angielskiego?

– To, że ludzie już nie chcą obciachu, żeby – gdy oni lub ich dzieci podróżują i spotykają się z obcokrajowcami – mogli być z prezydenta dumni, a nie się go wstydić.

Pięknie... Pan jest przystojny?

– Nie mnie o tym sądzić.

Pan jest przystojny?

– Ważne, że żona tak sądzi.

Używa pan kremów przeciwmarszczkowych?

– Nie.

Coś na włosy, żeby się nie przerzedzały?

– Nie.

Nie boi się pan starzenia ciała?

– Rozmawiałem kiedyś z Aleksandrem Kwaśniewskim jako ministrem obrony i zeszło właśnie na starzenie się. Powiedziałem mu: „Panie prezydencie, moja twarz, młodsza niż mój wiek, przeszkadza mi w polityce”. A on mi na to: „Panie ministrze, pan się nie boi, to minie”.

Miał rację.

FAŁSZERZ OD ANIOŁÓW

Rozprowadzał je, karmiąc gołębie, kupując biednym dzieciom prezenty, a sąsiadom drewno na opał. **Krzysztof W.** zrobił połowę wszystkich krążących po Polsce fałszywych pięciozłotówek. Są doskonałe, eksperci nie rozpoznają podróbek

PASJONAT ANNA SZULC

CIOCIA KRYSIA, KTÓRA Z RACJI BLISKIEGO pokrewieństwa zna 39-letniego Krzysztofa W. od urodzenia, ba, nawet mieszka w tym samym wielkim domu na krakowskim peryferijnym Bieżanowie, z pełnym przekonaniem twierdzi, że gdyby nie zbieg niefortunnych okoliczności, jej siostrzeniec mógłby uchodzić za emanację anioła. Konkretnie Anioła Ciszego.

– Nie palił, nie pił, z dziewczynami się nie spotykał. Wołał słuchać, niż mówić. Miał anielską cierpliwość i wielkie serce. Chętniej dawał, niż brał. Dobre uczynki to jego specjalność. A do swojego pokoju po schodach wchodził tak cichutko, jakby unosił się nad ziemią – wspomina kobieta. Dlatego właśnie ani ciocia, ani pozostali krewni nie mieli pojęcia o tym, co Krzysztof robił przez osiem lat w pobawionej okien szopie obok domu.

Gdy więc w marcu 2008 roku około szóstej rano usłyszała na schodach głośny tupot, nie mogła przestać się dziwić. Pomyślała nawet, że coś się w zamieszkałym przez trzy rodziny domu zaważyło. Ale to były buty uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy Karpackiego Oddziału Straży Granicznej z Nowego Sącza. Do domu na Bieżanowie trafili, bo szukali po całym Krakowie fałszerzy dokumentów. Tych, którzy podrabiali paszporty i sprzedawali je nielegalnym uchodźcom zza wschodniej granicy. Jeden miał mieszkać w tym samym domu co rodzina Krzysztofa. Funkcjonariusze jednak przez przypadek zjawili się w pokoju Krzysztofa, a potem w jego szopie. I zdziwili się nie mniej niż ciocia Kryśia. Mimo że Krzysztof nigdy nie sfalszował ani skrawka papierka. Co więcej – nigdy dotąd nie był na bakier z prawem.

Restaurator Marcin Klisiewicz, kolega Krzysztofa ze szkoły podstawowej, opowiada, że nawet na węgry chodził niezauważalnie. Po prostu cichutko zniknął z lekcji. Najczęściej zaszywał się w pobliskim lasku, spacerował, czasem siadał pod drzewem. Nie nudził się we własnym towarzystwie, nie przepadał za gwarem, pytaniami, przepytывaniem przy tablicy. – Męczyła i nudziła mnie szkoła, jej hałas i rutyna, wkuwanie regułek, które do niczego nie wydawały mi się potrzebne – mówi mi Krzysztof. Cicho, jakby nieśmiało, z uśmiechem.

W 2008 roku sąd poprosił kuratora z Bieżanowa o wywiad środowiskowy. Kurator wyjaśnił: W. w szkole uczył się słabo. Zawsze był jednak spokojny, grzeczny i posłuszny. Krewnym Krzysztofa kurator również wystawił laurkę: rodzina robotnicza, bez większych ambicji i wymagań, na granicy ubóstwa, zawsze w granicach prawa. Matka od lat schorowana, na emeryturze. Ojciec, elektryk, zastawił rodzinę 20 lat temu. Rzadko kontaktuje się z synem.

Zwracam uwagę na formę

Zamiast do szkoły Krzysztof zaglądał do antykwariatów. Zwłaszcza tych, w których na sprzedaż wystawiano dzwony i dzwoneczki. Bo jego pasją były wówczas te szczególne dzieła ludzkich rąk, których jakość i forma w równym stopniu zależy od składu stopu co talentu i trzymanych w tajemnicy receptur twórcy. Szczególny podziw chłopaka budził sam proces tworzenia dzwonów. To, że najpierw metal trzeba rozgrzać do ponad tysiąca stopni Celsjusza, następnie zmie-

nić go w ciecz, by bulgocącą masę schłodzić w coś trwałego i pięknego. Później dowiedział się, że aby stworzyć trwały i piękny przedmiot, jego twórca musi najpierw zbudować jego negatyw, czyli dzwon fałszywy.

Czasami, niezbyt często, nie tylko na wagarach, Krzysztof konstruował ładunki wybuchowe. Mieszał sobie spokojnie i cicho salitrę z cukrem pudrem. – Lubilem łączyć rzeczy – wyjaśnia. Wybuchy na podwórku były głośne, ale sąsiedzi się do nich przyzwyczaili. Wychodząc z założenia, że chłopcy w tym wieku, jak to chłopcy, mają różne pomysły. I że lubią to i owo sobie połączyć.

O tym, że cukier może służyć do innych celów, że można go łączyć na przykład ze śmietanką albo z margaryną, Krzysztof dowiedział się kilka lat później w zawodowej szkole cukierniczej. Nigdy jej nie skończył. Nie przepadał za tłustymi, napuszczonymi tortami. Wołał wypiekać małe, okrągłe, zdobione słodkości. Do perfekcji w ich formowaniu doszedł w Ciasteczkach z Krakowa – jednej z najsłynniejszych cukierni w tym mieście. Przepracował tam nieco ponad rok.

– To było dla mnie ważne doświadczenie – przyznaje Krzysztof. – Zrozumiałem, że nawet najsmaczniejsze ciasteczko musi mieć ładny wygląd, że podstawą sukcesu jest nie tylko odpowiedni skład, ale także dobrze zrobiona matryca. Odtąd zawsze zwracałem uwagę na jakość oraz formę. I na drobiazgi.

To były wczesne lata 90. ubiegłego wieku. Cukiernia stała się jedną z najbardziej znanych w Polsce. I jedną z zasobniejszych. Krzysztof nigdy nie zapomni dnia, w którym na zapleczu pojawiła się lśniąca maszyna do walcowania słodkiej materii.

Cherubin do mnie mówi

Prawie dekadę później, w 1999 roku, odwzorowując zasady działania cukierniczej walcarki, W. z elementów kupionych między innymi na giełdzie samochodowej skonstruuje potężny przyrząd do walcowania – jak wałkiem ciasta – blachy na monety. Wcześniej będzie jeszcze bez większego powodzenia próbował sił jako sprzedawca na placu targowym, kierowca i masażysta. Prawie dwa lata spędzi w szpitalu, odrabiając w nim wojsko jako sanitariusz. Do armii iść nie chce – kojarzy mu się z przemocą.

Nie żałuje ani jednego dnia spędzonego w szpitalu, choć otaczali go ludzie ciężko, czasem śmiertelnie chorzy. Nieraz był przy nich, gdy przechodzili na tamtą stronę, gdy sami przyznawali, że czują na skórze dotyk Anioła Śmierci. Kiedyś Krzysztof pomyślał, że anioły mimo wszystko są fascynujące. Zawsze przynoszą jakąś wiadomość. Nawet wtedy, gdy człowiek nie chce się w anielskie podszepty wsłuchać.

Pewnego dnia, gdy jeszcze pracował w szpitalu, zaczął na własną rękę ich szukać. Zaczął od cementarzy, bo wydały mu się miejscem, w którym je znajdzie. Najpierw →



Matryce monet zarekwizowano, maszyny w szopie zostały, ale **Krzysztof W.** zmienia branżę. Teraz będzie drukować. Pocztówki

→ obserwował istoty niebieskie z daleka, potem się do nich zbliżał.

– Co pan tu robi? – pytali pracownicy cmentarzy.

– Zdjęcia aniołom robię – odpowiadał, a oni pukali się w głowy.

Krzysztof wyszukiwał wykute w kamieniach przygrobowe anioły sprawiedliwości, cherubiny, anioły wojny ze skrzydłami husarów, anioły kobiety tulące do piersi zmarłe dzieci, anioły spokoju i anioły mądrości. Potem wrzucał zdjęcia w komputer, by oddawać się sztuce fotomontażu, frywolnego łączenia różnych form anielskości – bo przecież zawsze lubił łączyć, nie tylko cukier z saletrą. Wychodziły z tego różne mieszanki. Anioły smutne, zamyślane, z reguły okryte patyną czasu, jakby wyjęte z XIX-wiecznych kartek pocztowych znalezionych w babcinej szufladzie. Zdarzały się nawet anioły nagie, ponętne. Tak, Krzysztof otarł się o Anioła Geniusza.

– Czy nam się to podoba, czy nie, mamy do czynienia z mistrzem nad mistrzami – zauważył wiele lat później, w 2009 roku, sędzia Bogdan Jędrzyś z Nowego Sącza w uzasadnieniu wyroku dla Krzysztofa W. Stwierdził to kilkanaście miesięcy po tym, jak strażnicy graniczni w sejfie ukrytym za szafą Krzysztofa znaleźli monety oraz matryce do ich odbijania.

Zagłuszy mnie Beethoven

– Gdyby monety leżały gdzieś na widoku i bez matryce, bardzo trudno byłoby nam rozpoznać, że są podrobione – powie zaraz po przesłuchaniu domu na Biezanowie na łamach lokalnej prasy major Marek Jaroński, rzecznik Karpackiego Oddziału Straży Granicznej.

Kilka miesięcy po zatrzymaniu fałszerza w marcu 2008 roku biegły do spraw mechanoskopii wypowie się w swojej opinii, że Krzysztofowi W., samoukowi, absolwentowi szkoły podstawowej, w warunkach gospodarczych udało się stworzyć coś, nad czym w zaciszu gabinetów i świetnie wyposażonych pracowni głowili się przez lata najwięksi inżynierowie. Że tak podrobione monety w takich warunkach mógł stworzyć tylko geniusz. Eksperci w sześciostopniowej skali jakości fałszywych pieniędzy przyznają monetom W. wartość najwyższą – szóstą. Takiej oceny nie dostał dotąd żaden polski fałszerz.

Jedynie, czym odróżniała się podrobiona moneta Krzysztofa od prawdziwej, to waga. Była lżejsza o ułamek grama. Dla dłoni to nie do wychwycenia.

Aniołów ludzi Krzysztof spotykał rzadko. Może dlatego, że od dziecka ludzi unikał. – Może w szpitalu takich widziałem? – zastanawia się dziś głośno. – Tam poznałem bliżej lekarzy, dla których wartością była nie tylko dobroć serca, ale też wiedza i wykształcenie. Ja wtedy nie wiedziałem nic, umiałem jedynie wałkować ciasteczka. A oni ciągle radzili mi: ucz się, synu. Wtedy do czegoś dojdiesz. Ucz się. I czytaj.

Zaczął czytać. O tym, co lubił najbardziej: o aniołach i dzwonach z brązu, ale też o innych metalach. Kupował książki chemiczne, stare podręczniki do metaloznawstwa i galwanotechniki. Któregoś dnia pod koniec lat 90. zgromadził już całkiem pokaźną bibliotekę. Innego dnia w telewizji zobaczył film o najsłynniejszych fałszerzach monet. Usłyszał wówczas, że zazwyczaj nie są zwykłymi przestępcami. Że to ludzie wiedzy i improwizacji, że to artyści. A W. nie chciał być już głupim Krzysztofem, chciał być twórcą.

– Coś w tym artyzmie fałszerzy jest – śmieje się Lech Kokociński, twórca i honorowy prezes Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego. – Owszem, zdarza się, że ludzie podrabiają monety wyłącznie z chęci zysku. Zazwyczaj są to wtedy kiepskie monety. Bywa jednak, że najważniejszy dla fałszerza jest akt tworenia. Jeśli do tego dojdzie nadzwyczajny talent, legalne mennice zaczynają mieć kłopoty – wyjaśnia.

Uruchomienie produkcji zajęło Krzysztofowi kilka miesięcy na przełomie 1999 i 2000 roku. Blachę mosiężną kupował w zwykłym sklepie metalowym. By zdobyć inne stopy, skupował stare monety od numizmatyków na giełdzie staroci. Przeciętnie płacił 50 groszy za sztukę. Skonstruowanie wspomnianej już walcarki zajęło mu kilka miesięcy.

Umieści ją w szopie, którą sam wybuduje. Drewniany budynek obje z zewnątrz blachą. W całości, żeby nie było okien. Tylko dziurę w dachu zostawi, bo tak trzeba, gdy w tyglu rozpala się metal do temperatury 1500 stopni Celsjusza. Do szopy wstawi prasę i inne maszyny oraz radio. Wybiera stacje, które puszczały nie Dodę, ale koncerty ulubionej przez Krzysztofa Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej. Bę-

Radzili mu: ucz się. Zaczął więc czytać. O aniołach i dzwonach, ale też książki o metaloznawstwie i galwanotechnice

dzie jej słuchał, gdy w warsztacie zaczyna pracować maszyny. Szum pracujących pełną parą urządzeń najlepiej zagłuszać będzie V symfonia Beethovena.

Oficjalnie szopa będzie miała przeznaczenie bardzo przyziemne. Krzysztof wznosił ją jakoby po to, by produkować metalowe ogrodzenia i ozdoby ogrodowe. Te „ozdoby” będą od 2000 roku doskonałą przykrywką. Nawet, a może przede wszystkim, przed rodziną. W tym również przed bratem, którego sąd pierwszej instancji nieco na wyrost oskarżył o współudział w produkowaniu fałszywych monet, by ostatecznie w kolejnej instancji przyznać, że istnieje całkiem realna możliwość, że brat o bracie niewiele wiedział. Tymczasem rozmowy Krzysztofa przy niedzielnym obiedzie z mamą i ciocią – a czasem z bratem – będą zazwyczaj przebiegać tak:

Geniusz i jego dzieło.
W sześciostopniowej
skali pięciozłotówkom
Krzysztofa eksperci
dają szóstkę

– A co ty tam, Krzysiu, tyle godzin robisz?
– Toczę.
– I co jeszcze robisz?
– Wałkuję.

W gruncie rzeczy W. mówił prawdę. Dzień po dniu od rana do wieczora wałkował blachę, wycinał z niej krążki, łączył w prasie w pięciozłotówki. Dlaczego właśnie te monety, a nie inne?

– Bo są trudne do skopiowania – tłumaczy Krzysztof. – Ale także dlatego, że fałszywa pięciozłotówka, taką wtedy miałem nadzieję, mniej wyrządza krzywdy ludziom niż podrobione sto złotych.

Fakt, przyznał to nawet sąd, że W. właściwie nie skrzywdził ludzi, bo nikt dotąd w Polsce nie odkrył, że ma w kieszeni fałszywkę Krzysztofa, żaden sprzedawca nie uznał, że pieniądź, który trafił do jego ręki, jest bezwartościowy. Fałszerz skrzywdził jedynie państwo, bo oszukał je – jak skrupulatnie wyliczyli fachowcy – na nieco ponad 420 tysięcy złotych.

– Monety pięciozłotowe to niby nic wielkiego, w rzeczywistości to jednak wielkie wyzwanie – przyznaje numizmatyk Lech Kokociński. – Zarówno skład metali, jak i metoda łączenia okryte są tajemnicą państwową. Poza tym bardzo trudno połączyć ze sobą tak różne stopy metali. Oprócz W. nikomu się to nie udało. Dotąd wystarczyło porządnie stuknąć pięciozłotówkę młotkiem, by odpadający z niej środek udowodnił nam, że mamy do czynienia z fałszerstwem.

Rozmieniam się na gołąbki

Krzysztofowi zupełnie nic nie odpadało, choć początkowo, zanim dorobił się prasy, monety wybijał właśnie młotkiem. W końcu kupił prasę ręczną, a w 2006 roku hydrauliczną. Spo-

rą część „zarobionych” pieniędzy inwestował w materiał i kolejne maszyny. Nie kupował markowych ciuchów, bo się na nich nie znał. Nie stołował się w ekskluzywnych restauracjach, bo nie wiedział, co to mule i sushi. Większość pieniędzy rozdawał. Najczęściej gołębiom – kupował dla nich obwarzanki. Patent był prosty: sprzedawca dostawał piątkę, a w zamian oddawał Krzysztofowi pełnowartościową resztę. Precle Krzysztof kruszył i karmił nimi ptaki. W zasadzie cała dystrybucja fałszywek – co zadziwiło nawet sąd – wyglądała podobnie: Krzysztof rozmięniał piątki na targowiskach, giełdach, w oddalonych od domu sklepach. Resztę z fałszywek wymieniał później na grubsze pieniądze.

– Zupełnie nie miałem pomysłu, co zrobić z kasą – przyznaje. Kupował więc prezenty. Obdarowywał regularnie przez wiele lat drogimi słodyczami i zabawkami Natalkę i Dawida oraz kilkoro ubogich dzieci z pewnego podkrakowskiego miasteczka, które poznał dzięki swojej dalszej rodzinie. Zasponsorował zakup map dla dzieci w pewnej krakowskiej szkole. Zasiłki kasek kilku organizacji charytatywnych. Kupił drewno na opał kilku staruszkom z sąsiedztwa, szczerze zszokowanym nadzwyczajną dobroduszością nieznajomego.

Podróbki W. stawały się idealne. Sam to w końcu zauważył. Chwilę później, gdzieś między walcarką a wiertarką, pojawił się cień Anioła Pychy. Choć Krzysztof bardziej czuł wtedy obecność Anioła Samotności. – Wiedziałem jedno: dla fałszerza najlepiej jest, jeśli nikt o nic go nie pyta – mówi. Unikał więc ludzi. Przestał odzywać się nawet do starych znajomych. Kiedy wychodził na ulicę, miał poczucie, że jego twarz jest znacznie bardziej rozpoznawalna niż wykonane przez niego podróbki.

– Na własne życzenie znalazłem się w matni – opowiada. – W dodatku w matni bez wyjścia, bo fałszowanie jakiegokolwiek materii, jeśli przynosi zyski, to – proszę mi wierzyć – działa mocniej niż najmocniejszy nawet narkotyk.

A kiedy w marcowy wczesny ranek 2008 roku usłyszał na schodach tupot nóg, pomyślał, trochę jeszcze przez sen, że zstępują na niego zastępy Aniołów Zagłady. Kiedy zobaczył twarz funkcjonariuszy, poczuł zwyczajną ulgę. Zaczął się śmiać.

Straż graniczna miała pełne ręce roboty. Wszystko trzeba było opisać i policzyć: walcarkę i gilotynę, matryce do tłoczenia monet (5 kompletów), tuleje metalowe (12), stemple (13), krążki z mosiądzu (477) i krążki miedzianiklu (1039). Ale też pierścienie z otworami służące do żąbkowania monet i 45 tygli do wytopu metali. Wreszcie 54 arkusze blachy z 85 578 otworami. Co ciekawe, właśnie na podstawie liczby otworów w blachach eksperci przyjęli pełną liczbę podrobionych przez W. monet, po czym także na tej podstawie obliczyli straty Skarbu Państwa. Jak się później okaże, będzie to połowa fałszywek puszczonej w obieg w latach 2000–2008.

Z ekspertyzy Departamentu Emisyjno-Skarbowego Narodowego Banku Polskiego: grubość monet, średnica, żąbkowanie – zbliżone do oryginału. Rewers, awers: zbliżone do autentyku.

Moja wiedza to zło

W marcu 2008 roku Krzysztof W. na ponad rok trafił do aresztu. Poznał cele w więzieniach w Nowym Sączu, Tarnowie i Krakowie. Poznał pewnego Andrzeja, który zabił trzech ludzi, a później, odsiadując dożywocie, dzięki książkom poznał tajniki ludzkich zachowań i stał się więziennym specjalistą w dziedzinie psychologii. Andrzej dużo na temat życia Krzysztofowi wyjaśnił. Poznał też pewnego Kubę, który siedział tylko za pobicie, nie skończył jeszcze 20 lat, a jego największą pasją w więzieniu było strzeptywanie współwięźniom do oczu żaru z rozpalonego papierosa.

Fałszowanie jakiegokolwiek materii, jeśli przynosi zyski, działa mocniej niż narkotyk

Poznał ludzi, którzy zobaczyli w nim Anioła Fortuny. Bardzo chcieli się od niego dowiedzieć, jak stworzyć metalowe krążki, które można zamienić na konkrety. W. jednak milczał. – Bo zrozumiałem, że taka wiedza może oznaczać wyłącznie zło – wyjaśnia. W więzieniu poczuł dotyk Anioła Winy.

Wyszedł z aresztu na początku 2009 roku. Jego proces zakończony wyrokiem w pierwszej instancji wydany przez Sąd Okręgowy w Krakowie toczył się tymczasem od stycznia do września ubiegłego roku. Na wolności W.

zapisał się do liceum, właśnie zamierza zdać maturę, kilka tygodni temu założył firmę, dzięki której całkiem profesjonalnie zaczął zajmować się aniołami. Dokładniej – propagowaniem przetworzonych artystycznie zdjęć aniołów w Internecie.

We wrześniu zeszłego roku W. został skazany na dwa lata więzienia. W lutym tego roku sąd apelacyjny utrzymał wyrok w mocy. Formalnie Krzysztofowi groziło od 5 do nawet 25 lat więzienia. Na nadzwyczajne złagodzenie kary wpływ miało to, że od początku sprawy współpracował z policją.

Jestem łakomym kąskiem

Była wina, musi być i kara. Oskarżony jednak w praktyce odsiedział już połowę wyroku – spędzając ponad rok w areszcie. Przed sądem odpowiadał z wolnej stopy. – Teraz niech swe talenty wykorzysta dla siebie i innych – powiedział w lutym tego roku sędzia Krzysztof Marcinkowski. Co to oznacza? Paweł Eilmes, adwokat broniący W., zwrócił się właśnie w imieniu swojego klienta do sądu penitencjarnego o warunkowe przedterminowe zwolnienie z reszty kary. Teoretycznie bowiem Krzysztof powinien jeszcze na rok wrócić do więzienia.

– Niech nie wraca nie tylko dlatego, że przebywając w więzieniu, W. nadal będzie łakomym kąskiem dla wielu przestępców, którzy będą próbować wycisnąć z niego tajemną wiedzę o fałszowaniu monet – wyjaśnia meenas. – Także dlatego, że to człowiek niezwykle, mimo wszystko szlachetny. Wart jest więcej niż jego pięciozłotówki, poza tym bardziej się przyda polskiemu państwu na wolności niż za kratkami.

Bo Krzysztof – co przyznaje Lech Kokociński, a z nim większość ekspertów od monet – doskonale nadałby się do rozpoznawania kolejnych fałszywek. W zasadzie robiłby to za darmo, bo zgodnie z decyzją sądu wskutek swojej ośmioletniej działalności ma oddać Skarbowi Państwa ponad 420 tysięcy złotych. Te pieniądze państwo odzyska, jeśli ktoś będzie W. regularnie wypłacał pensję.

Krzysztof widzi to tak: z aniołów wszystkich, które na swojej drodze spotkał, wcale nie Anioł Geniusz, ale Anioł Sprawiedliwości przyniósł mu największe wyzwolenie. – Jak nigdy wcześniej czuję się teraz wolny – zapewnia.

Ta wolność ma różne oblicza.

To spaceruje Krzysztofa po ulicach Krakowa bez oglądania się za siebie. To 20 anielskich fotomontaży umieszczonych przez W. w sieci. Wśród nich kilka Aniołów Przemyslenia, jeden Anioł Niespodziewanej Zmiany, trzy cherubiny. To radość tych, którzy je oglądają, a potem piszą „prosimy o jeszcze”. I Krzysztof da ludziom anioły. A dokładniej – sprzeda, bo chce produkować pocztówki z ich wizerunkami. Wolność to także okna wybite niedawno w drewnianej szopie. I Londyńska Orkiestra Symfoniczna, która gra Beethovena i której Krzysztof słucha dziś z czystą przyjemnością, a nie po to, by zagłuszyć wiertarkę. □

Gorillaz: Powrót z zaświatów

Najlepszy wirtualny zespół w historii muzyki powrócił! Reporter „Przekroju” udał się aż na Plastikową Wyspę, by od lidera **Gorillaz** uzyskać odpowiedź na pytanie: „Jak toto żyje?”

WATAŻKA Z GITARA JAREK SZUBRYCHT, PLASTIKOWA WYSPA

Wsiadłem do motorówki. Płynęliśmy wzdłuż malowniczego klifu, ale nie pozwolono mi długo napawać się widokami. Gdy port zniknął za horyzontem, ładna brunetka z działu promocji wytwórni EMI zawiązała mi na oczach czarną opaskę. – Murdoc ceni sobie prywatność – wyjaśniła, choć nie musiała. To cud, że lider Gorillaz zaprosił tu dziennikarza. W każdym pismaku z Ameryki upatruje agenta CIA, a z brytyjską prasą nie rozmawia, bo wysłannik magazynu „Q” nie odesłał mu wywiadu do autoryzacji. Murdoc Niccals wybrał mnie, bo nasz kraj kojarzy mu się z taną pornografią i wypasnymi jointami. Pewnie zrozumiał, że jestem „from Holland”. Nie wyprowadzałem go z błędu.

„Możesz zdjąć opaskę” – usłyszałem wreszcie. Gdy moje oczy na nowo przywykły do porannego światła, ujrzałem coś przerażającego. Wyrastający z fal zastygły grzyb atomowy. Podpłynęliśmy bliżej i odetchnąłem z ulgą. Plastikowa Wyspa. Na szczycie majaczyła zieleń palm, zza których błyskały śnieżnobiałe ściany kwatery Gorillaz. Imponujący budynek, coś pomiędzy rezydencją Hugh Hefnera a pałacem Saddama, zaprojektował Frank Gehry. – W Łodzi nie mogli się zdecydować, a Murdoc płacił gotówką. Co prawda brudną, ale lepsza taka niż żadna – dziewczyna z wytwórni jakby czytała w moich myślach. – Wysadzę cię i wracam. Niccals nie lubi ludzi z firm płytowych. Mówi, że jesteśmy czymś takim jak podatki albo bezpieczny seks. Złem koniecznym.

Pan i władca na krańcu świata

Na przystani czekała na mnie Noodle, gitarzystka Gorillaz. Ale przez ramię miała przewieszony nie instrument, lecz kałasznikowa. – Murdoc zaraz cię przyjmie – powiedziała, nie patrząc na mnie. Człapiąc za nią po krętych schodach, pytałem o jej tajemnicze zniknięcie przed czterema laty, nową płytę, plany koncertowe, w końcu o pogodę, ale wszystkie próby nawiązania kontaktu zbywała milczeniem. Raz tylko mruknęła coś w ojczywym języku, ale, niestety, nie znam japońskiego.

Murdoca zastałem na najwyższym tarasie z papierosem w dłoni i szklaneczką zielonkawego płynu w drugiej. Aloesowy ludwik albo absynt.

Lider Gorillaz miał na sobie tylko bokserki w trupie czaszki i rozczłapane sandały. A także odwrócony krzyżyk na zapadłej pier-

si, jak na satanistę przystało. Smoliste włosy w nieładzie, ciemne wory pod oczami, ziemista cera. Ale uścisk dłoni mocny. Choć nie wyglądał najlepiej, biła od niego pewność siebie charakterystyczna dla każdego marionetkowego przywódcy.

– Gorillaz to ja – powiedział, zanim zadałem jakiegokolwiek pytanie. To prawda. Już wcześniej uchodził za lidera formacji, ale w 2006 roku rozpoczął operację, która przekształciła Gorillaz w projekt solowy. Zaczął od zbrodni. Na planie teledysku do utworu „El Mañana” uśmiercił Noodle, po czym oświadczył, że zespół przestał istnieć. – Zeppelini, The Police, Faith No More... Nic tak dobrze się nie sprzedaje jak powrót z zaświatów. Rozwiązałem Gorillaz, byśmy mogli teraz powrócić w chwale.

Pływający śmietnik

Jestem przekonany, że basista Gorillaz nie od razu planował wielki comeback. Ale miliony zarobione na pierwszych albumach szybko się rozplynęły – większość w piramidzie Madoffa („Myślałem, że koleś sprzedaje piramidy. Nigdy nie czytałem tego, co piszą drobnym drukiem”), resztę utopił w Oceanie Indyjskim w transporcie broni dla piratów, który ponoć nie dotarł do celu. Wtedy postanowił, że nagra ostatni album z Gorillaz, znów zarobi fortunę i zainwestuje w coś legalnego i pewnego. Na przykład kupi sobie polski klub piłkarski... – Spaliłem nasze studio Kong i za kasę z polisy kupiłem ten pływający śmietnik. No, nie gap się tak. Plastikowa Wyspa unosi się na wodach eksterytoryalnych, aresztować nie mogą. A sam nigdzie się nie wybieram, dobrze mi tu.

Murdoc przewiózł na Wyspę resztki sprzętu, urządził nowe studio i zabrał się do kompletowania składu. Najpierw próbował wskresić Noodle za pomocą praktyk okultystycznych, ale tylko grzywkę sobie osmalił. Na szczęście udało mu się odnaleźć szczątki gitarzystki i sklonowali ją zaprzyjaźnieni naukowcy. A czego nie dopatrzili genetycy, poprawili inżynierowie i Noodle to dzisiaj w połowie cyborg. Nie straciła nic z drygu do gitary, ale ma też wgrany program militarny i pełni funkcję osobistej – nomen omen – gorylki Murdoca.

Wokalista grupy, 2D, nie chciał słyszeć o reaktywacji Gorillaz. Wybaczył Niccalsowi kradzież dziewczyny i każdej następnej dziewczyny, ale zabicia Noodle wybaczyć mu nie zamierzał. Poza tym chciał wreszcie pójść do dentysty, wstać sobie jedynki, a potem kupić miły domek na Hawajach i spędzić w nim resztę życia. Murdoc potrzebował jednak jego głosu. Uprawdzał 2D i torturami zmusił do zaśpiewania na nowym albumie zatytułowanym „Plastic Beach”.

Ponoć więzi go na Wyspie do tej pory. Słyszałem zresztą jakieś jęki pod podłogą, ale wołałem nie pytać o ich pochodzenie. Zapytałem natomiast o Russella Hobbsa, zwałistego perkusistę Gorillaz, po którym ślad zaginął przed dwoma laty. Wieść niesie, że prowadzi na Brooklynie warsztat samochodowy.

– Bzdura – powiedział Murdoc. – Porwali go piraci, którym chciałem sprzedać trochę złomu, bo myśleli, że oddam im zaliczkę. Russ to fajny chłop, ale bez przesady, mam płacić za perkusistę? Wołałem sam zaprogramować bębny na nowej płycie.

Goście, goście

– Chodź, wrzucimy coś na ząb – Murdoc uchylił drzwi i popchnął mnie lekko w stronę zatopionej w półmroku kuchni. Coś przylepiło



Gorillaz – to wirtualny zespół stworzony przez Damona Albarna (muzyka, teksty) i Jamiego Hewletta (rysunki) grający muzykę na pograniczu alternatywnego rocka, hip-hopu i popu. Dwie poprzednie płyty rysunkowego kwartetu – „Gorillaz” (2001) i „Demon Days” (2005) – znalazły łącznie blisko 15 milionów nabywców. W 2006 roku Albarn i Hewlett ogłosili, że formuła się wyczerpała i Gorillaz przestaje istnieć. Na szczęście nie dotrzymali słowa. Do sklepów właśnie trafił najnowszy album Gorillaz zatytułowany „Plastic Beach”.

mi się do buta. „Nie jedz, nie pij, nie wciągaj nosem niczego, co ci poda” – przypominałem sobie ostrzeżenie, które usłyszałem w EMI. Myślałem, że to żart, ale na Wyspie nie byłem już tego taki pewien. – Nie, dziękuję – powiedziałem, niezgrabnie wyszarpując z plecaka butelkę z wodą mineralną. – Jestem na diecie. – Wodę pijesz? Jak zwierzę... – mruknął Murdoc i dołał sobie absyntu. Po czym rozparł się na olbrzymiej, obitej czerwonym pluszem kanapie i pozwolił zapytać o „Plastic Beach”. – Niby taki z ciebie mizantrop, a do studia zaprosiłeś cały tłum gości – zauważyłem. – Wiesz, wysysanie cudzego talentu to jedyny rodzaj wampiryzmu, który jest społecznie akceptowany – skrzywił się. Czyli chyba uśmiechnął. – Mój największy sukces to Mick Jones i Paul Simonon po raz pierwszy razem od rozpadu The Clash. Cieszę się również z Bobby’ego Womacka, tego soulowego starszaka. Szkoda, że plan nie wypalił w stu procentach, bo miał kojnąć w studiu i tym samym sprawić, że płyta będzie kultowa jeszcze przed wydaniem.

Niewiele brakowało. Chory na cukrzycę Womack tuż po nagraniu stracił przytomność i na nogi postawił go dopiero podsunięty przez kogoś z obsługi banan. Inni goście to między innymi Snoop Dogg („Pali więcej ode mnie, niewiarygodnie!”), Little Dragon, Lou Reed („Polubiliśmy się. Mamy to samo bez troskie poczucie humoru”), Mark E. Smith z The Fall, Hypnotic Brass Ensemble oraz libańska Narodowa Orkiestra Orientalnej Muzyki Arabskiej („Załatwiałem interesy w Bejrucie i przy okazji ich nagrałem”).

– Chcesz posłuchać? – oczywiście, że chciałem. Murdoc puścił mi więc „Plastic Beach”, a potem zapytał o opinię.

– To na razie jedna z najlepszych płyt tego roku. Gorillaz pełną gębą, a zarazem zupełnie nową jakością. Znakomite – zarzuciłem go komplementami. Nie tylko dlatego, że bałem się mu podpaść. To naprawdę świetny album. I choć jak zwykle grupa operuje w trójkacie złożonym z alternatywnego rocka, hip-hopu i popu, wyraźnie słychać, że tym razem gitarowego grania jest mniej, za to więcej rapu i elektroniki, która jest bardzo współczesna i traci myśzką zarazem. A to w ambitnym popie ostatni krzyk mody. Potencjalne przeboje? Połowa płyty.

Prawdziwe kłamstwa

Korzystając z tego, że udało mi się wprawić Niccalsa w dobry humor, postanowiłem zapytać bez ogródek o to, o czym szepcze się, od kiedy pierwszy singel Gorillaz popłynął w eter.

– Damon Albarn? Ten cherlak z Blur? – Murdoc splunął czymś żółtobrazowym na podłogę. Zaszczało. – Tak, wiem, twierdzi, że wymyślił Gorillaz i jest autorem naszej muzyki. Bezczelny gnojek. Miałem nadzieję nakopać mu na rozdaniu Brit Awards, ale mnie unikał. Potem chciałem wysłać paru ziomów, żeby się z nim rozmówili, ale wiesz, wpadłem na lepszy pomysł. Włamałem się do jego studia i ukradłem mu taśmy demo z piosenkami, które skomponował z myślą o nowej płycie Blur. Słyszysz je na „Plastic Beach”, oczywiście odpowiednio podrasowane.

Ośmieliłem się również zapytać o Jamiego Hewletta, cenionego rysownika, autora komiksu „Tank Girl”, o którym mówi się, że nadał Gorillaz kształt i tchnął w nich życie.

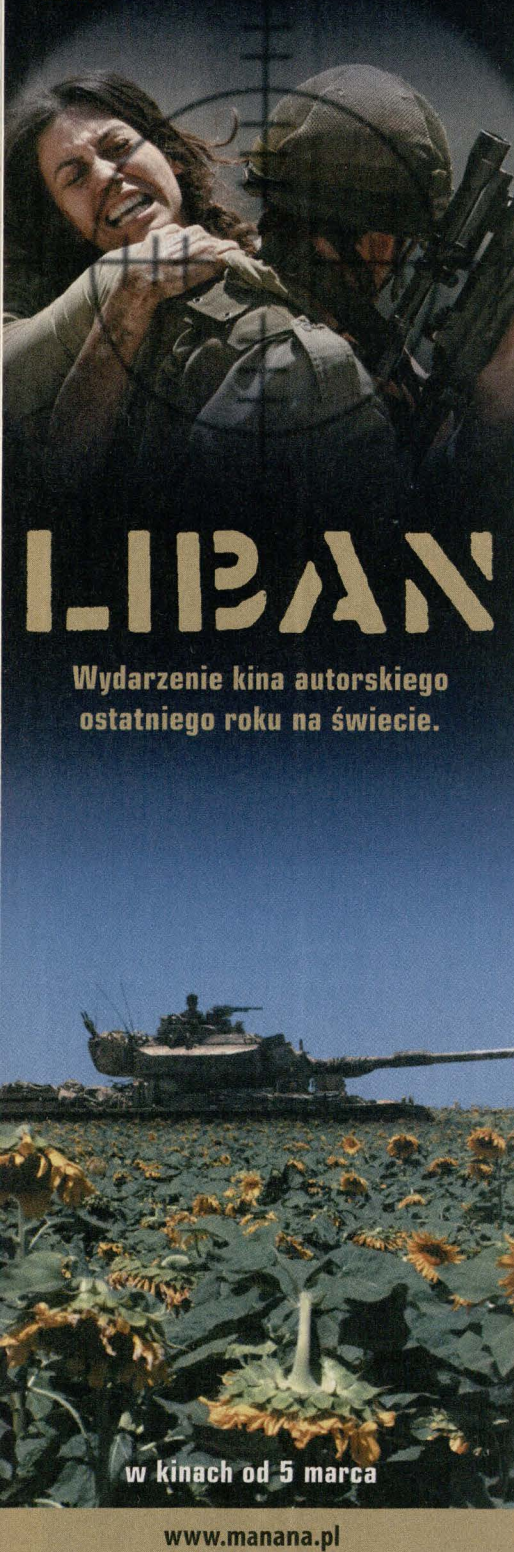
– To akurat prawda. Hewlett nas narysował. A co? Sam się miałem rysować?

– Nie, jasne, że nie... Ale słyszałem, jak po „Demon Days”, waszej poprzedniej płycie, mówił, że już mu się znudziło, że odpuszcza.

– Ludzie mówią różne rzeczy. Jamie to dobry chłopak, ale nieco nadpobudliwy i szybko się zniechęca. Na szczęście mam na niego kwity. Nie odłoży ołówka.

– A więc będą kolejne płyty Gorillaz?

– Tego nie powiedziałem. Są inne możliwości, myślałem na przykład o karierze aktorskiej. Albo poproszę Hewletta, żeby rozbudował nieco wyspę. No wiesz, ubóstwiam „Czas apokalipsy”, uwielbiam Marlona Brando i pułkownika Kurtza. To taki miły koleżka.



LIBAN

Wydarzenie kina autorskiego
ostatniego roku na świecie.

w kinach od 5 marca

www.manana.pl

NIE WSZYSTKO ZŁOTO CO SIĘ ŚWIECI

TECZKI

PLANETARIUM KAROLINA PASTERNAK

Ofiary Oscara

Czyli kiedy gorączka oscarowej
nocy kończy się kilkuletnim kacem

O TEJ NOCY MARZY KAŻDY REŻYSER, scenarzysta, aktor oraz producent. I choć wydawałoby się, że w branży filmowej nie ma lepszej trampoliny do sławy niż statuetka Oscara, historia zna przypadki reżyserów i aktorów, którzy przez złotego bożka zostali najzwyczajniej znokautowani.

Orson Welles po otrzymaniu w 1941 roku Oscara za „Obywatela Kane’a” – mimo wielu nominacji dostał wtedy tylko statuetkę za scenariusz – przez lata traktowany był przez akademię filmową jak wyrzutek. Gdy w 1970 roku szacowne grono poszło po rozum do głowy i przyznało mu Oscara za całokształt, reżyser nie pofatygował się, by go odebrać. Z kolei aktor Richard Dreyfuss po zdobyciu statuetki w 1977 roku za film „Dziewczyna na pożegnanie” wpadł w nałóg narkotykowy, który zrujnował mu karierę.

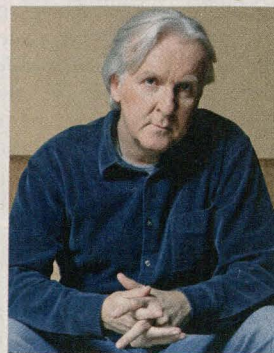
Największym przekleństwem laureatów okazują się jednak wyśrubowane ga-



1 „Obywatel Kane” Orsona Wellesa

to jeden z największych filmów w dziejach, lecz jego reżyser musiał zadowolić się nagrodą za scenariusz. Kapitałny kryminal „Dotyk zła” (1958), by wymienić tylko jedno z kolejnych dzieł mistrza, nie doczekał się nawet nominacji

że. Koszt wynajęcia filmowca z Oscarem może być nawet dziesięciokrotnie wyższy niż tego bez statuetki, więc dla większości producentów wybór jest oczywisty. O czym w związku z kryzysem przekonają się pewnie i tegoroczni laureaci.



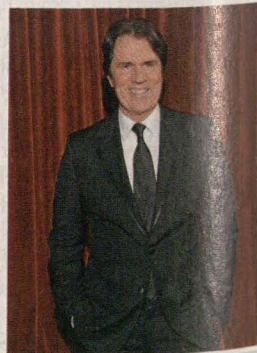
James Cameron

– po otrzymaniu za „Titanica” 11 (!) Oscarów, w obawie przed tym, że nie będzie w stanie zrobić nic równie spektakularnego, następny film – „Avatar” – pokazał światu dopiero po 12 latach. Świat oszalał, teraz przekonamy się, czy to szaleństwo udzieli się akademii



Gwyneth Paltrow

– Oscar za rolę w „Zakochanym Szekspirze” (1998) dla ledwie 26-letniej wówczas córki znanego producenta Bruce’a Paltrowa w środowisku uważany był za kompletną pomyłkę. Od tamtej pory Paltrow nie wystąpiła w żadnej ciekawej produkcji



Rob Marshall

– znakomitemu choreografowi filmów muzycznych wydawało się, że kręcąc „Chicago”, odkrył przepis na sukces. By powtórzyć triumf obsypanego Oscarami musicalu, wydał więc na świat bardzo podobne estetycznie, lecz, niestety, zupełnie nieudane „Nine – Dziewięć”

Batman pobił Supermana

Pękła kolejna bariera. Żeby cieszyć się unikatowym wydaniem komiksu, trzeba mieć milion dolarów

ZA HISTORYCZNY DEBIUT SUPERMANA anonimowy nabywca zapłacił milion dolarów. I to był rekord. Ale tylko przez kilka dni. W czwartek 25 lutego za prawie 1,1 miliona dolarów poszedł zeszyt z przygodami Batmana. Przedmiot sprzedaży: pierwszy numer magazynu „Action Comics” z 1938 roku. Cena: milion dolarów. Powód: Superman. Zanim postukać się w głowę, weźcie pod uwagę, że na świecie ostało się zaledwie sto egzemplarzy debiutanckiego komiksu o pierwszym wielkim superbohaterze.

Zainteresowanie historycznym numerem pisma było ogromne. – Nabywca znalazł się w ciągu kilku minut. To znany nam kolekcjoner – mówi Stephen Fischler, współwłaściciel domu aukcyjnego Comic Connect. – Egzemplarze takiej jakości zdarzają się raz na dwie dekady. Jednak to szokujące zobaczyć komiks i milion dolarów w jednym zdaniu. Będzie się musiał do tego przyzwyczaić. W czwartek na aukcji w Dallas

za 1,075 miliona dolarów sprzedano 27. zeszyt serii „Detective Comics”, w którym po raz pierwszy pojawia się postać człowieka nietoperza walczącego ze złoćcami. Jak to tłumaczyć? – Komiksy należą dziś do tej samej dziedziny dzieł sztuki co unikatowa biżuteria albo antyki – komentuje Vincent Zurzolo, drugi szef Comic Connect. Shirrel Rhoades, wiceprezes wydawnictwa Marvel Comics, dodaje: – Gdy ceny akcji zniżują, inwestycje w nieruchomości są nieopłacalne, przedmioty kolekcjonerskie stanowią dla inwestorów alternatywę, która może przynieść w przyszłości duży zysk.

Mariusz Herma



Komiks z przygodami Batmana ukazał się w 1939 roku. Kosztował 10 centów. Tyle samo trzeba było wówczas zapłacić za rysunkową opowieść o Supermanie

Formuła 1

WIELKA NADZIEJA CZERWONYCH

PRZEPYCHANKI O PRZODOWNICTWO w zespole Renault, narodowa zrzutka i wielkie rosyjskie ambicje – Witalij Pietrow wprowadził do Formuły 1 nową jakość. Nadchodzi słowiańska siła – to jeden z najpopularniejszych u naszych sąsiadów komentarzy, jakiego pojawił się po podpisaniu przez Pietrowa umowy z teamem Renault. Rosyjski kierowca został partnerem Roberta Kubicy.

Współpraca zaczęła się jednak od utarczek. – Sezon jeszcze się nie zaczął – mówił Pietrow. – Być może to Kubica będzie w zespole numerem dwa, nie ja – powiedział zapytany o swoją rolę w teamie. – On cały czas próbuje zrozumieć, jak się sprawy mają w Formule 1 – odparł w swo-

im stylu Polak. Włodarze Formuły 1 i teamu Renault tymczasem zacierały ręce. Nikt nie ukrywa bowiem, że angaż „rakietę z Wyborga” (75-tysięcznego miasteczka położonego nieopodal Sankt Petersburga, z którego Pietrow pochodzi) oprócz sportowego ma aspekt marketingowy. Kierowca zapowiedział bowiem, że przyciągnie do F1 miliardów z Rosji. Według nieoficjalnych informacji miał „wyciągnąć” od nich 15 milionów euro. Na razie jednak żaden bogacz nie kwapił się z wyłożeniem gotówki.

Zaczęło się więc szukanie pieniędzy pozwalających utrzymać pierwszego rosyjskiego zawodnika w Formule 1. Tatiana Kozaczenco, menedżerka Pietrowa, opublikowała apel (adresowany między innymi do premiera Władimira Putina), w którym prosi o zaangażowanie środków finansowych we wspieranie gwiazdy. Efektów na razie nie widać.

Marcin Cichoński



Kubica i Pietrow, pierwszy Polak i pierwszy Rosjanin w F1

NIEZNANE O ZNANYCH, CZYLI SKOK W BOK

SZALONA KRÓLOWA

O TYM, JAK NAMIĘTNOŚĆ MOŻE DOPROWADZIĆ DO SZALEŃSTWA



Olga Woźniak

Stwierdzenie, że miłość może się skończyć obłędem, w przypadku Joanny Szalonej stało się aż nadto namacalnym faktem. Idzie wiosna, ptaki śpiewają, czemu więc nie napisać o tej miłości do grobowej deski? (I uwaga: deska nie jest tu żadną metaforą).

Było to zauroczenie od pierwszego wejrzenia: gdy tylko księżniczka Joanna Kastylijska (córka ultrakatolickich charyzmatycznych władców Hiszpanii Izabeli i Ferdynanda) poznała swego przyszłego męża Filipa zwanego Pięknym (z rodu nie mniej charyzmatycznych Habsburgów), namiętność między nimi wybuchła z siłą nawałnicy. Młodzi skonsu-



zwolił jej dopaść męża, rozpetala wokół niego atmosferę podejrzeń i awantur. Pewnego razu napadła na dwórkę, którą podejrzewała o intymne kontakty z królem, obcięła jej włosy i raniła twarz nożyczkami.

Jej matka, królowa Izabela Kastylijska, źle znosiła informacje o wybrykach córki, zwłaszcza że i jej własna matka, a babka Joanny, słysząc z chwiejności umysłu. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Aż tu nagle, na domiar złego, piękny Filip niespodziewanie umiera w wieku 28 lat (atak serca, trucizna?). Joanna naprawdę szaleje. Balsamuje zwłoki męża i pod osłoną nocy (uważa, że rozpacz wdowy nie może być wystawiana na słoneczne

promienie) rozpoczyna objazdową wędrowkę po kraju. Od czasu do czasu uchyla wieka trumny, by objąć małżonka i czule do niego przemówić. Zatrzymuje się tylko w męskich klasztorach, by żądna kobieta – choćby to była mniszka – nie znajdowała się w pobliżu ukochanego. Na pochówek zgadza się dopiero, kiedy mnisi przekonują ją, że jedynie spoczynek w poświęconej ziemi zapewni królowi zamartwychwstanie.

Resztę życia spędza (wbrew pozorom wcale nie ze swej woli) zamknięta w wieży z widokiem na grób męża.

Jej szaleństwo ją przetrwało – po pierwsze, jako czarne dziedzictwo rodu Habsburgów (po Joannie choroba, a po Filipie potomkowie odziedziczyli tak zwaną habsburską waręgę, która z pokolenia na pokolenie wsobnego chowu przybierała coraz bardziej karykaturalną postać). Po drugie zaś, w licznych książkach i filmach. Kiedy więc wraz z wiosną ogarnie was szalę uczuć – wspomnijcie, proszę, nieszcześliwą Joannę.



Sztuczna lewa komora ma umożliwić Zuzi doczekanie do przeszczepu serca

KARDIOCHIRURGIA OLGA WOŹNIAK

Serca w naprawie

Każdego roku w Polsce przybywa dwa tysiące nowych serc, które wymagają generalnego remontu, zanim w ogóle zaczną bić. Większość napraw się udaje. Czy dla kardiologów dziecięcych istnieją rzeczy niemożliwe?

Pod kołderką okrywającą półtoraroczną dziewczynkę leży serce. Działa. Zrobione z tworzywa przypominającego przezroczysty plastik, wypełnia się falą krwi. Odchodzące od niego rurki tkwią w klatce piersiowej śpiącego dziecka. W niczym nie przypomina serca z walentynkowych kartek. Wygląda raczej jak... słoik. – To nie jest całe serce – objaśnia doktor Tomasz Mroczek, który prowadzi mnie przez oddział intensywnej terapii Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w krakowskim Prokocimiu. – Tylko jego lewa komora.

Niewydolna, osłabiona lewa komora grozi niedotlenieniem mózgu czy nerek. Dlaczego? Bo spływa do niej z płuc krew bogata w tlen i stąd tłoczona jest do wszystkich narządów ciała. – Bez naszej interwencji naturalne serce dziewczynki nie byłoby w stanie dłużej pracować – mówi doktor Mroczek. – Sztuczne serce pozwoli jej czekać na przeszczep. A może jej własne serce – odciążone – nieco się w tym czasie zregeneruje.

Historia Zuzi, bo tak ma na imię dziewczynka z sercem w kształcie słoika, była głośna na całą Polskę. Kardiochirurdzy z Krakowa pierwsi w kraju wykonali podobną operację u tak małego dziecka.

Serce na wierzchu

Wyjąć serce na zewnątrz to sztuka. Ale sztuką jest też coś wręcz przeciwnego – próba schowania do klatki piersiowej serca, które bije na wierzchu (to tak zwana ektopia serca). Operacji tej wady podejmują się tylko najlepsi. Na szczęście dzieci z ektopią to niezmiernie rzadkie przypadki. Statystycznie siedem noworodków na milion. Polscy kardiochirurdzy widzą takiego malucha może raz na rok.

Dwa lata temu w Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi profesor Jacek Moll przeprowadził jedną z niewielu na świecie operacji ektopii serca u noworodka tuż po urodzeniu. I choć pierwszy jej etap się powiódł, dziecko zmarło po roku – okazało się, że serce było nieprawidłowo zbudowane i nie udało się go naprawić. Podobne sytuacje zdarzają się coraz rzadziej. Polscy lekarze z sukcesem operują skomplikowane wady serca u dzieci. Kraków, Łódź, Poznań, Warszawa – to ośrodki, w których magicy od serc nie większych niż piłeczka golfowa latają, fastrygują, rekonstruują – dokonując cudów zręczności.

Zimno to życie

Operacja trwa już 40 minut, ale teraz czas gwałtownie przyspieszył. – Pompa stop – padła komenda. Maszyna przypominająca... – no właśnie, płucoserce nie jest do niczego podobne – podtrzymuje życie dziecka zakrytego zielonymi serwetami. Szszszsz... – to przez mechaniczne serce i płuca popłynęła partia krwi. Było jej zaskakująco niewiele. Filizanka? Tyle mieściło się w 19-dniowym chłopcu, który leżał na operacyjnym stole.

Na sali jest zimno. Musi być zimno. Bez tlenu ludzki mózg wytrzymuje tylko dwie minuty. Potem obumiera. Co jednak zrobić, gdy trzeba zoperować serce, które nie może w tym czasie bić? Jak ochronić mózg przed brakiem tlenu niesionego przez krew? Trzeba zatrzymać dla niego czas. Albo przynajmniej poważnie go zwolnić. Przez chłód. W zimnie wszystko dzieje się powoli, potrzeba mniej energii. Mniej tlenu. Stąd głowa malucha obłożona lodem. Płucoserce działa teraz jak chłodziarka. Szszszsz... – i krew schładza się o stopień, dwa. Po kwadransie temperatura ciała dziecka spada do 13 stopni. Ciało jest lodowate. Krążenie ustaje. Krew spłynęła do plastikowego woreczka. Z technicznego

punktu widzenia chłopiec nie żyje. – Musimy się zmieścić w 50 minutach – mówi szef krakowskiej kardiologii dziecięcej, profesor Janusz Skalski.

Rozmowy milkną. Palce chirurgów śmigają. Wycinają, zszywają – robią coś, co przeciętnemu człowiekowi w pierwszej chwili wydaje się niemożliwe: operują dziecko, które przyszło na świat tylko z połową serca.

Prawa, wspomnienie lewej

HLHS – tak w skrócie nazywa się ta wada (ang. *Hypoplastic Left Heart Syndrome*). Polega na niewykształceniu prawidłowej lewej komory serca. Kiedy rodzice chorych dzieci słyszą tę diagnozę, zwykle nie mają pojęcia, co to znaczy.

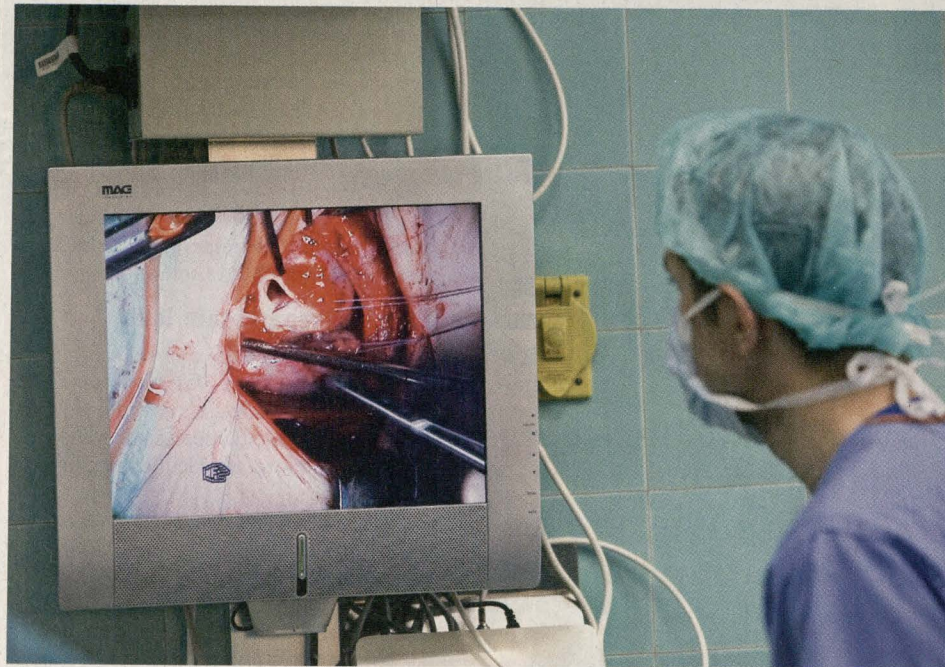
Mama czteroletniego Mateusza przyspieszony kurs kardiologii przeszła w 23. tygodniu ciąży. Wtedy lekarz oglądający jej dziecko na USG powiedział: – Nie jestem pewien. Musi się pani skonsultować ze specjalistą.

Wizyta (prywatna) u jednego z najlepszych kardiologów prenatalnych potwierdziła brak lewej komory. – Byłam załamana – wspomina kobieta. – Lekarka, która robiła echo serca, mówiła mi, że taką wadę można operować. Że rokowania są dobre, a ja siedziałam jak odrętwiała. Jak to operować? – myślałam wtedy. – W brzuchu? Dopiero kiedy wróciliśmy z mężem do domu, jeszcze raz bardziej spokojnie przeanalizowaliśmy to wszystko. Że konieczna jest operacja w pierwszych dniach po urodzeniu, że wykonuje się ją w takich i takich ośrodkach. Zaczęliśmy też na własną rękę szukać w Internecie. Ze zdumieniem oglądałam strony prowadzone przez rodziców dzieci, które miały taką samą wadę serca jak mój syn. Z ekranu komputera patrzyły na mnie uśmiechnięte buzie dzieciaków, które na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądały na chore. Czytałam ich historie, rozmawiałam z ich mamami i wierzyłam, że moje dziecko może żyć, biegać, chodzić do przedszkola, szkoły. Prowadzić normalne życie.

Rodzice Mateusza zdecydowali, że zoperują chłopca w Centrum Zdrowia Matki Polki. W ostatnich tygodniach ciąży pojechali do Łodzi. Mateusz musiał urodzić się w klinice współpracującej z kardiologią. – Chodzi o to, by dziecku podać szybko leki – wytłumaczył mi potem doktor Mroczek. – I o to, że bezpieczniej jest przewozić ciężarną kobietę niż chorego noworodka. Dzieci, u których wada serca wykryto w łonie matki, wygrywają los na loterii. Można je przygotować do operacji, zanim się urodzą.

A inne? – Umierają – mówi profesor Janusz Skalski. – Dziecko z wrodzoną wadą serca po urodzeniu nie wygląda na chore. Jest zwykle donoszone, różowe. Dostaje 10 punktów w skali Apgar. Problemy zaczynają się dwie-trzy doby później.

Pierwszym objawem bywa duszność, która może sugerować zapalenie płuc. Potem →



→ pojawiają się gorączka, osłabienie, przyspieszenie akcji serca i oddechu, blednięcie lub zasinienie, wymioty. – Wypisz, wymaluj: sepsa – komentuje doktor Mroczek. – W szpitalu podają antybiotyki, ale dziecko umiera. Potem okazuje się, że to była wada serca.

Dlaczego załamanie stanu zdrowia nie następuje od razu? Bo w życiu płodowym dziecko korzysta ze swego serca w nieco inny sposób niż my. Jego krwiociąg funkcjonuje bez płuc, a natlenowana krew jest dostarczana pępowiną z organizmu matki. Taki układ działa dzięki strukturze zwanej przewodem tętniczym Botalla. Zaczyna się on zamykać, kiedy dziecko bierze pierwszy oddech. Ponieważ chore serce nie jest w stanie pompować utlenowanej krwi do innych organów, lekarze za wszelką cenę powinni utrzymać go drożnym. Gdy nie zrobią tego na czas – dziecko umiera. A jeśli zdążą? To kilka dni później małych przechodzi operację ratującą życie.

Właśnie taką, jaką widziałam na oddziale kardiologii w Prokocimiu. Co można zrobić, gdy w sercu nie ma lewej komory? Tak pokombinować, by jej funkcję przejęła prawa. Tak połączyć ją z naczyniami krwionośnymi, by za jednym zamachem tłoczyła krew i do płuc, i na obwód. Wycina się przy tym dziurę między przedsionkami serca. Zmodyfikowane serce składa się z jednej komory i jednego przedsionka. Taki układ sprawdza się u baby. Ale u człowieka? Zalety: dziecko żyje. Wady: w takim sercu mieszają się krew utlenowana i nieutlenowana. Tłenu we krwi będzie dużo mniej niż normalnie. Efekt: szybkie zmęczenie, siny kolor ust i skóry. Możliwe są zatory i zakrzepy – dlatego małych musi stale przyjmować leki przeciwzakrzepowe. I jeszcze jedno zagrożenie: zapalenie wsierdzia, czyli błonki wyściełające serce od środka. Nawet niewielkie infekcje, skaleczenia czy urazy wymagają podania antybiotyku.

Pół roku później dziecko powinno przejść drugi etap operacji. Wtedy główną żyłę, którą spływa odtlenowana krew z górnej części naszego ciała, podłącza się bezpośrednio do tętnicy płucnej. Z płuc utlenowana krew będzie płynąć do serca, z serca do ciała. Podczas trzeciego zabiegu (dziecko ma wtedy zwykle około dwóch–trzech lat) do płuc podłącza się także żyłę główną dolną. Krew nieutlenowana w ogóle omija serce.

Ciepło powraca

Pompa start! – zarządza doktor Mroczek. Minęło 41 minut. Pompy ruszają. Wciąż zimna krew wypełnia rurki umocowane w ciele dziecka. Chirurdzy czekają chwilę, aż zacznie krążyć i dopłynie do serca. Tym razem płucoserce podnosi temperaturę czerwonej cieczy. Dziecko powoli się rozgrzewa. Lekarze sprawdzają, czy w sercu albo naczyniach nie ma przecieków, czy nie zostawili jakiejś dziury. – Odpalamy – decyduje w końcu doktor Mroczek. Bierze serce w dwie metalowe łyżki – elektrody. Puszczą przez nie prąd. Procedura przypomina próbę uruchomienia samochodu na mrozie. Kłemy do akumulatora i próbujemy zapalić. Zaskoczyło.

Małe jak u kurczaka, połatane i pozszywane bije, ale przecieka. Do krwi krążącej w płucosercu dodano heparynę, substancję zapobiegającą krzepnięciu. Teraz jednak trzeba spowodować, by krew z powrotem krzepła. Anestezjolog podaje kolejne leki. Bez skutku. Dalej cieknie. Sytuację udaje się opanować dopiero po godzinie. Napięcie pomału opada. Chirurg zszywa klatkę piersiową. Zakłada opatrunkę. Pielęgniarki liczą gaziki, narzędzia, chusty. Wszystko się zgadza.

Po trzypółgodzinnej operacji mały pacjent jedzie na oddział intensywnej opieki medycznej. Przez pewien czas będzie jeszcze uśpiony.

Na tym oddziale – w przeciwieństwie do sali operacyjnej – jest ciepło. Nawet bardzo ciepło. I kolorowo. Pastelowe ściany, wzdłuż których w inkubatorach łóżeczkach leżą dzieci. Z ich ciał sterczą barwne rurki. Dreny, sondy do karmienia, wenflony do kroplówek. Wokół monitory, na których czerwone, zielone, białe zygzaki informują o stanie zdrowia pacjentów. Średnia wieku chorych: rok. Pośrodku sali wyspa dorosłych. Anestezjolog, kardiolog, radiolog, pielęgniarki. Na najbliższe dwa–trzy tygodnie ten pokój będzie domem zoperowanego chłopca. Dwa łóżeczka dalej leży Zuzia z sercem pod kołdrą.

– Jak dużo takich operacji wykonuje się w Prokocimiu? – HLHS to jedna z najczęstszych wrodzonych wad serca – odpowiada doktor Mroczek. – W Polsce rodzi się rocznie około setki takich dzieci. Z tego dwadzieścioro umiera między innymi z powodu braku diagnozy. Mniej więcej czterdzieścioro operujemy na naszym oddziale. Pozostałe trafiają do innych placówek kardiologii dziecięcej w Polsce.

Wielu chorych – świetni lekarze

Kilka dni później w Warszawie siedzę w gabinecie docenta Joanny Dangel, kardiologa prenatalnego. – Krytyczne, wymagające leczenia operacyjnego wady serca to mniej więcej jeden procent wszystkich urodzeń – lekarka cytuję statystyki. – Teraz, w czasie wyżu demograficznego, kiedy rocznie rodzi się 450 tysięcy dzieci, tych z ciężko chorym sercem jest około trzech tysięcy. Sześć–osiem tysięcy innych nie dożywa porodu.

– Skąd biorą się te wady?

– Nie wiadomo. Wiele czynników wpływa na ich powstawanie: środowiskowe (szkodliwe substancje, na przykład leki), genetyczne, choroby matki. Serce kształtuje się wcześniej – do ósmego tygodnia ciąży.

– Kiedy można dostrzec wadę serca?

– Doświadczony lekarz może zobaczyć nieprawidłową budowę serca już w 11.–12. tygodniu ciąży, czyli w czasie wykonywania badania z pomiarem tak zwanej przezierności karku. Zwiększona przezierność jest wskazaniem do wykonania badania echokardiograficznego płodu w specjalistycznym ośrodku kardiologii prenatalnej. W rutynowych badaniach USG nieprawidłową budowę serca można wykryć między 18. a 22. tygodniem ciąży. Wada ta zmienia się w miarę rozwoju dziecka. Kiedy w 18. tygodniu zdiagnozuję zwężenie zastawki aortalnej, to w 40. tygodniu może to być niedorozwój lewego serca.

– A nie można by tej zwężonej zastawki skorygować na samym początku?

– Są takie próby: największe doświadczenie mają Stany Zjednoczone, trochę mniej – koledzy z Europy Zachodniej. Zabieg polega na balonowym poszerzeniu zastawki u płodu.

„Jak pani myśli – przypominam sobie pytanie profesora Janusza Skalskiego – skoro w Polsce rodzi się około setki dzieci z HLHS, to ile przychodzi ich na świat w Europie Zachodniej? – Tysiąc – strzeliłam. – Średnio 60 – odpowiedział profesor. – Dlatego w Polsce są tacy świetni kardiologowie”. Pytam o to docent Dangel.

KOMENTARZ

Jesteśmy na światowym poziomie

– mówi profesor Bohdan Maruszewski, prezes Klubu Kardiologów Polskich

W 2008 ROKU ZROBILIŚMY WIĘCEJ OPERACJI SERCA U DZIECI W PRZELICZENIU NA MILION MIESZKAŃCÓW NIŻ KARDIOCHIRURDZY NIEMIECCY – AŻ 2215.

A wiem, że w 2009 roku było ich jeszcze więcej. Jak wynika z danych polskich i europejskich rejestrów, prawie jedną czwartą małych pacjentów stanowiły noworodki poniżej pierwszego roku życia. Tak zwana wczesna śmiertelność, czyli w ciągu 30 dni od operacji wszystkich wad



serca u dzieci, wyniosła 5,69 procent, podczas gdy średnia europejska to 4,28 procent. Trzeba tu wziąć pod uwagę stratyfikację ryzyka. Jesteśmy jedynym krajem w Europie, gdzie

operowane są wszystkie wady serca u dzieci – na Zachodzie przy najtrudniejszych przypadkach wykonywana jest tak zwana aborcja terapeutyczna. Jedną z najtrudniejszych operacji, czyli usunięcie HLHS, w 2008 roku wykonano 77 razy, czyli więcej niż

w klinice w Monachium, na którą tak często powołują się rodzice chorych dzieci. W tych przypadkach wczesna śmiertelność jest u nas niższa i w 2008 roku wynosiła 18,18 procent. Moglibyśmy wykonywać więcej operacji, ale ogranicza nas liczba stanowisk intensywnego leczenia. Jedno stanowisko kosztuje około 270 tysięcy złotych. W grudniu 2009 roku minister zdrowia zobowiązała się, że na początku 2010 roku sfinansuje 22 takie stanowiska i że przeznaczy 16 milionów złotych na budowę oddziału pooperacyjnego w Łodzi. Moglibyśmy zoperować rocznie o 500 pacjentów więcej. Czekamy na realizację obietnicy.

– not. mil

Wszystko, co widać pomiędzy zielonymi chustami, którymi obłożony jest pacjent, to naprawdę niewielka przestrzeń otwartej klatki piersiowej.

To, co znajduje się wewnątrz, jest tak drobne, że operujący muszą używać okularów lornetkowych. Patrzą na nas doktor Tomasz Mroczek (z lewej) i profesor Janusz Skalski z Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Prokocimiu

– Po zdiagnozowaniu wady serca u płodu w wielu europejskich krajach kobiety decydują się na przerwanie ciąży. Podobno 90 procent dzieci ze złożonymi wadami serca się nie rodzi. Ale nie są dostępne dokładne statystyki – tłumaczy kardiolog. – U nas w kraju po zdiagnozowaniu ciężkiej wady serca zdecydowanie pięć procent kobiet decyduje się na przerwanie ciąży. Częściej decydują się na to kobiety, których dziecko obciążone jest wadami genetycznymi czy ciężkim uszkodzeniem mózgu.

– Ale dlaczego usuwać, skoro ogromną liczbę wad można leczyć operacyjnie?

– Argumentem jest jakość życia chorego. Choć pamiętam taką rozmowę z jedną z moich pacjentek: niedorozwój serca rozpoznano u jej dziecka, gdy była w 23. tygodniu ciąży. Położnik radził, żeby wyjechała zrobić aborcję do Francji. Tam ciążę można przerwać aż do momentu porodu. Rodzice powiedzieli mi wtedy: „A jeśli za 20 lat spotkamy mężczyznę z taką samą wadą? Nigdy sobie nie darujemy, że nie daliśmy synowi szansy”.

– Przeżył?

– Dziś ma osiem lat i świetnie się rozwija. Aborcja nie jest niczym dobrym, ale...

– ...ale zdarzają się przypadki, że dziecku naprawdę nie można pomóc.

– Zrośnięte bliźnięta ze wspólnym sercem, wady nieoperacyjne.

– Wtedy nakłania pani do przerwania ciąży?

– Lekarz w ogóle nie ma prawa do niczego nakłaniać pacjenta. Ma możliwie rzetelnie poinformować o wyniku badania i możliwościach leczenia.

– Czy myślała pani o usunięciu ciąży? – pytam o to każdą mamę dziecka z HLHS, z którą mam okazję rozmawiać.

– Nie. Ale bałam się, że dziecko obumrze w moim brzuchu. Że nawet jeśli urodzi się żywe, nie ma szans – słyszę najczęściej. →



Tablica z pozdrowieniami od małych pacjentów na oddziale krakowskiej kardiologii

→ Długo nie mogłam zająć w ciąży. Chciałam je urodzić, myślałam, że może komuś przydadzą się jakieś jego organy.

Byłam zdecydowana walczyć o dziecko. Liczyłam się z tym, że może umrzeć, ale chciałam je zobaczyć, przytulić.

Mama Mateusza waha się: – Rozmawialiśmy o tym z mężem. Niektórzy znajomi nam to radzili. „Będziecie mieć jeszcze inne zdrowe dzieci” – mówili. Ostatecznie przekonali nas rodzice maluchów, którym się udało. Patrzyłam na buzię chłopca z blogu opowiadającego o jego życiu z HLHS i myślałam: to mogłoby być moje dziecko.

Dawców brak

Dziś Mateusz jest wesołym czterolatkiem. W tym roku poszedł do przedszkola.

Syn męczy się szybciej od innych dzieci. Musi stale brać leki – mówi jego mama. – Wciąż o niego drzę. Z jednej strony nie chcę chować go pod kłosem, pozbawiać kontaktu z rówieśnikami, z drugiej – jestem nadopiekuńcza i to się chyba nigdy nie zmieni. Przedszkolanki musiały dowiedzieć się o wszystkich ograniczeniach mojego dziecka, o tym, na co zwracać uwagę – zorganizowaliśmy im z mężem prawdziwe szkolenie – śmieje się kobieta i przyzna-

je – Mateusz miał szczęście. Od lekarzy i z forów internetowych, na których spotykają się rodzice dzieci z wadami serca, wiem, że bywała groźne powikłania. No i że niektóre dzieci z taką wadą mogą z czasem potrzebować przeszczepu serca.

– Dlaczego nie przeszczepiać serca od razu? – pytam profesora Jacka Molla, szefa kardiologii dziecięcej z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

– Nie ma dawców – rozkłada ręce lekarz. – Dlatego w Polsce można wykonać u dzieci najwyżej jeden–dwa przeszczepy w roku. Poza tym transplantacje wiąże się z koniecznością przyjmowania leków zapobiegających odrzuceniu narządu. One obniżają odporność. Dziecku zagrażałaby każda infekcja. A my świetnie radzimy sobie z operacyjnym leczeniem nawet bardzo skomplikowanych wad i ze zoperowanym własnym sercem można całkiem dobrze żyć. Najstarszy na świecie pacjent ze skorygowanym HLHS ma dziś ponad 30 lat.

– Czyli warto operować?

– Warto, choć oddziały kardiologii dziecięcej mają problemy z wydajnością. Przyjmujemy wciąż nowych pacjentów, a mamy za mało miejsc na oddziałach pooperacyjnych, stanowisk intensywnej terapii – dodaje. Nie-

dofinansowane są też procedury operacyjne. W Polsce blisko 800 dzieci czeka na zabieg. Pierwszeństwo mają te, których stan jest najgorszy. Reszta musi czekać...

– ...aż pogorszy im się na tyle, żeby wypchnąć z kolejki te odrobinę zdrowsze? Trudno to powiedzieć rodzicom, którzy widzą, jak ich dziecko słabnie.

– To nie polega na tym, że choruje więcej dzieci – komentuje z kolei docent Dangel. – Liczba wrodzonych wad serca utrzymuje się na stałym poziomie. Paradoksalnie problemem jest to, że coraz więcej z nich umiemy właściwie zdiagnozować i wyleczyć. Mamy świetnych specjalistów, na światowym poziomie, ale nie mamy miejsc. Dlatego rodzice decydują się nieraz na leczenie za granicą, gdzie co prawda trzeba płacić, ale za to nie ma kolejek. Rozwiązanie jest bardzo proste: dofinansować istniejące wyspecjalistyczne oddziały kardiologii i kardiologii dziecięcej, oddziały neonatologii, w których noworodki z wrodzonymi wadami serca oczekują na przyjęcie do klinik kardiologicznych. Wtedy rodzice nie będą musieli szukać pieniędzy na leczenie swoich dzieci za granicą.

Serce na kredyt

A tam koszt operacji – w zależności od jej skomplikowania – to nawet kilkadziesiąt tysięcy euro. Potrzebujący mogą zwrócić się do fundacji działających na rzecz dzieci z wadami serca. Dzięki nim mogą skorzystać z darowizn 1 procentu z podatku. Fundacje pomogą też chorym w Polsce w dotarciu do specjalisty czy psychologa. Dają wsparcie rodzicom.

Sztuczną lewą komorę dla Zuzi kupiła w Niemczech Fundacja Radia Zet. Wewnątrz serca słoika leżącego na ciele małej dziewczynki znowu pojawiła się czerwona fala.

Aby przepompować całą krew, jaka znajduje się w naszym ciele, zdrowe serce potrzebuje za ledwie minuty. Biję w tym czasie 70 razy.

Ta-dam-ta-dam-ta-dam. Szszszsz... Krew płynie przez naczynia, przedsionki, komory, zastawki.

Słuchaj też „Wiadomości” w

Radio ZET

TED, czyli szczeka opada

Kto chciałby zaoszczędzić pięć tysięcy dolarów? Za kilka dni w Warszawie będzie okazja. Do tego poszerzenie horyzontów gratis

BARDZO GORĄCE MYŚLI PIOTR STANISŁAWSKI

Czy uwierzyłbyś, że dla kogoś brak obu nóg może być wielką szansą i powodem do dumy? I nie chodzi o pocieszanie się i wma- wianie sobie, że to wcale nie takie wielkie nieszczęście. To szczerza wiara, że w miejscu zupełnie zwykłych kończyn może znaleźć się coś znacznie bardziej wartościowego. Przekonanie mnie do tej dziwacznej koncepcji zajęło Aimee Mullins 10 minut i 2 sekundy. Tyle trwało jej wystąpienie podczas TED – konferencji, na której kobieta prezentująca 12 par swoich nóg wcale nie była najbardziej zadziwiającą postacią.

TED to skrót od Technology, Entertainment, Design – technologia, rozrywka, projektowanie. Od 20 lat co roku w Kalifornii spotyka się kilka tysięcy osób, które nie dość, że zapłaciły za ten przywilej małą fortunę, to jeszcze z rocznym wyprzedzeniem musiały stoczyć walkę o bilety. Prawo wstępu na imprezę kosztuje bowiem pięć tysięcy dolarów, a na widowni można spotkać wielkich tego świata. Ale nie tych, którzy występują na mównicach i składają obietnice, lecz tych, którzy rzeczywiście decydują o kierunku, w jakim rozwija się świat.

Jednak najciekawsze nie jest wcale to, kto siedzi na krześle obok ciebie. Najważniejsze dzieje się w ciągu 18 minut na scenie. Tyle czasu dostaje każdy mówca na przedstawienie swojej idei. Niektórzy mieszczą się w pięciu minutach, inni wykorzystują każdą darowaną sekundę, ale żaden, nawet największy i najważniejszy, nie może przekroczyć świętych 18 minut.

Idea warta tysiące

Co można przedstawić w takim czasie? Choćby proces pieczenia chleba. Prezentacja Petera Reinharda trwająca 15 minut sprawia, że banalna czynność, jaką lu-



Na warszawskiej konferencji TEDx będzie można przeżyć emocje równie silne jak te, które wywołuje Aimee Mullins prezentująca gepardzie nogi

dzie wykonują od dobrych kilkunastu tysięcy lat, nagle okazuje się fascynującym ciągiem niezwykłych przemian. Trudno uwierzyć? Fakt, to trzeba po prostu zobaczyć.

Oficjalne określenie na to, co prezentują mówcy, to „idea”, a hasło całej konferencji brzmi *Ideas worth spreading*, czyli „Idee warte szerzenia”. I to wydaje się głównym kryterium doboru występujących, bo na scenie zobaczymy specjalistę od animacji medycznych, faceta opowiadającego ze swadą o idealnym sosie do spaghetti, mężczyznę prezentującego magiczne sztuczki, lekarza omawiającego nową metodę pobierania szpiku kostnego czy mieszkańca Malawi, który w wieku 14 lat zbudował koło swojego domu elektrownię wiatrową. Swoje koncepcje przedstawiali na TED też Bill Gates, Joanne Murray Rowling, Al Gore, Olivier Sacks, Bill Clinton czy Jamie Oliver.

Od 2006 roku możesz zaoszczędzić pięć tysięcy dolarów, wchodząc na stronę Ted.com. Pojawiają się tam filmy dokumentujące najlep-

sze wystąpienia i dające wrażenie, jakbyśmy mieli szczęście siedzieć na widowni. Choć wszystkie prezentacje są po angielsku, do sporej części z nich możemy włączyć polskie napisy. By nie zagubić się w ponad 500 filmach, podzielono je według kategorii i subiektywnych ocen widzów. Szczególnie polecamy grupę oznaczoną jako „opadaczki szczek”.
Bądź tam!

No dobrze, ale co nam z tego, że gdzieś w dalekiej i ciepłej Kalifornii bogacze oglądają fascynujących ludzi? Ano to, że w bliskiej nam i wciąż zimnej Polsce mamy szansę spróbować czegoś bardzo podobnego. 5 marca w starym budynku BUW na Uniwersytecie Warszawskim odbędzie się TEDx Warsaw. TEDx to program udzielania licencji na organizację lokalnych wydań konferencji, na których rządzą podobne zasady jak w amerykańskim oryginale. Mamy więc 18 minut, prezentację po angielsku i przede wszystkim fascynują-

cą ideę. Nie musimy za to płacić pięciu tysięcy dolarów, choć i tak wstęp na imprezę ma ograniczoną liczbą osób. „Przekrój” jest jednym z patronów medialnych wydarzeń i choć dawno już rozeszły się wszystkie zaproszenia, to dla naszych czytelników mamy 10 specjalnych wejściówek. Czy warto się o nie starać? No cóż, polski TEDx zapowiada się nie gorzej niż ten amerykański. Będziemy mieli okazję dowiedzieć się między innymi, co wspólnego mają polityka i muzyka, jak zrozumieć konia, kim są dziś ludzie ubodzy i czy o Żydach w naszym kraju można mówić w tonie innym niż tragiczny. □

Więcej informacji o wydarzeniu na stronie www.tedxwarsaw.com, a jeśli nabierzesz ochoty, by z bliska doświadczyć idei wartych szerzenia, postaraj się zdobyć zaproszenie. W tym celu wyślij e-mail w środę 3 marca o godzinie 14 na adres teda@przekroj.pl. 10 pierwszych osób wygrywa. Warto.

REKLAMA

Fundacja
SERCE Dziecka

Codziennie 10 dzieci
rodzi się z wadą serca
My im pomagamy
POMÓŻ i TY!



Twój 1%
ratuje życie dzieci
z wadą serca

Wpisz w PIT dane:

FUNDACJA SERCE DZIECKA KRS 0000266644
im. Diny Radziwiłłowej

Program do wypełniania PIT na SerceDziecka.org.pl

1%

OPP

Jesteśmy hologramem

Maksyma uczy, że kto ma informację, ten ma władzę. Badacz Erik Verlinde nadał jej właśnie moc prawa fizyki – ogłosił, że to informacja jest źródłem siły grawitacji rządzącej ruchem planet, gwiazd i galaktyk

PRZYCIĄGANIE TEKST IRENA CIEŚLIŃSKA, ILUSTRACJA JAKUB JABŁOŃSKI



Kiedy Isaac Newton odkrył prawo powszechnego ciążenia – obowiązujące zarówno jabłko spadające z drzewa, jak i Księżyc obiegający Ziemię – nie wszyscy się zachwycali. Najwybitniejsi matematycy tamtych czasów – Christiaan Huygens i Gottfried Leibniz – słusznie uważali, że ta grawitacja to jakaś dziwna siła, bo działa między ciałami, które nie są połączone żadną widoczną więzią.

Zresztą i sam Newton w liście do przyjaciela pisał, że: „Jest nie do pomyślenia, aby nieożywiona bezduszna materia mogła działać bez pomocy czegoś niematerialnego i mieć wpływ na inną materię bez wzajemnego zetknięcia”. Grawitacja „musi być wywoływana przez czynnik działający stale według określonych praw; a czy to czynnik materialny, czy niematerialny, pozostawiłem do rozważań moim czytelnikom”.

Mimo tych wątpliwości prawo grawitacji Newtona odniosło wielki sukces – tłumaczyło ruchy planet i komet, potem posłużyło do wyliczania trajektorii satelitów i sond kosmicznych. Ale jego krytyka wcale nie zamilkła, bo siła grawitacji miała wprawdzie wzór, ale jej mechanizm pozostawał nieznanym.

Wieki mijają – i nic. Udało się już zjednoczyć w jednej teorii siły elektromagnetyczne i tak zwane słabe (które rządzą promieniotwórczymi rozpadami jądrowymi). Prawdopodobnie udało się dołączyć do nich silne siły jądrowe, które spajają jądra atomów i kwarki. Niemal całą fizykę – jak niektórzy marzą – będzie można wtedy zapisać za pomocą jednego równania na T-shirtcie. Tylko grawitacja opiera się unifikacji.

Bałagan do kwadratu

Bo ta siła wyraźnie nie pasuje do pozostałych. Zdaniem Erika Verlindego z Instytutu Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Amsterdamskiego to dlatego, że grawitacja wcale nie jest fundamentalną siłą natury. Pojawia się tylko tam, gdzie mamy do czynienia ze zbiorowością cząstek elementarnych. Podobnie jak siła ciśnienia gazu, która jest efektem uderzeń dużej liczby molekuł, ale w przypadku pojedynczych cząsteczek traci sens. Takie duże armie cząstek elementarnych, jeśli są zamknięte i nikt w owe cząstki nie ingeruje, rządzą się podobnym statystycznym prawem jak tłum na peronie metra, nasze niesprzątane biurka albo mieszkania. A mianowicie rośnie w nich nieporządek, czyli – jak mawiają fizycy – zwiększa się ich entropia. To słynna II zasada termodynamiki.

Porcelanowa filiżanka może się rozbić na tysiące kawałków, ale nikt jeszcze nie widział, by same potem na powrót się sklepiły. Spadłe z drzewa liście czy też niesione wiatrem płatki śniegu rozpanoszą się po całym podwórku. Nie ma mowy o tym, żeby same usypały się w pryzmę czy samodzielnie trafiły do śmietnika. Oczywiście można zmienić bałagan w porządek, ale zawsze wymaga to interwencji z zewnątrz, nakładu pracy lub energii, co skutkuje wzrostem nieporządku, czyli entropii, w innym miejscu. Jeśli bowiem porządek robimy własnymi rękami, to kosztem są reakcje przemiany materii w organizmie, jeśli zaś sprząta maszyną, to zużywamy energię elektryczną, do której wytworzenia trzeba było wcześniej spalić węgiel w elektrowni. Każda teoria fizyczna musi się stosować do II zasady termodynamiki. Astrofizyk Arthur Stanley Eddington mawiał: „Jeśli twoja teoria jest sprzeczna z wynikami eksperymentu – nie przejmuj się, eksperymentatorzy czasem fuszerują swą robotę. Ale jeśli twoja teo-

ria nie zgadza się z drugim prawem termodynamiki, to nie mam dla ciebie słowa otuchy: nie czeka cię nic poza upokarzającym upadkiem”.

Łyse czarne dziury

Dla fizyków nieporządek (entropia) to nie tylko kryterium estetyczne, lecz także konkretne i przeliczalne pojęcie fizyczne. Jego miarą jest ilość informacji (bitów), których potrzeba do opisanego stanu materii. Wiadomo, że o ile uporządkowany stan da się scharakteryzować za pomocą skąpego opisu (wszystkie skarpetki są w lewej szufladzie, bluzki – w środkowej, spodnie – w prawej etc.), o tyle opis bałaganu zajmie więcej miejsca (trzeba wyliczyć położenie każdej skarpetki, pary spodni i bluzki z osobna). Wzrost nieporządku związany jest więc ze wzrostem informacji. Ale co to ma wspólnego z grawitacją? Wbrew pozorom związek istnieje – wykazali to już w latach 70. zeszłego wieku Jacob Bekenstein i Stephen Hawking. Ich prace dotyczyły tego, czy można ustalić, jaki nieporządek panuje we wnętrzu czarnych dziur. To był ważki problem. Z chwilą odkrycia tych tworów, które zasysają i zjadają wszystko, co tylko wpadnie poza ich horyzont, fizycy zaniepokoiili się o los II zasady termodynamiki.

Zdawało się wtedy, że w czarnych dziurach na zawsze ginie nie tylko materia i światło, lecz również wszelka informacja o tym, co tam wcześniej wpadło. Jak to zgrabnie ujął fizyk John Wheeler, zwany papieżem grawitacji, „czarne dziury są łyse – nie pozostaje ani jeden włos, który mógłby zdradzić ich przeszłość”.

Jeśli zaś ginie w nich informacja, to i entropia, a więc można w nich ukrywać skutki bałaganiarstwa. – Kiedy wymieszam mleko z kawą, to tym samym powinna się zwiększyć entropia Wszechświata – mówił Wheeler. – Ale co będzie, jak chwilę potem ta filiżanka z kawą wpadnie do czarnej dziury? Zniknie, a wraz z nią wywołany przeze mnie nieporządek. Skutek? Entropia zmaleje, choć powinna rosnąć, a więc zostanie pogwałcona II zasada termodynamiki.

Bekenstein i Hawking przyszli w sukurs podstawowemu prawu fizyki. Wykazali, że entropia nie ginie, lecz w jakiś sposób zostaje zapisana na powierzchni horyzontu otaczającego czarną dziurę. Dlatego żeby zmierzyć panujący w czarnej dziurze bałagan, nie trzeba dokonywać rzeczy niemożliwej, a więc zaglądać do jej środka.

Osmotyczna grawitacja

Najdziwniejsze w tym odkryciu było to, że dwuwymiarowa powierzchnia czarnej dziury mieści całą fizyczną informację o jej trójwymiarowym wnętrzu. Przypomina hologram (taki jak te umieszczane na biletach komunikacji miejskiej, banknotach lub płytach CD), na którego powierzchni zapisane są wszystkie szczegóły przestrzennego obrazu.

Holenderski fizyk, noblista Gerard 't Hooft wysunął nawet śmiałą hipotezę, że na podobnej zasadzie opisane jest nie tylko wnętrze czarnej dziury, lecz także cały nasz Wszechświat. →

→ Gdyby miał rację, byłibyśmy holograficznym obrazem, którego źródłem jest informacja zapisana na brzegu widzialnego kosmosu (ten brzeg też nazywa się horyzontem). Nasz trójwymiarowy kosmos byłby złudzeniem – odbiciem procesów rozgrywających się gdzie indziej, na dwuwymiarowej membranie. Nie pytajcie, jak to możliwe, ani o więcej szczegółów – sami fizycy mają co do tego mgliste pojęcie i nie potrafią stworzyć ścisłej matematycznej teorii dla holograficznego świata.

Erik Verlinde poszedł teraz o krok dalej. Jego zdaniem w holograficznym świecie prawo powszechnego ciążenia jest logiczną konsekwencją II zasady termodynamiki, a więc panującej w przyrodzie skłonności do nieporządku. Materialne cząstki przyciągają się, bo taka jest statystyczna wypadkowa ich chaotycznego ruchu. A ta wypadkowa jest taka, bo maksymalnie zwiększa entropię, a więc ilość informacji, jaka jest potrzebna do opisu położenia tych cząstek materii. Verlinde lubi porównywać grawitację do siły osmozy, która sprawia, że cząsteczki rozpuszczalnika przenikają przez powierzchnię dzielącą roztwory o różnych stężeniach. Przepływ następuje zawsze w jedną stronę – taką, żeby wyrównały się stężenia po obu stronach powierzchni. To czysty efekt statystyczny, wypadkowa chaotycznego ruchu cząsteczek (też prowadząca do wzrostu nieporządku, bo cząstki, które początkowo były zebrane po jednej stronie powierzchni, teraz uciekają na drugą stronę i rozpraszają się po większym obszarze).

W przypadku grawitacji także mamy do czynienia z holograficzną powierzchnią, na której zapisana jest cała informacja o położeniu materii. I również – jak w osmozie – następuje taki przepływ materii, żeby wyrównać poziomy „stężenia” informacji. Ten ruch nie jest skutkiem powszechnej siły ciążenia między cząstkami materii, jak to tłumaczył Newton. Grawitacja nie jest atrybutem każdej cząstki z osobna, lecz tylko pochodną wzrostu entropii. W istocie jest więc ona skutkiem ubocznym tłumnego przepychania cząstek, efektem ich kolektywnych ruchów, które rządzą się prawami fizyki statystycznej.

Korzystając ze wzorów na entropię czarnych dziur podanych dawno temu przez Bekensteina i Hawkinga, a także słynnego $E = mc^2$ Einsteina, Verlinde wyprowadził z II zasady termodynamiki wzór na siłę ciążenia. Jego praca, w której naszkicował dowód, opublikowana w Internecie 10 stycznia tego roku spotkała się ze skrajnymi ocenami. Jedni widzą w niej przejaw geniuszu, inni ledwie cień szansy na poprawną teorię. Jeśli wytrzyma krytykę, wstrząśnie fizyką. Grawitacja zostanie usunięta z krótkiej listy fundamentalnych sił natury. Za to wzrośnie rola entropii, czyli informacji. Wielu fizyków uważa bowiem, że ona również jest kluczem do zrozumienia upływu czasu biegnącego zawsze w stronę coraz większego nieuporządkowania, chaosu i ciepłej śmierci Wszechświata. □

Grawitacja. Krótki poradnik użytkownika

Jeśli myślisz, że ta siła tylko nam przeszkadza, twardo trzymając nas przy Ziemi i nadając nieznosny ciężar naszym ciałom, to się grubo mylisz. Może być bardzo użyteczna

1. WYKRYWANIE TEGO, CZEGO NIE WIDĄC

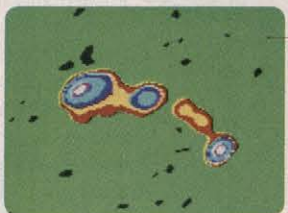
1. Pierwszy był Neptun – planeta, której istnienia w XIX wieku nikt by się nie domyślił, gdyby nie to, że grawitacją zakłócała ruch sąsiedniego Urana. Astronomowie dokładnie obliczyli, gdzie powinien znajdować się intruz, wycelowali tam teleskopy i – bingo! – znaleźli nową planetę. W połowie lat 90. zeszłego wieku zaczęto tak odkrywać planety poza Układem Słonecznym. Powodują one zmiany w ruchu swych macierzystych gwiazd. Analogicznie natrafiono na ciemną materię. Wielkie zbiorowiska setek i tysięcy galaktyk – zwane gromadami – wirują szybciej,



niż pozwala na to wiążąca je siła grawitacji. Ta ostatnia jest proporcjonalna do ich masy, którą szacowano na podstawie tego, co widać w teleskopach – świecących gwiazd i obłoków międzygwiazdowych. A tej widocznej masy jest mniej więcej dziesięć razy za mało. Pozostawało przyjąć, że gromady i galaktyki wypełnia materia, której nie widać, i nadać jej nazwę – ciemna materia. Początkowo wydawało się, że to ciemne planety, wygasłe gwiazdy, czarne dziury. Ale każdą z tych możliwości po kolei wykluczano. I dziś wciąż nikt nie ma pojęcia, czym jest ciemna materia, choć to ona stanowi najbardziej powszechną substancję Wszechświata.

2. SPOGLĄDANIE PRZEZ GRAWITACYJNE SOCZEWKI

2. Grawitacja ugina światło, co udowodnił Albert Einstein, więc masywne obiekty – planety, gwiazdy, galaktyki – mogą w sprzyjających warunkach działać jak szklane soczewki. Na przykład tworzyć urojone obrazy galaktyk. Pierwszy podwójny obraz tego samego kwazara – zwanego bliźniaczym kwazarem – odkryto w 1979 roku w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy. Prawdziwy kwazar leży w odległości blisko 9 miliardów lat świetlnych, ale zanim jego światło dotrze do Ziemi, przechodzi przez obszar położonej dwa razy bliżej gromady, która ugina światło



tak, że w teleskopie widać dwa odbicia tego samego kwazara. Kilka lat temu dzięki innej grawitacyjnej soczewce dostrzeżono najbardziej odległą galaktykę we Wszechświecie – powiększyła ona daleki blask galaktyki tak, że stała się ona widoczna na Ziemi. Same soczewki też mogą kryć w sobie tajemnice. Jeśli grawitacyjną soczewką jest gwiazda, to obiegające ją planety działają niczym skazy na szkle. Oglądając daleki Wszechświat za pomocą takich soczewek, obserwujemy go jakby przez nierówne szkło. W ten sposób wykryto już kilka planet – najdalszych planet znanych we Wszechświecie. A metodę wymyślił nasz astronom Bohdan Paczyński.

3. GRAWITACYJNY NAPĘD KOSMICZNY

3. To może dziwić. Grawitacja jest przecież największym hamulcowym sond i statków kosmicznych. Trzeba się natrudzić, by nadać im taką prędkość, by pokonały ziemskie ciążenie. To prawda, ale od chwili, kiedy statek znajdzie się już w przestrzeni międzyplanetarnej, grawitacja staje się jego sprzymierzeńcem. Odkrył to amerykański student Michael Minovitch, który na początku lat 60. był na stażu w Laboratorium Napędu Odrzutowego w Pasadena, kolebce amerykańskiego programu kosmicznego. Jako stażysta Minovitch dostał od inżynierów NASA



szkolne zadanie. Miał obliczyć trajektorie sondy lecącej od punktu A do B. Minovitch zauważył, że jeśli na drodze sondy jest planeta i sonda zatoczy wokół niej łuk, to może przyspieszyć lot. Planeta przechwytywa sondę w obszar swojego pola grawitacyjnego i wyrzuca ją jak kamień z procy. Metoda Minovitcha przypomina poruszanie się w dżungli Tarzana, który skakał na lianach jak na huśtawkach, a kiedy kończyła się jedna, chwytął za następną i przenosił się dalej. Z obliczeń wynikało, że w ten sposób sonda bez włączenia silników może zwiększyć prędkość nawet o kilka kilometrów na sekundę. To ważne, bo statki kosmiczne mają zwykle mało paliwa.



TEŻ PYTANIE!

Zadaj pytanie, odpowiemy na nie. Jeśli coś ci nurtuje, a nie wiesz, kogo zapytać, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

■ URSZULA DĄBROWSKA



Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

REKLAMA

OFF Plus camera przedstawia **Bierzcie i Kręćcie!**

Zbierz ekipę i nakręć fabułę

Sfilmuj wyznanie miłosne za pomocą komórki

Zrób krótki film lub relację z wydarzenia

Do wygrania 3 000 \$ w każdym z konkursów, nowe komórki oraz zaproszenie na Festiwal OFF PLUS CAMERA oraz Warsztaty Filmowe CINEMAX do Krakowa.

Więcej na www.offpluscamera.com/konkursy

RMF cinemax PRZE KROJ gazeta onet.pl tvn

1. DLACZEGO SIĘ ŚMIEJEMY, GDY KTOŚ NAS ŁASKOCZE?

Łaskotki to właściwie bardzo stresująca dla człowieka sytuacja. Odczuwamy je dzięki tym samym zakończeniom nerwowym, które informują nas o bólu. Łaskotki są jednocześnie miłe i okropne. Dlatego jeśli polaskocze nas ktoś obcy, reagujemy unikami lub agresją. Dopiero w komfortowych warunkach, podczas zabawy wywołują śmiech. Ale nie jest to do końca objaw radości. Raczej jedyny sposób rozładowania napięcia, który nie odstrasza osoby łaskoczącej. Z punktu widzenia rozwoju człowieka ważne jest, by krzykiem lub płaczem nie przerywać łaskotek natychmiast, gdy się zaczęły, bo jak większość zabaw w dzieciństwie służy edukowaniu. W tym wypadku chodzi o wyćwiczenie odruchu chronienia najbardziej delikatnych części ciała – pach, szyi, brzucha. Z jednej strony chcemy łaskotki jak najszybciej przerwać, z drugiej nasz organizm wydzielą endorfiny – hormony szczęścia. Wszystko po to, abyśmy trenowali dalej. Drugim elementem łaskotania jest budowanie więzi i zaufania z rodzicem, rodzeństwem czy przyjacielem. Jeśli pozwalał komuś, by cię łaskotał, oznacza to, że zgadzasz się, by ta osoba zadawała ci trochę bólu. To w żadnym wypadku nie jest masochizm, lecz wiara, że bliska osoba, nawet jeśli cię krzywdzi, robi to w dobrej wierze. Dlatego reakcją na to w gruncie rzeczy mało przyjemne doświadczenie jest śmiech. Choć gdy zabawa się przedłuża, może się skończyć płaczem.



...lecz wystarczy kotkowi dać mleczko... by rozwalić mu nerki lub zapewnić biegunkę

2. DLACZEGO KOT LUBI MLEKO?

Nie każdy kot lubi mleko, tak jak nie każdy człowiek. Jako ssaki koty piją mleko mamy. Ludzie karmią je mlekiem krowim. Niestety, dorosłe zwierzęta nie zawsze są w stanie trawić zawartą w mleku laktozę. Dlatego ten płyn może powodować u kota biegunkę (z tym samym problemem często borykają się także ich właściciele). W dodatku krowie mleko ma zbyt duże ogólne stężenie białek, co bardzo obciąża, a czasem nawet uszkadza nerki kotów. Dlatego weterynarze odradzają pojenie kotów mlekiem innym niż specjalnie do tego przeznaczone (do kupienia w supermarketach i sklepach zoologicznych). Bezdolne zwierzęta chętnie piją wystawiane im mleko, tak samo jak pochłaniają wszystko, co tylko nadaje się do zjedzenia. Natomiast koty domowe, które o głodzie wiedzą niewiele, często odmawiają picia mleka. Wątróbkę lub inny ulubiony smakołyk wolą popić czystą wodą.

3. DLACZEGO NAWET MAŁYM CHŁOPCOM RANO PODNOSI SIĘ SIUSIAK?

Dla treningu. Czyli po to, by w przyszłości działał jak należy. Przez cały okres wzrostu dziecka, chłopca, a potem mężczyzny ciało jamiste w penisie muszą być co jakiś czas rozciągane. Pierwsze erekcje zdarzają się chłopcom już w okresie prenatalnym, w brzuchu mamy. To, jak często pojawiają się w dzieciństwie, zależy od predyspozycji chłopca. Po części wynika też z wychowania, odżywiania, ilości ruchu, jakiego zażywa dziecko, a w części jest odziedziczona. Do okresu dojrzewania erekcja nie jest związana z podnieceniem seksualnym, ale może być wywołana zabawą i silnymi emocjami. Rano, podobnie jak u dorosłych mężczyzn, powoduje ją ucisk pełnego pęcherza (utrudnia on odpływ krwi z jądra). Dlatego erekcja znika po wysuszeniu się.



FOT. ISTOCKPHOTO (2), CORBIS

KORZYSTAJ

BILIRUBINA
GLUKOZA
BIAŁKO
LEUKOCYTY
AZOTYNY

Na wszystko znajdzie się test

NERKI, JELITA, ŻOŁĄDEK, PECHERZ. COKOLWIEK dzieje się w naszym organizmie, pozostawia swój ślad. Wystarczy tylko wybrać odpowiedni test i już można zostać hipochondrykiem z naukowymi podstawami.

FOB (krew utajona w kale) pozwala wykryć raka jelita grubego na bardzo wczesnym etapie

PSA (antygen swoisty dla prostaty) może wskazywać na przerost lub raka gruczołu

LH (hormon luteinizujący) wskazuje moment jajeczkowania, co ułatwia zapłodnienie

Helicobacter pylori to bakteria, która przyczynia się do powstawania wrzodów żołądka

Helicobacter Test

PSA Test

LH Test

FOB Test

Menopauza Test

Pink Midstream

URS10 Test

Białko Test

MULTI-Test

Multi, bo wykrywa całe multum narkotyków. Trawkę, amfetaminę, heroinę, kokainę i inne

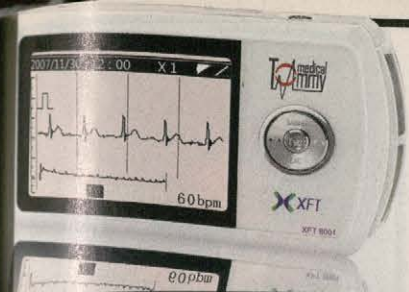
Białko pojawiające się w moczu w zbyt dużej ilości jest ostrzeżeniem przed wieloma chorobami

URS 10 bada 10 parametrów moczu, pozwalając wykryć m.in. choroby nerek, wątroby czy cukrzycę

Pink Midstream to bardzo poetycka nazwa testu ciążyowego. Wystarczy nasuszać...

Menopauzie towarzyszy zwiększenie produkcji hormonu FSH wykrywanego przez test

Gdybyś chciał wiedzieć, co ci w sercu gra, z pewnością przyda ci się podręczny aparat EKG XFT 8001. Wystarczy go przyłożyć do klatki piersiowej, dłoni czy nawet łydki, by szybko uzyskać czytelny wynik



MEDYCYNA

Sprawdź, jak działasz

Nie lubimy się badać. Gdy już zachorujemy, to godzinami możemy rozprawiać o naszej przypadłości, ale na profilaktykę jakoś zwykle nie mamy czasu. Dlatego proponujemy sposób najprostszy z możliwych – zbadaj się sam.

Każdy słyszał o teście ciążowym, wielu z wypiekami na twarzy czekało wskazane pięć minut, marząc, by ukazały się (zależnie od życzenia) jeden lub dwa paski. Emocje wielkie, ale sam test bardzo prosty. I właśnie tą zasadą kierują się twórcy większości domowych testów diagnostycznych – każdy, kto potrafi obsługiwać urządzenie o stopniu komplikacji miksera, powinien dać sobie radę z wykonaniem testu i odczytaniem wyniku.

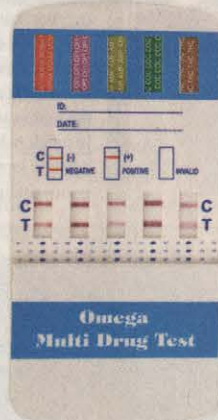
Rozwój nauki pozwala na domowe sprawdzanie coraz większej liczby parametrów naszego organizmu – po lewej prezentujemy przegląd dostępnych w większości aptek zestawów,

które przydać się mogą niemal każdemu.

Część testów, podobnie jak ciążowe, daje prosty wynik typu tak/nie. W ten sposób działa na przykład zestaw stwierdzający obecność w organizmie *Helicobacter pylori* czy wskazujący czas owulacji. Inne, jak złożone badanie moczu, wymaga nieco więcej wysiłku, bo każdy z parametrów może przybierać różne wartości. Dlatego przed rozpoczęciem całego badania trzeba koniecznie usiąść spokojnie na pięć minut i uważnie przeczytać procedurę wykonania testu i odczytania wyniku. To tym ważniejsze, że często mamy na to tylko kilka minut, bo później wyniki przestają być wiarygodne.

A więc proszę wybierać, kupować, testować. Cena większości testów to 10–20 złotych, więc inwestycja nie jest wielka, a wyniki mogą być bardzo ważne.

www.domowlaboratorium.pl
www.omegarex.com.pl



Multitest narkotykowy wykrywa pięć głównych grup narkotyków w jednej próbce moczu. No i wygląda bardzo ładnie, choć podczas testów jakoś nie wykrył nam THC. Poculiśmy się zawiedzeni



Helicobacter pylori wykrywa się, pobierając próbkę krwi. Choć brzmi to nieco groźnie, odbywa się to przez szybkie nakłucie opuszki palca cienką igłą. Strzał wykonuje ta mała maszyna widoczna na pierwszym planie, a pobranie krwi polega

po prostu na przyłożeniu do kropki cieniutkiej kapilary. Potem jeszcze tylko zakroplenie jej na płytkę i podłanie buforem. To jeden z bardziej złożonych testów, choć jego wykonanie zajmuje dwie minuty, a na końcowy wynik czeka się kwadrans



Testy ciążowe występują w zadziwiającej mnogości odmian. Paskowy jest najtańszy, strumieniowy (z prawej) najdroższy, ale też najprostszy do wykonania. Wszystkie jednak działają na tej samej zasadzie – mierzą w moczu zawartość gonadotropiny kosmówkowej

Zwalczanie zimy w skodzie

No dobrze, czas coś z tym zrobić. Zima – precz!

NA DÓWÓD, ŻE NIE PRZYJMUJEMY zimy do wiadomości – wycieczka. Najlepiej dłuższy wypad samochodem nad jeziora. Zakopane w tej sytuacji wykluczone.

Oczywiście przyda się też odrobina realizmu – wciąż można się spodziewać jakiegoś śniegu czy zadymki, lepiej więc

mieć odpowiednie ubranie. Garderoba zimowa, letnia i mnóstwo innej idealnie zmieści się w bagażniku skody superb kombi, który ma po złożeniu siedzeń imponujące 1865 litrów pojemności.

Gdybyśmy mieli problem ze znalezieniem na pojezierzu noclegu, nie ma co się załamywać – dzięki specjalnej konstrukcji podłogi w samochodzie można wygodnie spać.

Gdyby na zaśnięzonych polach przyszło nam zgubić drogę, pomoże zarówno system nawigacji Columbus, jak i napęd na tylną oś



Zima? Jaka zima! W skodzie superb możesz udawać, że jest już pełnia lata

Machanie na deskę

W kinie na snowboardzie po piasku? Takie rzeczy to tylko z Lechem

HUMAN JOYSTICK TO INTERAKTYWNA GRA Lecha, w którą można pobawić się w polskich kinach. System analizuje ruch rąk i wychylenie ciała widzów i na tej podstawie oblicza trasę jazdy deski wyświetlanej na ekranie. To coś jak zbiorowy ślalom.



Pearl Drops Hollywood Smile to

pasta wybielająca, która likwiduje przebarwienia szklawe. Ponoć stosowana dwa razy dziennie przez trzy tygodnie wybiela zęby o dwa odcienie. Na to rozdanie Oscarów już nie zdążysz, ale na przyszły rok jak znalazł. Aha, nie zapomnij tylko zrobić jakiegoś filmu.





INSPIRUJĄCE DZIEWCZYNIKI JAREK SZUBRYCHT

ALICJA WCIĄŻ TU MIESZA

POKOCHALI JĄ AUTORZY FANTASTYKI, REŻYSERZY HORRORÓW, ROCKOWI MUZYCY, DZIECI KWIATY, A NAWET OKULTYŚCI. „ALICJA W KRAINIE CZARÓW” NIE PRZESTAJE INSPIROWAĆ, CZEGO DOWODEM KOLEJNA EKRANIZACJA SŁYNNIEJ POWIEŚCI LEWISA CARROLLA, KTÓRA WŁAŚNIE TRAFIA NA NASZE EKRANY

TIM BURTON TO JEST KTOŚ*. KRĘCI FILMY, KTÓRE podobają się publiczności i krytykom pospołu, współpracuje z najlepszymi i za coraz większe pieniądze. Sam potrafi wymyślać niezłe historie, ma też do dyspozycji tuzin czołowych hollywoodzkich scenarzystów, swoje pomysły podsyła mu też na pewno legion zwariowanych fanów. A jednak Burton, zamiast zaskoczyć nas czymś nowym, jeszcze nieopowiedzianym, sięgnął po „Alicję w krainie czarów” (i jej kontynuację, czyli „Alicję po drugiej stronie lustra”, za jednym zamachem). I nawet jeśli wywrócił ją do góry nogami, nie wyczerpał tematu, tak jak nie udało się to setkom jego poprzedników. Bo „Alicja...” to jedno z najbardziej wpływowych, najczęściej cytowanych i reinterpretowanych dzieł literackich w historii obok eposów Homera i dramatów Williama Szekspira. Różnica polega na tym, że „Ody-

sei” i „Hamleta” nikt nie odsyła na niską półkę z bajkami dla dzieci.

Okiem kota

Nie obejdzie się bez wyliczanki. Oczywiście, nie zamierzam wymienić wszystkich dzieł literackich, muzycznych, filmowych, plastycznych i Bóg raczy wiedzieć jakich jeszcze, które zaciągnęły dług u Lewisa Carrolla*. Nie o wszystkich warto wspominać, ale też jest to po prostu niemożliwe – nagromadziły się ich przez ostatnie 150 lat tysiące. Autor „Alicji w krainie czarów” sam zdążył zebrać niemałą kolekcję apokryficznych wersji przygód swojej podopiecznej. Nie mógł jednak spodziewać się szaleństwa, które rozpętało się w XX wieku i trwa do dzisiaj.

Najpierw literatura. Na tych, którym mało oryginalnych opowieści Carrolla, czeka nie-

zliczona liczba dalszych ciągów (na przykład „Alicja w uchu igielnym” Gilberta Adaira). Zdarzają się też przygody Alicji opowiedziane od nowa, na przykład z perspektywy Kota – to już zabawne „Złote popołudnie” Andreja Sapkowskiego. Nietrudno zgadnąć jednak, że kraina czarów najbardziej kusi autorów powieści fantastycznych, by wymienić serię „Inny świat” autorstwa Tada Williama, trylogię „The Looking Glass Wars” Franka Beddora czy cyberpunkowe powieści Jeffa Noona z „Automatyczną Alicją” na czele.

Bezbronne dziecko kusi też twórców horrorów – po drugiej stronie „Zwierciadła piekielnego” Grahama Mastertona znajduje się... no właśnie. Wiele baśni bezwstydnie wykorzystuje pomysły Carrolla i sprzedaje jak swoje – znajdziecie je w „Czarnoksiężniku z krainy Oz”, „Piotrusiu Panie”, „Opowieściach z Narnii”, „Niekończącej się historii”... Że to literatura drugiej kategorii? Co w takim razie powiecie na „Finnegans Wake” Joyce’a, „Miłość w czasach zarazy” Márqueza (warto by też wziąć pod lupę innych gigantów realizmu magicznego) czy dramaty Samuela Becketta (refleksja nad tożsamością, upodobanie

do absurdalnych lingwistycznych sztuczek czy motyw gry w szachy to tylko kilka punktów stycznych)?

Idź za Białym Króliczkiem

Nie mniej niż literatów – zagubiona we własnym śnie Alicja inspirowała filmowców. Bezpośrednie adaptacje pominę jako zbyt oczywiste, choć niektóre z nich – choćby pornograficzny musical z 1976 roku – zasługują na osobną dysertację. Warto natomiast wspomnieć o „Co?” Romana Polańskiego (1972 rok, kraina czarów przybiera realne kształty hoteliku we włoskim kurorcie, a przygody głównej bohaterki Nancy mają erotyczny charakter) czy – z patriotycznego obowiązku – musicalu „Alicja” z 1982 roku, wspólnym dziełem Jacka Bromskiego i Jerzego Gruzdy. Najważniejsze filmowe dzieci Alicji to jednak „Labirynt” Jima Hensona (1986, ten z Davidem Bowiem), „Oczy szeroko zamknięte” (1999) Stanleya Kubricka (uważny widz spostrzeże, że tu również jest Alicja i motyw przejścia z jednego świata

do drugiego zaznaczony lustrem na pół ekranu) i arcyśmutny „Labirynt fauna” (2006) Guillerma del Toro, z którego wynika, że lepiej zostać w nielogicznej krainie czarów niż w świecie dorosłych, gdzie rządzi krwawa logika wojny. Oczywiście jest jeszcze „Matrix” (1999) braci Wachowskich – i nie tyle tatuaż z Białym Królikiem jest tu istotny, ile koncepcja świata, który tylko śnimy.

Liczne odwołania do obu „Alicji” znaleźć można również w „Zagubionych” oraz ojcu wszystkich seriali telewizyjnych, w których rzeczywistość swobodnie przeplata się z... inną rzeczywistością, czyli „Miasteczku Twin Peaks” (1990) Davida Lyncha. Z tą podstawową różnicą, że jego Alicja, czyli Laura Palmer, wraca z drugiej strony lustra martwa. Animowanych adaptacji utworów Lewisa Carrolla znajdziecie co niemiara – od „Donaldal w krainie Matematyki” z 1959 roku, przez całe stopy mniej lub bardziej szalonych japońskich kreskówek, aż po odcinki „Garfielda” (do krainy czarów trafia prosiak Orson) i „Simpsonów”.

W nieletniej bohaterce Carrolla zakochał się też po uszy twórca komiksów i mangi. Biednemu Batmanowi rzucają kłody pod nogi tacy superlotrzykowie jak pederfil hipnotyzer (sic!) Szalony Kapelusznik, a w komiksie „Zagubione dziewczęta” wspólne erotyczne przygody przeżywają Alicja, Dorotka (ta z krainy Oz) i Wendy (koleżanka Piotrusia Pana). Jeśli ktoś bardzo potrzebuje, może też śledzić zapierające dech w piersi perypetie „Lateksowej Alicji”.

Wypij mnie, słuchaj mnie

Muzycy pokochali Alicję za jej abstrakcyjny, oswobodzony z więzów fizyczności i realizmu charakter i zarazem matematyczną precyzję, doskonałą wewnętrzną spójność, bo z równowagi tych dwóch sprzeczności wyrasta przecież muzyka. Inspirowanych książką oper, operetek, baletów i instrumentalnych utworów od muzyki poważnej (Gustav Holst, Paweł Szymański) po jazz (Chick Corea na przykład dał płycie tytuł „Szalony Kapelusznik”) – jest mnóstwo. Nie wszyscy zadowolili się jednym utworem. Amerykański neoromantyk David Del Tredici poświęcił Alicji pół życia i kilkanaście kompozycji – od miniatur po symfonie.

W muzyce popularnej Alicję rozmnażają się jak (białe) króliki. Najsłynniejszą chyba piosenką odwołującą się do książki, a za jej pośrednictwem do narkotykowych halucynacji, jest rockowy klasyk „White Rabbit” formacji Jefferson Airplane. Można się bez końca spierać, czy „Lucy in the Sky with Diamonds” i „I Am the Walrus” przysły do nas z krainy czarów, ale nie sposób kwestionować faktu, że wśród postaci z okładki „Sierżanta Pieprza” Beatlesów czai się Lewis Carroll.

Na str. 64-69

znajdziecie szczegółową odpowiedź dlaczego

Właściwie **Charles Lutwidge Dodgson**, brytyjski pisarz, poeta, matematyk i fotograf. Swoją Alicję wzorował prawdopodobnie na Alice Liddell, córce przyjaciół

Krwini i znajomi Królika, wśród nich Alicja (w błękitnej sukni). Pierwowzorem Białej Królowej (po prawej) była... **Nigella Lawson**





Alice Liddell. Miała szczęście być **muzą geniusza** czy pecha – paść ofiarą umizgów pedofila? Ten spór chyba nigdy nie umilknie. Tylko ocena wartości obu książeczek jednocy wszystkich

→ Do inspiracji jego książkami przyznawali się również muzycy Pink Floyd ze świętej pamięci Sydem Barrettem. Rockmani z Alice In Chains zawdzięczają mu nazwę, Gwen Stefani oszalała scenografią teledysków, Korn tytuły i okładki dwóch albumów („Spójrz w lustro”, „Do zobaczenia po drugiej stronie”), Marilyn Manson jednego („Zjedz mnie, wypij mnie”), a Neil Sedaka, Florence & The Machine, Elton John, Siouxsie & The Banshees, The Sisters Of Mercy i setki innych – tematykę piosenek. Wyjątkowo mocnym uczuciem pałają do Alicji metalowcy (może wychowanie na wspomnianych wcześniej horrorach?), ze szczególnym wskazaniem na kanadyjską grupę Annihilator, która na swoim debiucie „Alice in Hell” wysłała dziewczynkę do piekła.

Popkultura żywi się zresztą nie tylko „Alicją w krainie czarów”, ale i jej autorem, któ-

rego życiorys również stał się popkulturowym mitem. Dość mrocznym zresztą, bo pan Dodgson jawi się w nim jako nieśmiały, zamknięty w sobie ekscentryk szukający towarzystwa raczej dzieci niż dorosłych. Pewnie pedofil. – Jego dzienniki, listy i wspomnienia znajomych świadczą o czymś zupełnie innym. Życie towarzyskie, które prowadził, i relacje z dorosłymi przyjaciółmi w niczym nie odbiegały od normy. Był dowcipny, uczynny i miły. Był lubiany – zapewnia Mark Richards, przewodniczący londyńskiego Towarzystwa Lewisa Carrolla. – Ludzie wolą jednak widzieć w nim dziwaka, wolą mit od faktów.

W takim właśnie Carrollu wielu upatruje pierwowzoru dla Humberta Humberta z „Lolity” Nabokowa (to trop tym bardziej kuszący, że Nabokov tłumaczył „Alicję w krainie czarów” na język rosyjski). Ten sam temat zaka-

zanej miłości posłużył za kanwę sztuki „Alice” oraz płyty pod tym samym tytułem autorstwa Toma Waitsa.

Z nożem w zębach

Skąd ta niesłychana żywotność pozornie banalnych historyjek dla dzieci? – Piękno języka, humor, surrealizm, urok samej Alicji... – Mark Richards zastrzega, że mógłby tak wymieniać bardzo długo. – Ale to, co czyni z nich prawdziwie wybitne dzieła literatury, to sposób, w jaki oddziałują na emocje. Naprawdę doświadczamy tego wszystkiego. Czasem frustracji lub niepokoju, czasem lęku, radości, szczęścia, ulgi, smutku... Trudno się nie wzruszyć.

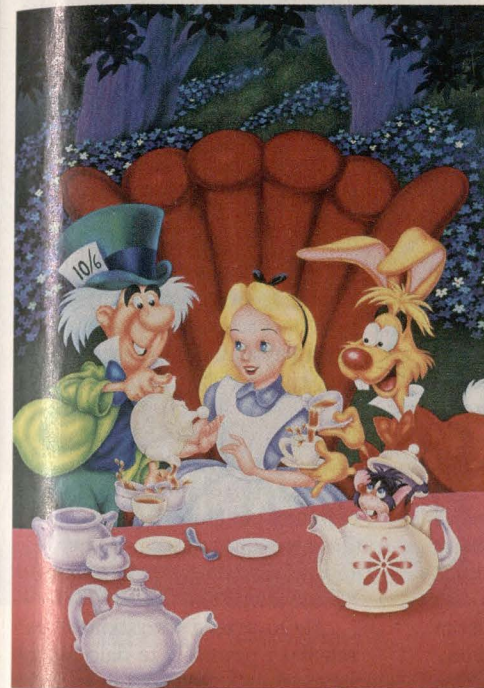
– Choć ramy tej historii są wyraźnie wiktoriańskie, to, co dzieje się w krainie czarów, nie zostało osadzone w żadnym konkretnym czasie, a miejsce zostało w całości wymyślone. Ławo więc znaleźć paralele pomiędzy tą krainą a naszym własnym środowiskiem, niezależnie od tego, gdzie i w jakiej epoce żyjemy – mówi „Przekrojowi” Andrew Sellon, prezes Północnoamerykańskiego Towarzystwa Lewisa Carrolla. Istotnie, świat przedstawiony w „Alicji”, gdzie zawieszone zostają wszystkie prawa fizyki, poddaje się reinterpretacji łatwiej niż jakiegokolwiek inne realne środowisko. Owszem, można zmusić Odyseusza, by błąkał się ulicami Dublina, Romea i Julię zaciągnąć w sam środek wojny nowojorskich gangów, a Balladynę posadzić na japońskim motocyklu, ale to rozwiązania równie odważne, co sztuczne.

Co nie znaczy, że wszystkie wariacje na temat twórczości Brytyjczyka są przez wielbicieli talentu Lewisa Carrolla równie mile widziane. – Znam wielu purystów przeciwnych jakimkolwiek próbom reinterpretacji dzieła Carrolla, ale nie zgadzam się z nimi. Zdarza się, że te najdziwniejsze i najbardziej niesamowite nola – wersje docierają głębiej do istoty oryginału – Mark Richards prezentuje liberalne podejście do wymyślania Alicji na nowo, ale jego amerykański kolega jest mniej wyrozumiały.

Horror z humorem

– Książki o Alicji pisane były po to, by bawić krótkimi epizodami, mają mnóstwo pikareskiego uroku, ale niewiele dramatyzmu. Carroll sam rozumiał, że jego dzieło musi być zmodyfikowane, by obroniło się w innym medium. Nie akceptowałby jednak przemocy i seksu, bo starał się trzymać dzieci z dala od mrocznej strony świata. Nie spodobałaby mu się gra wideo „American McGee’s Alice”, gdzie tytułowa bohaterka jest morderczynią unurzana we krwi. Odwrócony krzyż na jej szyi pewnie by go przeraził, bo Carroll był dewotem – uważa Sellon. – Tim Burton uprzedzał, że sięgnął po nową fabułę, bo oryginalna nie ma mocnego, jasno zarysowanego konfliktu i brak jej celu niezbędnego w filmie fabularnym. Życzę filmowi sukcesu, ale jakkolwiek pan Burton by się starał, nie pobije oryginału.

Kolejne pokolenia szukają w „Alicji w krainie czarów” zupełnie innych treści i – oto fe-



Królik się śmiecha czy będzie gryzł? Dzisiaj niewinne adaptacje przygód Alicji to rzadkość

nomen tej książki! – zawsze je znajdują. Równiecy Carrolla chcieli tam widzieć dydaktyczne przypowieści z morałem, chociaż autor uciekał od moralizowania, jak tylko potrafił. Na przełomie XIX i XX wieku Charlesa Dodgsona z otwartymi ramionami powitali w swym sekretnym gronie okultyści, biorąc książki za poważne traktaty magiczne. Zresztą czary w krainie Alicji mieszczą do dziś – istnieje nawet tarot z postaciami wypożyczonymi z Carrolla. W połowie ubiegłego stulecia Alicja zafascynowała twórców nowych, abstrakcyjnych nurtów w sztuce (Salvador Dali poświęcił jej cykl prac) oraz wyznawców modnych psychologicznych trendów, z Freudowską psychoanalizą i nieświadomością zbiorową Carla Gustawa Junga na czele.

Od Junga do psychodelicznej Ery Wodnika był już tylko krok – w latach 60. „Alicja w krainie czarów” weszła do kontrkulturowego kanonu pism objawionych i razem z hipisami przeszła dojrzewanie od radosnej niewinności do mrocznej dorosłości, gdzie postraktowano ją jako przewodniczkę po ukrytej, ciemnej stronie seksualności czy wręcz zaświatach (porównywano doświadczenia osób, które zaszły śmierci klinicznej, z przygodami dziewczynki). I gdy już zdawać się mogło, że nie da się przypisać „Alicji w krainie czarów” nowych znaczeń, artyści i naukowcy pospół stanęli przed nowym wyzwaniem – rzeczywistością wirtualną, której królową, rzecz jasna, została koleżanka Białego Królika i Kota z Cheshire.

W swoim eseju „Alicja w krainie luster” Laura Green, profesor anglistyki na Uniwersytecie Yale, dowodzi, że choć każda epoka w przygodach ciekawskiej i nieulekłej dziewczynki widzi swoje obsesje, jedno się nie zmienia – największą siłą tej historii pozostaje rzadkie połączenie horroru z humorem. Takie to proste. Kochamy Alicję, bo kochamy się bać i kochamy się śmiać. Ale wydaje mi się, że jest jeszcze coś. Że wielu z nas chętnie obudziłoby się, by z ulgą skonstatować, że cała ta dorosłość to tylko dziwny sen... □

Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Jak panoramiczny obraz zamienił nasze życie w gehennę

INNI SASIEDZI ZNOSILI JE od dawna. Długie, cienkie, ale szerokie. Lekkie, ale o wielkiej powierzchni, więc gdy powiał wiatr, znosiło ich ze ścieżki w kałużę albo zaspę śniegu. Sam skapitulowałem już wiele miesięcy temu. Wystawiłem na aukcji stary telewizor, chociaż służył wiernie, a kupiłem panel – stosunkowo skromny rozmiarów. Z żoną uznaliśmy, że chodzi o to, żeby oglądać DVD bez tych czarnych pasków na dole i górze, a nie o to, by wypełnić sobie pół pokoju. Sąsiedzi zamieniali już wtedy 32 cali na cali 40 lub więcej, więc zastanawiałem się, po co to i gdzie to mieszczą w swoich mieszkaniach, nie mniej blokowych niż nasze. Przechodząc z pudełkowego formatu 4:3 na panoramiczny 16:9, myśleliśmy, że żegnamy problemy. Nie twierdzę od razu, że realizowaliśmy wytyczne Rady Europy, która postulowała przejście na wygodny (bardziej naturalny dla naszych oczu) standard 16:9 już 17 lat temu, ale pocieszały nas decyzje urzędników w Brukseli. Podobnie jak kolorowe obrazki w sklepie. Rzeczywistość okazała się brutalna – analogowa telewizja w Polsce nadaje w trybie 16:9 tylko kilka programów.

Reszta leci w 4:3. Żeby jednak wszystko było bardziej skomplikowane, w 16:9 nadawane są reklamy, często niezależnie od formatu innych programów. Seriale bywają w 16:9, ale już większość transmisji sportowych w 4:3. Części filmów telewizja z własnej inicjatywy obcina boki, w związku z czym dwie strony panelu stoją czarne, puste i smutne. Mecze da się oglądać w eleganckim przybliżeniu, ale wtedy tracimy wyświetlane na krańcach ekranu informacje o wynikach. Na filmach z napisami stracimy napisy i czubki głów aktorów. Owszem, jest dobra strona – gdy już przedstawimy się na stałe na 16:9, znikną beznadziejne paski opowiadające o propozycjach programowych na najbliższe godziny oraz podające numery konkursów SMS-owych. Ale to słabe pocieszenie. Moja mama (również przeprowadzona z 4:3 na 16:9) nie chce w kółko przełączać formatów, więc zostawiła panoramę, tryb, w którym wszystko jest rozciągnięte na boki, szersze niż w rzeczywistości. Podobnie mają chyba dziennikarze od stylu i urody, którzy piszą potem teksty o tym, że wraca moda na pulchne kształty u aktorek i modelek. Moja żo-

na zajęła się z kolei tropieniem pogrubionych postaci wszędzie, gdzie się da. Znaczną część wieczoru zajmuje nam więc dopasowywanie trybu ekranowego do rodzinnych potrzeb i dyskusja, czy postacie są już poszerzone, czy jeszcze nie. Pośredni tryb 14:9 (wycinający aktorom tylko kosmyki włosów i tylko połowę wyników meczu) bywa zbalansowanym kompromisem – pod warunkiem że nim do niego dojdziemy, nie skończy się już dany film lub program. Teraz już wiem, co robią sąsiedzi z telewizorami o przekątnej 46 cali: oglądają telewizję z czarnymi paskami po wszystkich stronach ekranu, a mimo to udaje im się osiągnąć obraz dorównujący wielkością temu ze starego rubina 4:3. Telewizję właśnie ogłosiły nową ramówkę. Od tego, ile będzie Ani Muchy, a ile Marcin Prokopa, bardziej interesuje mnie to, czy Mucha nie będzie aby szersza niż w realu, a głowa Prokopa zmieści mi się na ekranie. Chciałbym więc zapytać, czy nowe programy, które wejdą wiosną, będą wyświetlane też na tych czarnych paskach po bokach ekranu? Czy nowa ramówka wpuszcza je wszędzie w te cholerne ramki? □

Burton, tylko mniej

„Alicja w krainie czarów” nie jest aż tak czarująca

Gdy 19-letnia Alicja pojawia się w krainie czarów po długiej przerwie (była w niej jako dziecko), słyszy od jej mieszkańców: „Jesteś Alicją, tylko mniej”. To samo mogłabym powiedzieć reżyserowi filmu. Kiedy Tim Burton sięgnął po halucynogenną książkę Lewisa Carrolla, oczekiwałam czegoś więcej niż uroklivej scenografii i niepokojących efektów, jak ogromnoglawa Czerwona Królowa czy bliź-

niacy Tweetledee i Tweetledum. A to one właśnie – nie fabuła – są tu bardziej dopracowane. Scenarzystka połączyła wątki z „Alicji w krainie czarów” oraz „Alicji po drugiej stronie lustra”, a od siebie dodała trochę mętnej psychoanalizy: bohaterka trafia do innego świata, aby z dziewczynki stać się silną kobietą. Świetnie, że nie podchodzi się tu do literatury na kolanach, sęk w tym, że ta nadbudowa jest wydumana. Alicja od początku filmu jest zbuntowana, jasno widzi obłudę otaczających ją ludzi, a w trakcie wyprawy do krainy czarów niczego istotnego nie

odkrywa. Jej krajoznawczą wędrówkę Burton stara się ożywić atakiem potwora, pojawieniem się Szalonego Kapelusznika lub Kota z Cheshire, ale dramatycznie efekt jest mizerny. Może reżyser chciał tu pokazać, jak trudno w pewnym wieku dać się ponieść wyobraźni, bo racjonalny umysł zamyka fantazję w szufladce „senne marzenie”? Niestety, sam Burton, szukając kolejnej filmowej krainy czarów, nie odnalazł jej. – sol

„Alicja w krainie czarów”, reż. Tim Burton, Forum Film, 108', premiera 5 marca

RYS. MARCIN MACIEJOWSKI

TU KOMPONOWAŁ.
TU ODNALAZŁ PRAWDZIWY DOM.



W 1974 ZAMONTOWANO SYSTEM ANTYWŁAMANIOWY.
„ATMA” STAŁA SIĘ WŁASNOŚCIĄ SPOŁECZEŃSTWA.

++++ MARCIN SENDECKI

Na miarę największą

Z drugiego tomu „Dzienników” Iwaszkiewicz wylania się jako udręczony gigant o wielu obliczach

Wyniosły, nieprzystępny olimpijczyk. Światowiec i reprezentant „gospodarstwa polskiej kultury” wobec ludowej władzy. Poseł marionetkowego Sejmu PRL i „bojownik o pokój”. Wielki prozaik i – dziś widać – coraz lepiej – genialny poeta. Ojciec rodziny, który kochał się w mężczyznach.

W zapisach pisarza z lat 1956–1963, które się właśnie ukazały, jest to wszystko – i znacznie więcej. Są notatki z podróży, jak zwykle piękne, choć niekiedy – zważywszy kontekst – zabawnie irytujące („Ta Wenecja mnie dobija. Czuję, jak życie ze mnie ucieka wszystkimi porami”, 29 marca 1956). Są jeżące włos na głowie polityczne oceny („Sztokholm, 4 kwietnia 1956. Do Bieruta miałem zawsze wielkie zaufanie (...). Wierzyłem mu bardzo. Śmierć jego sprawiła na mnie bardzo silne wrażenie, pogrzeb – wspaniały. Te tłumy, które przesuwały się przed trumną, tłumy prawdzi-



Jarosław Iwaszkiewicz
„Dzienniki. Tom 2. 1956–1963”,
Czytelnik,
Warszawa 2010,
s. 664, 49 zł

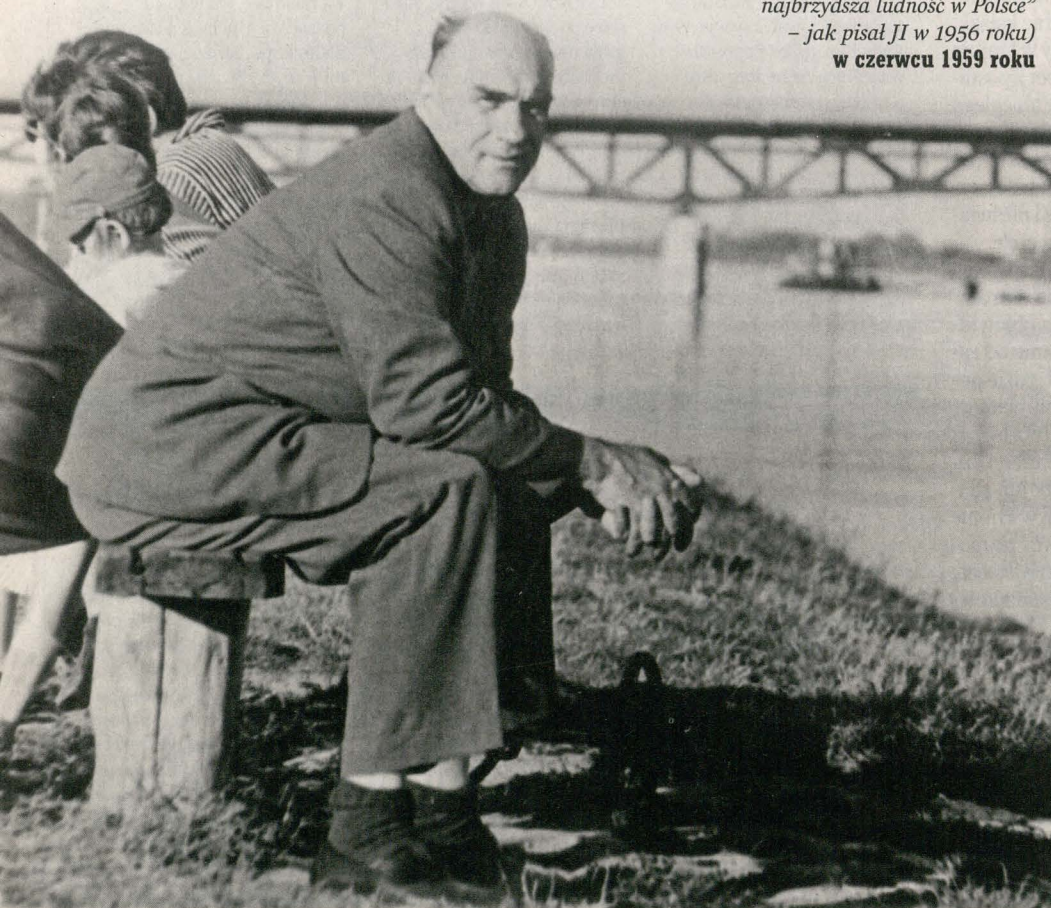
wego, do dziś cierpiącego proletariatu, dla którego on był symbolem i nadzieją”, a z drugiej strony głębokie przeżycie się Czerwcem ’56 i powstaniem na Węgrzech.

I jest duma, gdy go przyjmują na moskiewskich salonach („Siedziałem po prawej stronie Chruszczowa (...). Gdyśmy wstali od stołu, zaprosił nas do swojej łóż. Siedział w niej Chruszczow, Fiedin, Robeson i ja. Bardzo to było zauważone. Żegnając się z Chruszczowem, powiedziałem: »Dziękuję wam za wielki honor mnie okazany, oczywiście zapisuję to na kon-

to Światowej Rady Pokoju, po części na konto polskiej literatury, ale ludzę się, że i moja skromna osoba odgrywa w tym pewną rolę». Moskwa, 30 stycznia 1960).

Ale pod tym wszystkim jest to, co niewidoczne. Oczywiście także historia miłosna z Jerzym Błężyńskim, ostatnia tak intensywna przygoda dźwigającego siódmy krzyżyk na karku pisa-

Sandomierz („gdzie mieszka najbrzydsza ludność w Polsce” – jak pisał JI w 1956 roku) w czerwcu 1959 roku



rza, przygoda dramatyczna, ze śmiercią ukochanego w finale i – po kilku miesiącach – wspaniałym fragmencie prozy o jego odchodzeniu i własnej rozpacz.

To właśnie rozpacz – na powierzchni tłumiona i przetwarzana w literaturę – przepełnia strony intymnego dziennika. Rozpacz niedocenienia, przekonania o nietrwałości dzieła i fatum, które nie pozwala mu na równych prawach konkurować z europejskimi sławami: „Najgorsze jest w moim życiu – a zwłaszcza na starość – to, że nie mam się do kogo przymierzyć. Niewątpliwie jestem postacią na miarę największą”, 23 marca 1958). Megalomania? Kogóż innego mieliśmy na tę miarę. I to ktoś właśnie taki pisze: „(...) nie mam żadnego znaczenia dla nikogo, dla żadnego pokolenia w Polsce”, 10 lutego 1957).

Ale to przede wszystkim rozpacz schyłku i pewność, że dalej jest tylko pustka. Zapiszek szpitalny: „Zadziwiająco jest pomyśleć, że już. Taśma się kończy. Oczywiście może ją tu podłatają na miesiąc, dwa, na dwa lata. To w niczym sprawy nie zmienia, że się już wszystko skończyło i zostaje to moje klasyczne pytanie: to już? To już wszystko. (...) Przede mną nie ma nic i trzeba się tylko oglądać”, 21 kwietnia 1956. I zaklinanie samego siebie: „Nie myśl, Jarosławie, o tym, że to wszystko niepotrzebne i nie ma sensu” i „Trzeba milczeć. Trzeba być mężnym, Jarosławie”, choć wciąż „plakać się chce jak dziecku”. Bo „(...) jakże jest ciężko żyć z młodym sercem, zaczynając sześćdziesiątą piątą wiosnę. Plakać się chce – i płaczę. Jak napisałem wczoraj. Ale chce mi się lez gorących, gestych jak burza letnia – a nie załamionych, jesiennych oczu”, 21 lutego 1958.

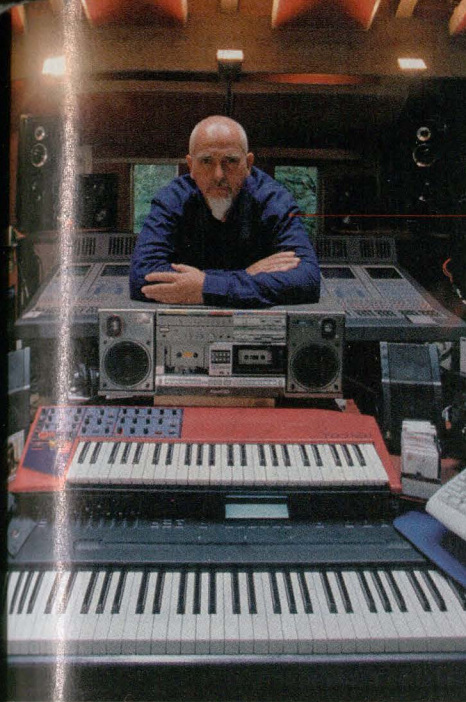
I wreszcie to wyznanie z 21 sierpnia 1960 roku: „Słuchałem dziś rano w radio »Martwej natury« Konopnickiej i płakałem jak bóbr. (...) Ale płakałem z wszystkich innych, nie literackich powodów, a Danilewiczowa pyta w swej recenzji z »Tataraku«, dlaczego w moich nowelach wszyscy mężczyźni płaczą. Bo wszystkie nowele są o mnie, droga pani Danilewiczowa”.

Parę dni wcześniej napisał: „Przeć ja zawsze kłamię. »Ja tylko tak udaję, że się nocy nie boję...« Bo otacza nas noc i chaos cierpienia, bezsensownego cierpienia”.

Nic się nie zmieniło.



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl



++++ JAREK SZUBRYCHT

Szerokie plecy Petera G.

Po czym poznać artystę naprawdę dużego formatu? Że nawet z płyty z cudzesami potrafi zrobić coś własnego

Nie należy do licznej w Polsce sekty oddającej Peterowi Gabrielowi boską cześć. Bardziej niż za muzykę cenię go za pozytywistyczną pracę u podstaw. Za odkrycie dla Zachodu wybitnych artystów z Afryki i Azji, twórcze podejście do Internetu (był współzałożycielem OD2, jednego z pierwszych serwisów legalnie sprzedających muzykę), za działania na rzecz praw człowieka. Szanuję go też za to, że mimo srebrnych skroni nie daje się nostalgii – nie dołączył do wspominkowej trasy Genesis, nie wybiera się też na uro-

czystość wprowadzenia jego macierzystej formacji do Rock’n’roll Hall of Fame.

Peter Gabriel nie żyje przeszłością, bo wciąż ma pełne ręce roboty. Jego najnowszy projekt to album z przeróbkami piosenek innych wykonawców – od gigantów (David Bowie, Neil Young, Lou Reed) po wybitnych przedstawicieli młodej generacji (Bon Iver, The Magnetic Fields, Arcade Fire). Co ważne, wokalista nie ograniczył się do nagrania zestawu ulubionych piosenek, ale namówił ich autorów do odbicia piłeczki. „Scratch my Back” to dopiero pierwsza część projektu, którego uzupełnieniem będzie album „I’ll Scratch Yours”, gdzie cała ta muzyczna śmietanka zmierzy się z utworami z repertuaru Petera Gabriela. Sprytne.

Na początek krążka skok na głęboką wodę. Artysta wielkiego formatu, ale i utwór pomnikowy, czyli „Heroes” Davida Bowiego. Peter Gabriel wyznał, że dodanie choćby nutki do tej pięknej kompozycji może jej tylko zaszkodzić, więc... kilka odjął. Taki zresztą był pomysł na te interpretacje. Miały być minimalistyczne, bez instrumentów perkusyjnych i gitar. Ton całości nadają smyczki, czasem puls podtrzymuje fortepian, z rzadka z tła na plan pierwszy wychodzą groźne dęciaki. Gdyby Peter Gabriel zdecydował się nagrać ten album z Kronos Quartet, mógłby brzmieć podobnie. Ale niekoniecznie lepiej, bo John Metcalfe (znany między innymi ze współpracy z Michaeliem Nymanem i Morrisseyem), odpowiedzialny za aranżację, wykonał tu tytaniczną pracę i błysnął nieprzeciętnym talentem.

To jemu głównie należą się brawa za „Scratch my Back”, chociaż Gabriel jako wokalista też świetnie się spisał. Nie forsował interpretacji na siłę uduchowionych czy przesadnie dramatycznych, pierwszeństwo oddając kompozycjom. Nie ze wszystkimi utworami poradził sobie równie dobrze (w zbyt wycofanym i zwolnionym „Street Spirit” dotkliwie brakuje szaleństwa Radiohead), ale za „Scratch my Back” wypada z szacunkiem poklepać go po plecach.



Peter Gabriel
„Scratch my Back”,
Real World/EMI

++++

Soul w żałobie

Nowa płyta Corinne Bailey Rae to miłosna elegia

ZAPOMNIJMY O CORINNE, debutantce sprzed czterech lat. Zараżającego optymizmem, beztroskiego dziewczęcia już nie ma. Jest zboląta kobieta po przejściach, która krótko po pierwszych sukcesach przeszła przyspieszony kurs dojrzalskości. Był marzec 2008 roku, kiedy w tajemniczych okolicznościach zmarł mąż Corinne i zarazem jeden z jej najbliższych muzycznych współpracowni-



Corinne Bailey Rae
„The Sea”, Virgin

ków, saksofonista Jason Rae. Na „The Sea” brytyjska wokalistka nawet nie próbuje uciekać od bolesnych wspomnień. Tęsknota za ukochanym i cierpienie po jego stracie to główne tematy tej osobistej miłosnej elegii. Być może w innych okolicznościach Corinne nieprędko przypominałaby sobie o swoich rockowych korzeniach, ale dzięki temu, że w jej nastrojuwym soulu znalazło się miejsce na odrobinę gitarowej drapieżności, ten udany, acz niełatwy powrót cieszy jeszcze bardziej.

Bartek Winczewski

Teatr Polski w Poznaniu
BLISCY NIEZNAJOMI
Europejskie Spotkania Teatralne
CLOSE STRANGERS
European Theatre Encounters
8-11 kwietnia 2010



www.bliscynieznajomi.pl



Gdzie się podziały tamte soundtracki

Złoty wiek muzyka filmowa przeżywała w ubiegłym stuleciu – twierdzą jedni. Tak dobrze i różnorodnie jak dziś kino jeszcze nie grało – zapewniają inni. Kto ma rację? Poznajcie płynącą z głośników prawdę czasu, prawdę ekranu

JAREK SZUBRYCHT, ILUSTRACJA AGNIESZKA CHMIELEWSKA

Piękne tematy muzyczne z filmów – każdy zna ich немало. Ten przy gołeniu nuci sobie „Indianę Jonesa”, tamta wzrusza się przy walcu z „Ojca chrzestnego” (kamień by się wzruszył), a jeszcze inny dodaje sobie animuszu, ustawiając w telefonie złowrogi marsz z „Gwiezdných wojen” zamiast wymyślonego przez producenta aparatu standardowego dźwięku dzwonka. Tyle że to wszystko to melodie sprzed kilkudziesięciu, w najlepszym wypadku kilkunastu lat. Dlaczego dziś muzyka filmowa nie ma już tej siły przebiccia, takiego wpływu na emocje mas? Czyżbyśmy mieli do czynienia z głębokim artystycznym kryzysem całej branży? A może zmienił nam się gust? Kto za tym wszystkim stoi?

– W komercyjnych stacjach radiowych też masz nadreprezentację muzyki z lat 80. Cemu? Nostalgia! – uważa John Erik Kaada, norweski artysta, przed dwoma laty jedna z gwiazd muzycznej sceny festiwalu filmowego Era Nowe Horyzonty. – Tymczasem dzisiaj tworzy więcej kompozytorów niż kiedykolwiek wcześniej. Myślisz, że wszyscy komponujemy rzeczy gorsze od tych sprzed lat?

Oczywiście nie! Niestety, toniemy w muzyce, filmach i sztuce, a w tej powodzi przebijają się produkcje z największym budżetem promocyjnym, te, które krzyczą najgłośniej.

Syndrom ten utrwalają masowo wydawane składanki typu *best film music* żonglujące wiecznie tym samym zestawem wyrwanych z kontekstu piosenek i tematów. Tymczasem może być inaczej. Dowód: życzliwie przyjęta kolekcja płyt „Wielcy kompozytorzy filmowi” Agory (choć paru nazwisk brakuje i wykonania niekoniecznie są oryginalne) oraz pierwsze albumy ze znakomitej serii przygotowanej przez wytwórnię Turner/Rhino pod koniec lat 90., u nas wydawanej pod szyldem Sony Music, które pod koniec lutego wreszcie trafiły na polski rynek. Starannie opracowane wydawnictwa (zdjęcia, szczegółowa historia i filmu, i muzyki) zawierają ścieżki dźwiękowe obrazów ze studiów Warner Bros. i MGM, wcześniej na srebrnych dyskach niedostępne lub dostępne w okrojonych i gorzej brzmiących wersjach. Wśród tytułów takie kompozytorskie perły, jak: „Doktor Żywego” Maurice’a Jarre’a, „Casablanca” Maksa Steinera czy „Poltergeist” Jerry’ego Goldsmitha.

Aż ciśnie się na usta pytanie: gdzie ta muzyka była, kiedy jej nie było? – Gdy w latach 60. w Hollywood upadał system wielkich studiów, wiele taśm-matek zostało zniszczonych, bo wytwórnie nie widziały w nich źródła zysków, za to potrzebowały przestrzeni magazynowej. Bezpownownie utraciliśmy mnóstwo nagrań. Te zaś, które wciąż istnieją, nie zawsze były składowane i konserwowane w odpowiedni sposób, więc są w tak beznadziejnym stanie, że nie da się ich odtworzyć – mówi „Przekroju” Marilee Bradford z hollywoodzkiego stowarzyszenia muzyki filmowej, pomysłodawczyni i producentka Turnerowskiej serii. – Niektóre ścieżki dźwiękowe, nawet jeśli fizycznie przetrwały, tyle razy przechodziły z rąk do rąk, że trudno ustalić, kto ma do nich prawa. Dlatego wiele studiów woli trzymać swoje archiwa pod kluczem, niż zajmować się czymś, co nie kusi wysokimi zyskami.

Kompozytorzy nie znają nut

Czy zapadające w pamięć muzyczne tematy filmowe mogłyby powstawać i teraz? Marilee Bradford twierdzi, że tak. Pod warunkiem że kompozytorzy chcieliby takie pisać. Ale nie chcą, bo dziś inne soundtracki są w modzie, odmienne niż przed półwieczem są potrzeby zarówno twórców, jak i publiczności. Nowa muzyka filmowa nie jest jej zdaniem gorsza od klasyków, ale inna. Nie psuje się, lecz ewoluje. – Debata nad rolą melodii w muzyce filmowej nie gaśnie i ściśle wiąże się ze zmianami stylu kręcenia filmów. Nie sposób porównać ścieżki dźwiękowej Johna Barry’ego

do „Pożegnania z Afryką” z muzyką do „Planety małp” Jerry’ego Goldsmitha, z wyjątkiem stwierdzenia, że jedna jest melodyjna, druga abstrakcyjna, ale obie znakomite – mówi Bradford. – Mody rządzące muzyką popularną również mają wielki wpływ na ścieżki dźwiękowe. I chodzi tu nie tyle o gatunki muzyki, ile o jej autorów. Do czasu nastania epoki cyfrowej, inwazji Internetu i tym podobnych hollywoodzcy kompozytorzy byli absolwentami konserwatoriów. Niestety, od dobrych paru lat w siłę rosną tak zwani kompozytorzy, którzy nawet nie potrafią czytać nut. Wiedzą za to, jak podpiąć klawiaturę do komputera i w programie do komponowania zestawiać ze sobą kilka dźwięków. Nie chcą jednak dyskredytować wszystkich artystów związanych z muzyką elektroniczną, bo wielu obiecujących kompozytorów młodego pokolenia przyszło do Hollywood ze światła gier wideo. Na przykład najczęściej w tym roku nagradzany, między innymi Złotym Globem i nagrodą Grammy za muzykę do „Odlotu”, Michael Giacchino.

Nóż w plecy kompozytorom wbili też awangardowi filmowcy, którzy do swoich obrazów potrzebują równie awangardowej muzyki, czyli industrialnych szumów i hałasów, sennych hiphopowych bitów lub w najlepszym wypadku nieskładnych pomiaukiwań rozstrojonych skrzypiec. Albo – jak przedstawiciele Dogmy 95 – rezygnują z tradycyjnie pojmowanych soundtracków w ogóle, wychodząc z założenia, że film powinien zawierać tylko dźwięki integralnie związane z przedstawioną na ekranie akcją. A w ilu filmach bohaterowie słuchają płyt albo bawią się na koncertach?

Odgrywanie kotletów

Coś więc jednak się zmieniło. I chyba nie chodzi wyłącznie o narzędzia ani nawet o to, kto wciska klawisze. Zmieniła się rola muzyki w filmie i wokół niego. Łatwiej i taniej nagrać jedną piosenkę, która będzie służyć jednocześnie za reklamówkę filmu, niż godziną ścieżkę dźwiękową z orkiestrą symfoniczną. Jeszcze doskonalszym rozwiązaniem jest

wykorzystanie gotowego utworu, choćby i nagranych na nowo, jak „I’m a Believer” w pierwszym „Shreku” czy „It’s Raining Men” w „Dzienniku Bridget Jones” – wiadomo, że to przebój, podoba się ludziom, a dzięki nowemu wykonaniu zyskuje walor świeżości. Poza tym piosenkę pop łatwiej wyłansować niż najpiękniejszy nawet temat instrumentalny. Można do niej nakręcić teledysk, zagrać ją w radiu, zrobić wersję karaoke dla knajp. A co z takim „Ojcem chrzestnym”? Kiedyś grywały go orkiestry taneczne, ale tych już przecież prawie nie ma...

Filmowcy chcą, by piosenki z ich produkcji były popularne, a firmy płytowe chcą słyszeć w filmach lansowane przez siebie przeboje. Od końca lat 80. rola kierowników muzycznych w branży filmowej znacząco wzrosła. Nie muszą mieć wykształcenia muzycznego, wystarczy, że radzą sobie z wybie-

Oryginalne ścieżki dźwiękowe przegrywają dziś ze składankami pełnymi znanych przebojów

raniem piosenek do filmu i podpisaniem kontraktu na wydanie płyty ze ścieżką dźwiękową. Kompozytor oryginalnej muzyki filmowej rzadko bywa pytany o zdanie – wyjaśnia mechanizm powstawania składankowych soundtracków Marilee Bradford.

To ironia losu, że dziś ogranicza się znaczenie oryginalnej ścieżki dźwiękowej na rzecz składanek z odgrzewanymi kotletami dokładnie z tych samych powodów, dla których kiedyś zaczęto przykładać wielką wagę do muzyki komponowanej wyłącznie dla danego filmu. Chodzi o pieniądze. Otóż w latach 30. ubiegłego stulecia filmowcy zrozumieli, że muzykę można wykorzystywać nie tylko do zagłuszania warkotu projektora, ale także po to, by wzmocnić ładunek emocjonalny filmu. Następnym tej obserwacji było kolejne epokowe odkrycie – że tę samą muzykę można sprzedać dwukrotnie. Razem z filmem w kinie (a kiedy technologia

na to pozwoliła – również na domowych nośnikach), a potem jeszcze raz na płycie. – Fonografia to przecież wielki i lukratywny przemysł – potwierdza Bradford. – W Hollywood zrozumiano, że można zarobić nieźle pieniądze na zamawianiu oryginalnej muzyki i późniejszym administrowaniu prawami do jej wykonywania.

Jaka to melodia?

A gdzie w tym wszystkim miejsce dla wielkiej sztuki, która wzrusza i dodaje skrzydeł? Wiele dobrego zdarzyło się przy okazji zarabiania pieniędzy, bo kino stało się jednym z najmniejszych mecenasów muzyki i Hollywood nawet w chudych latach stać było na zatrudnienie najlepszych. A przy tym kino jest dla muzyków niewyczerpanym źródłem inspiracji i niezmiennie zapewnia środowiskowy prestiż. Budzi też w muzykach wielkie ambicje, choć nie zawsze daje możliwość ich spełnienia. – Kompozytorzy mają nadzieję, że ich muzyka przemówi do publiczności, będzie podporą dla fabuły, a potem będzie żyła własnym życiem, niezależnie od filmu, na przykład na koncertach. Ale to nie kompozytor decyduje, w jaki sposób muzyka zostanie połączona z obrazem. To decyzja reżysera, faceta od efektów dźwiękowych, szefa montażu oraz wielu innych – mówi Marilee Bradford. – Czasem muzyka grzmi całą mocą i atakuje ze wszystkich stron, a publiczność daje się porwać melodii i zapomina, że ogląda zły film. Bywa też jednak, że wspaniała muzyka zostaje pogrzebana w smietniku efektów dźwiękowych, więc publiczność nie ma szansy usłyszeć, jak jest dobra.

Cóż, nikt nie obiecywał, że to historia z happy endem...

22 lutego do polskich sklepów trafiły pierwsze płyty z serii legendarnych soundtracków filmowych ze studiów Warner Bros. i MGM. Wśród nich m.in. „Casablanca” (muz. Max Steiner), „King Kong” (Max Steiner), „Powiększenie” (Herbie Hancock), „Północ, północny zachód” (Bernard Herrmann), „Victor Victoria” (Henry Mancini), „Zabiskie Point” (Pink Floyd). Wydawca: Sony Music Polska

REKLAMA

ALBUM FOX BOX W SKLEPACH!

PREZENTUJE

Maria Peszek
M. Bunio.S [DICK4DICK]
Natalia Lubrano [MILOOPA]
Sqbass
Novika
Organek [SOFA]
Marsija [LOCO STAR]

fox box

PRZEKROJ onet.pl Roxy cojostgrane HIRO ma chi na



PIOTR STANISLAWSKI

Zostań tatą Najpierw szybkie pytanie: grałeś w pierwszą część „BioShock”? Jeśli tak, czytaj recenzję numer 2. Jeśli nie – wybierz numer 1.

+++++

1. Witamy w Rapture! To prawdziwa utopia – zatopione na dnie oceanu miasto, które miało być ziemskim rajem, wolnym od korupcji, religii i innego zła. Utopione jednak zostały też ideały – w konfrontacji z chciwością i żądzą władzy wszystko legło w mokrych gruzach, a mieszkańcy podwodnego świata zamienili się w przerażające karykatury samych siebie. W pierwszej części gry dziejącej się dekadę przed wydarzeniami z „BioShock 2” trafialiśmy do tego przedziwnego miejsca (pozornie przypadkiem i uczuliśmy się, jak przetrwać. Nauka przebiegała gwałtownie, bo była walką o życie z monstrami, z których najbardziej w pamięć zapadły małe urocze dziewczynki o przerażających pustych oczach wysysające wielkimi strzykawkami tajemniczą substancję z trupów.

„Małe siostrzyczki”, jak je nazwano, znajdowały się pod stałą ochroną „dużych tatusiów” – zakutych w pancerne stroje głębinowych nurków gotowych oddać za nie życie. Cała ta makabryczna historia rozgrywała się w scenerii tak fenomenalnie przygotowanej, że co rusz gracz zatrzymywał się, by z rozedziawioną gębą podziwiać niesamowity świat konsekwentnie namalowany w stylu art déco.

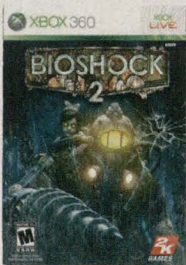
„BioShock 2” to dokładnie ten sam świat i bardzo podobna historia. Tyle że łądujesz w pancerzu „dużego tatusia” i przez okienko jego helmu obserwujesz „małe siostrzyczki”. Ale nie przejmuj się, bo nawet przeczytawszy poprzedni akapit, masz gwarantowany opad szczęki – świat Rapture jest tak piękny, zaskakujący, kompletny, że zatonicz w nim kompletnie. A więc siadaj (najlepiej po ciemku i w słuchawkach) przed ekranem (najlepiej dużym) i zanurz się w świecie, którego z pewnością nie zapomnisz. To piękna, wciągająca, niezwykła gra. Prawdziwa perła. □

+++++

2. Witamy w Rapture! Jeśli sięgasz po drugi „BioShock”, to zapewne pokochałeś to miejsce chorą, wypaczoną miłością, na jaką zasługuje. Ale uważaj, bo czeka cię gwałtowne déjà vu. Mimo że od wydarzeń z „BioShock” minęło 10 lat, w podwodnym mieście nic się nie zmieniło. No dobrze, Andrew Ryan nie żyje, miastem rządzi niejaka Sofia Lamb, której poglądy są nie mniej kontrowersyjne niż pomysły Ryana, twórcy Rapture. Wszędzie napotkamy ślady obecności jej wyznawców, jednak to nadal to samo miejsce, które tak dobrze znasz.

Łądujesz w nim co prawda tym razem jako Big Daddy, ale przejście na drugą stronę barykady jest pozorne. Nadal twoimi głównymi przeciwnikami pozostają zmutowani mieszkańcy Rapture, nadal czekają cię walki z innymi „dużymi tatusiami” i poszukiwanie „małych siostrzyczek”. Różni się nieco broń, twój krok jest znacznie cięższy, ale zabawa pozostaje niemal identyczna.

Na pewno z przyjemnością obejrzyysz nowe rejony pięknego jak zawsze Rapture i z przerażeniem poznasz jego nowych lokatorów – Big Sisters. Zachwycisz się upiornym lunaparkiem i ze wzruszeniem odkryjesz ślady twojej „małej siostrzyczki”. Oczaruje cię też zakończenie gry. Po nim jednak przyjdzie refleksja, że po drugiej części fenomenalnej gry należało się spodziewać fenomenalnego skoku, a nie stagnacji. Jest pięknie, ale chciałoby się, by było piękniej. □



„BioShock 2”,
2K Games, Cenega,
Xbox 360, PS3, PC,
90–220 zł

FOT. HENNY GARFUNKEL/RETN/CORBIS

ROZMOWA KAROLINA PASTERNAK

Trzeba to uczcić!

Chcę tylko robić to, co kocham, i móc z tego żyć – mówi **Lone Scherfig**, autorka nominowanego do Oscara filmu „Była sobie dziewczyna”

Wnocy z 7 na 8 marca poznamy oscarowych zwycięzców. W rankingach prowadzi „Avatar” i „The Hurt Locker”. W pułapce wojny”, ale wśród nominowanych za najlepszy film (a także najlepszą rolę kobiecą i najlepszy scenariusz adaptowany) jest też „Była sobie dziewczyna” Lone Scherfig. Na chwilę przed oscarową nocą i polską premierą obrązu (19 marca) duńska reżyserka opowiada Karolinie Pasternak, gdzie zastała ją wieść o nominacjach, jak tanio zrobić drogi film i za co wielbi Daniela Day-Lewisa.

Pani najnowszy film szturmował festiwal. Przed panią jeszcze Oscary. Krecja gotowa?

– Nie, ale szukam w Internecie jak oszalała. Jak dowiedziała się pani o nominacjach?

– Odsłuchiłam wiadomość z poczty głosowej, bo gdy do mnie dzwoniono, byłam akurat w samolocie. Postanowiłam po prostu natychmiast iść to uczcić, cieszyć się chwilą, bo wątpię, że nasz film zdobędzie Oscara.

Wielkim osiągnięciem jest już to, że stanie wszechni z tak gigantyczną produkcją jak „Avatar”. Choć mnie osobiście dużo bardziej podoba się „The Hurt Locker”. Aż trudno uwierzyć, że ci dwoje [James Cameron – reżyser „Avatara”, i Kathryn Bigelow – reżyserka „The Hurt Locker” – przyp. red.] byli kiedyś parą!

Przed „Była sobie dziewczyna” kręciła pani filmy tak zwane arthouse’owe, niekomercyjne. Szum wokół nich był dużo mniejszy. Czy teraz pani życie jakoś się zmieniło?

– W ogóle! Zmieniło się może tylko moje samopoczucie. Dzięki tym wszystkim nominacjom do nagrody BAFTA [nominacji było osiem, stanęło na nagrodzie dla aktorki Carey Mulligan – przyp. red.] i Oscara czuję się pewniejsza, bardziej świadoma swojej wartości jako reżyser. Poza tym jestem zajęta pracą. Latem tego roku zaczynam pracę nad „One Day” na podstawie książki Davida Nichollsa. Napisałam też dwa nowe scenariusze, więc zanim ruszę ze zdjęciami, chcę je trochę podzłifować.

Skoro mowa o scenariuszach – oglądając „Była sobie dziewczyna” zrealizowany na podstawie powieści Nicka Hornby’ego, czuję, że to nie pani tekst. To hollywoodzkie zakończenie, zupełnie nie w pani stylu...

– W pierwszej wersji skończyliśmy film nieco inaczej – zbliżeniem na twarz Petera Sarsgaard, który gra w filmie Davida. Była w nim sugestia, że bohater pójdzie dalej i zniszczy życie



kolejnej osoby, a to czyniło wymowę filmu dużo bardziej pesymistyczną.

Takie zakończenie dużo bardziej by mi się podobało.

– Mnie też, ale produkcja zdecydowała, że powinniśmy skończyć bardziej słonecznie i harmonijnie. Zrobili badania i okazało się, że publiczność woli takie rozwiązania. Wersja z alternatywnym zakończeniem pojawi się na DVD. **Jak pani, autorka niezależnego „Włoskiego dla początkujących” i „Wilbur chce się zabić”, znosi ograniczenia, które narzuca wysokobudżetowa produkcja?**

– Ograniczenia budżetu mogą być inspirujące, mogą stać się wyzwaniem, obudzić kreatywność. Ale niekiedy po prostu chciałoby się mieć pieniądze – na muzykę, statystów. Wbrew pozorom „Była sobie dziewczyna” nie był aż tak dużym filmem, mieliśmy jedynie duże gwiazdy: Emmę Thompson, Alfreda Molinę. Trzeba było oszczędzać, na czym się dało. Weźmy chociaż samochody z lat 60., które widzimy w filmie. Wie pani, że to ciągle te same pięć aut? Tyle że jeździli w kadrze tam i z powrotem.

Gdy dysponuje się większymi możliwościami, można osiągnąć lepsze efekty. Więc naprawdę cieszę się, że mój najnowszy film „One Day” będzie miał znacząco większy budżet niż dotychczasowe. Uważam przy tym, że to młodzi reżyserzy powinni dostawać największe pieniądze. Łatwiej zrobić film z małym budżetem, gdy jest się starszym, bardziej doświadczonym.

Młodzi nie mają takich umiejętności, powinno się pomagać im realizować ich wizje.

Wspomniała pani o gwiazdach w „Była sobie dziewczyna”. Z tego, co wiem, jeszcze pracując w Danii, marzyła pani o reżyserowaniu hollywoodzkich sław. Czy jest ktoś, na kim szczególnie pani zależy?

– Bardzo chciałabym pracować z Danielem Day-Lewisem. Gdy widzę, jak gra, mam wrażenie, że jego talent jest jak kontynent, z którego odkryliśmy dopiero pojedyncze fragmenty. Jest tak oszczędny w środkach. Mam projekt, którym może uda mi się go zainteresować, ale potrzebuję jeszcze czasu, zanim mu go pokażę.

Może poznać się na oscarowej gali?

– Spotkałam go już w Londynie na wręczaniu British Independent Movie Award, ale nie odważyłam się go podejść.

Jak to?!

– On i ja to zupełnie inna liga!

A widziała pani „Nine – Dziewięć”, najnowszy film z udziałem Day-Lewisa? Nie jest najlepszy, naprawdę nie powinna mieć pani kompleksów.

– Widziałam. Oglądałam też słabutkie „To skomplikowane” z Meryl Streep. Co się stało z tymi aktorami? Dlaczego tak chętnie sprzedają się w nijakich filmach?

Może to kwestia kryzysu – nie mogą przebierać w ekscytujących propozycjach?

– Ale właśnie kryzys powinien skłonić ich do eksperymentów! To dzięki temu, że Hollywood nie wyprodukowało w tym roku wielu blockbustów, takie filmy jak „Była sobie dziewczyna”, „The Hurt Locker. W pułapce wojny” czy też nominowany do Oscara „Precious” w ogóle mają szansę się przebić.

Czyli robienie filmu tylko dla pieniędzy jest w pani przypadku wykluczone?

– Mnie zawsze chodziło tylko o to, żebym mogła robić to, co kocham, i żebym mogła z tego żyć. Miałam wielkie szczęście, bo dorastałam w zupełnie innych czasach niż Jenny, bohaterka „Była sobie dziewczyna”. Właśnie skończyła się era hipisów, czuło się atmosferę wyzwolenia. Poza tym nikt nie przejmował się wtedy przyszłością, bo w Danii bezrobocie praktycznie nie istniało. Mogłiśmy dać się ponieść marzeniom.

Kiedy możemy spodziewać się pani w Polsce? W końcu to tu w 1990 roku nakręciła pani swój debiut „Kaj’s fødselsdag”.

– Fantastycznie wspominam wasz kraj. Zmienia się tak dynamicznie. Kiedy odwiedziłam Polskę po latach od debiutu, który powstał w Szczecinie, miałam wrażenie, że wylądowałam w zupełnie innym kraju.

Jest szansa, że wkrótce znów przyjadę, bo chciałabym uczyć na warsztatach Script East organizowanych w Mistrzowskiej Szkole Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy. Ale na razie mam pełne ręce roboty. W moich szufladach wciąż czekają projekty, na które dotąd nie mogłam zdobyć pieniędzy. Liczę, że dzięki nominacji do Oscara wreszcie będę mogła je z nich wyjąć. □

++++ MAŁGORZATA SADOWSKA

Czterej pancerni i piec w nagrodzonym Złotym Lwem w Wenecji „Libanie”

FILM SAMUELA MAOZA NA POZÓR PORUSZA się w znanej już dobrze narracji: oto grupka chłopców idzie na wojnę jak po przygodzie. Potem pada pierwszy strzał, przychodzi pierwszy szok, pojawia się krew. Jak to możliwe, że w pełnym słońcu, na zwykłej drodze, która mogłaby stanowić doskonałą scenerię niedzielnej wycieczki, może wydarzyć się coś tak potwornego?

Ale to tylko pierwszy stopień do piekła: ze sceny na scenę robi się mroczniej, gęściej, straszniej, wojna zaciska się wokół bohaterów jak sznur na szyi skazańca. Po zdziwieniu przychodzi panika, w koleżeńskie przepychanki wkrada się agresja, nakreśla się spirala szaleństwa. A przecież to tylko jeden dzień.

„Liban” jest sprawnie opowiedzianym, trzymającym w napięciu wojennym dramatem. Ale jest coś, co wyróżnia go spośród dziesiątek podobnych filmów – miejsce akcji. Niemal w całości rozgrywa się ona wewnątrz czołgu, a świat zewnętrzny, tak jak czwórka bohaterów, oglądamy jedynie przez wąskie wizjery. I szczerze mówiąc, marna to perspektywa: fragmenty ulic, palmowy zagajnik, ruiny domów, dym. Wszystkie te obrazki i kawałki nie układają się w żaden spójny krajobraz, za to tworzą przejmujący pejzaż emocjonalny z narastającym chaosem, poczuciem zagubienia, bezcelowości całej tej eskapady.

Maozowi, który sam brał udział w pierwszej libańskiej wojnie, która wybuchła w 1982 roku, udało się pokazać, jak mikroskopijna, klaustrofobiczna przestrzeń z bezpiecznej kryjówki zamienia się w pułapkę. Oto czarne, wilgotne i gorące jak piec wnętrza czołgu fenomenalnie sfotografowane przez Giorę Bejacha (nagrodzonego na ostatnim Camerimage), a w nim nieudolno zmęczeni młodzi żołnierze z usmarowanymi, czarnymi twarzami. Wiele scen „Libanu”, łącznie z efektowną finałową, przywołuje na myśl „Kanał” Andrzeja Wajdy i nie dziwiłabym się, gdyby był on dla Maoza inspiracją. Z jedną tylko różnicą: u Wajdy wojna jest pułapką bez wyjścia, u Maoza zaś złym snem, z którego można się obudzić. Ale co z tego, skoro sen powróci wraz z kolejną nocą? □



ROZMOWA

Przebaczyć samemu sobie

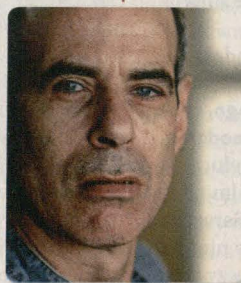
– Wciąż czuję się winny, mówiąc o wojnie
– wyznaje Oli Sahwie Samuel Maoz, reżyser „Libanu”

O pierwszej wojnie libańskiej mówi się, że to izraelski Vietnam. Z jakiego powodu?

– Podczas wojny sześciodniowej czy wojny Jom Kippur zachowane były zasady: choćby takie, że naprzeciw siebie stały armie, ludzie w mundurach. Nie chcę przez to powiedzieć, że tamte konflikty były mniej straszne, ale podczas pierwszej wojny libańskiej nie obowiązywały żadne zasady. Walki toczyły się w sąsiedztwie, wrogowie nosili dzinsy, więc nie można ich było odróżnić od cywili. Ponadto była to pierwsza wojna, która toczyła się poza granicami Izraela. Po festiwalu w Nowym Jorku podeszła do mnie grupka weteranów z Wietnamu, powiedzieli, że ich wojna wyglądała tak samo.

Dlaczego umieścił pan akcję w pierwszym dniu konfliktu?

– Kilka lat temu dotarłem do wyników badań amerykańskich psychologów, którzy analizowali nowoczesne konflikty zbrojne, w tym pierwszą wojnę libańską. Stwierdzili, że żołnierze najlepiej pamiętają właśnie pierwszy dzień, pozostałe zlewają się w jedną całość



– to klasyczny mechanizm obronny. Dowiedziałem się też, że statystycznie najwięcej ofiar ginie pierwszego dnia wojny – jeśli go przeżyjesz, masz 50 procent więcej szans na przetrwanie.

Jak wojna działa na psychikę?

– To bestia, która żywi się ofiarami. I nie ma znaczenia, czy walczysz w imię ideałów, czy tylko wykonujesz rozkazy. Żyjesz w ekstremalnych warunkach, śpisz po 10–20 minut dziennie, jesz, bo musisz, i nie zastanawiasz się, czy ci smakuje. Śmiesz mnie, gdy ludzie mówią o wojnie i moralności, bo te dwa pojęcia się wykluczają. Podam pani przykład: na jednym balkonie budynku chowają się snajperzy, na drugim – rodzina z dziećmi. Jeśli miałbym sprawdzać wszystkie balkony, zginę, zanim zobaczę, kto kryje się na trzecim. Nie można wtedy powiedzieć: „Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć, co bym zrobił, jutro odpowiem”. Masz 20 lat i nawet nie wyrobiłeś sobie poglądu na wszystkie sprawy. Decyzja o pociągnięciu za spust nie jest przeanalizowana, nie zasta-

nawiasz się: „Czy jestem pacyfistą?”, „Czy to w porządku?”.

Co takiego się stało, że właśnie teraz mamy w Izraelu wysyp filmów o tamtej wojnie – by wspomnieć „Liban”, „Walc z Bashirem” Ariego Folmana i „Beaufort” Josepha Cedara.

– Przyczynił się do tego wybuch drugiej wojny libańskiej [w 2006 roku – przyp. red.], gdy do walki stawały nasze dzieci. Zobaczyłem, że nowe pokolenie, generacja YouTube i Google przychodzi i pyta, dlaczego to oni mają walczyć, a nie my, skoro w grę wchodzi ich życie. My nie zadawaliśmy takich pytań, mieliśmy wyprane mózgi przez pokolenie rodziców, którzy uciekli przed nazistami i do dziś uważają, że wszyscy nas chcą zlikwidować. Ojciec mojego przyjaciela przeżył wojnę, bo grał dla hitlerowców na akordeonie, dlatego synowi kazał codziennie uczyć się gry na tym instrumencie. Nasz nauczyciel wciąż powtarzał, że musimy walczyć o kraj. A my byliśmy normalnymi dziećmi, które nie przeżyły ich traumy. Na początku lat 80. mieliśmy w głowie Tel Awiw, plażę i dziewczyny.

Otoczenie wywierało na nas presję, abyście stanęli do walki?

– Gdy ktoś nie mógł walczyć z powodów zdrowotnych, chyłkiem przemykał po ulicach, bo nie chciał, by sąsiedzi widzieli go bez broni. Powrót do domu z wszystkimi kończynami, bez widocznych blizn i wyznaczenie, że miałeś problemy, były czymś niewybaczalnym. Do tego stopnia, że wciąż czuję się winny, mówiąc na ten temat.

Czy nakręcenie filmu na podstawie własnych przeżyć przyniosło panu ulgę?

– Oczywiście chciałem wyrzucić to z siebie, pokazać koszmar wojny i tak dalej. Przede wszystkim jednak potrzebowalem wybaczyć sobie samemu i zrozumieć, co się stało. W filmie to zdarzenie pojawia się w sekwencji dziejącej się na plantacji bananów, gdzie żołnierz po raz pierwszy pociąga za spust – znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Ale świadomość, że nie ma się wyboru, nie oznacza braku poczucia winy. Dla mnie to było za mało.

Oglądałam pana film ze znajomym, dla którego „Liban” jest nie o wojnie, ale o stawianiu się mężczyzną i wchodzeniu w świat. Co pan na to?

– Gdy w historii jest prawda, to każda interpretacja ma rację bytu. Ta jest piękna, zapiszę ją sobie. Gdy film powstawał, tylko ja i montażysta w niego wierzyliśmy. Przyjaciele mówili, że może dwa tysiące widzów obejrzy „Liban” i powinniśmy go zmienić, bo brakuje w nim tych wszystkich bzdurnych elementów rodem z podręczników do pisania scenariuszy. To zabawne, bo w Wenecji na jednym tylko pokazie na widowni było dwa tysiące osób. □

„Liban”,
reż. Samuel Maoz,
Izrael 2009,
AP Mañana, 94,
premiera 5 marca

+++++

Śmierć i dziewczyna

„Traviatę” Verdi zrealizował swój sen o operze współczesnej. Ponad 150 lat później Trelieński wprowadził do niej celebrytów

O TYM SPEKTAKLU JUŻ OD DAWNA DONOSIŁY PLOTKARSKIE portale – ze względu na udział bohaterów „Tańca z gwiazdami” (Rafał Maserak, Edyta Herbuś) i znanych projektantów, którzy stworzyli kostiumy do „Traviaty” (Gosia Baczyńska, Tomasz Ossoliński). Owszem, nowa inscenizacja Opery Narodowej zabiera widzów w świat celebrytów, ale Trelieński skoncentrował się na tym, co ukryte przed światłami jupiterów. Bohaterka Verdiego, kurtyzana Violetta Valéry, stylizowana na striptizerkę i aktorkę burleskową Ditę von Teese, wkracza na operową scenę wprost z białej trumny. Znacząca część spektaklu rozgrywa się w wykreowanym przez scenografa Borisa Kudlička nocnym klubie – z błyszczącą dyskotekową kulą, skąpo ubranymi hostessami i bohaterami jakby wyciętymi z kolorowych magazynów, choćby Baronem przypominającym projektanta mody Karla Lagerfelda. Scena podzielona na pomieszczenia (każde nasyczone innym kolorem) przesuwa się jak kadry w filmie, a bohaterowie poruszają się między nimi, przechodząc przez kolejne drzwi. Ale najważniejsza część dramatu – skupiona na śmiertelnej chorobie Violetty i związanej z nią przemianie – rozgrywa się na zapleczu kabaretu, z dala od blasku światła. I mimo paru ekscesów (gra w golfa nad basenem w drugim, a tancerki topless w ostatnim akcie) efektowna jak zawsze u Trelieńskiego inscenizacja nie przyćmiewa muzyki. Debiutująca w roli Violetty nasza eksportowa śpiewaczka Aleksandra Kurzak z arcytrudnej partii, w której niedoścignionym wzorem pozostaje Maria Callas, wydobywa wszelkie wokalno-emocjonalne zawilości. Wspaniale w jej wykonaniu brzmi aria „E strano” w pierwszym akcie, w kolejnym pełen napięcia duet z Andrzejem Dobberem (Giorgio Germont), wreszcie mocny finał, w którym Violetta żegna się z życiem. Tymczasem obecność telewizyjnych celebrytów pozostaje niemal niezauważona. Stanowią część baletu i wbrew obawom nie grają tym razem pierwszych skrzypiec.

– Ada Ginal

G. Verdi „Traviata”, Teatr Wielki-Opera Narodowa,
reż.: Mariusz Trelieński, scenografia: Boris Kudlička,
dyrygent: Miguel Gomez-Martinez, premiera 25 lutego



UTALENTOWANY PAN RIPLEY

wtorek 9 marca 20:25 TVP1

Lazur włoskiej riwieri, tętniące życiem neapolitańskie uliczki, kluby pełne pięknych kobiet i jazzowych rytmów – do takiego świata przenosi nas tym razem reżyser „Angielskiego pacjenta” Anthony Minghella. Do tego świata przybywa też w 1958 roku główny bohater filmu dwudziestoparoletni Amerykanin Tom Ripley (Matt Damon). Na polecenie miliardera ma za zadanie ściągnąć do Stanów Zjednoczonych jego przedłużającego sobie włoskie wakacje syna (Jude Law), ale szybko Włochy wciągają także Toma, zaś intrygujący obyczaj zmienia się w wartki kryminał. Za własne „dolce vita” Ripley będzie musiał bowiem zapłacić cieższym życiem. Do pracy nad „Utalentowanym panem Ripley'em” Minghella zaangażował niemal całą obsypną Oscarami ekipę „Angielskiego pacjenta”: projektantkę kostiumów Ann Roth, kompozytora Gabriela Yareda, operatora Johna Seale'a, dzięki czemu jego film zamienił się w mistrzowskie filmowe widowisko.

Wiesz co dobre

Program **Wiesz co dobre** to system rekomendacji Škody.

W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...

REKLAMA



BENEDYKTYN OPUSZCZA CELE

O DZIECIŃSTWIE SPĘDZONYM NA GRUZACH, FILMOWYM POŻEGNANIU Z RODZINNYM DOMEM, A TAKŻE O TYM, JAKIMI SZCZĘŚCIARZAMI SĄ CI, KTÓRZY POSIEDLI DAR TWORZENIA WE ŚNIE, OPOWIADA TWÓRCA SŁYNNYCH ANIMACJI **PIOTR DUMAŁA**. JEGO ZNAKOMITY DEBIUT FABULARNY „LAS” JEST JUŻ W KINACH

Czyżby słynący z powolnego stylu pracy Piotr Dumala poszedł z duchem epoki i włączył się do gonitwy? W niemal każdym wywiadzie, jakiego ostatnio pan udzielił, mowa jest o przyspieszeniu, zawrotnym tempie, wyścigu. Czy dlatego po latach w mozolnej animacji zrobił pan dużo szybszą w realizacji fabułę?

– Ależ praca nad „Lasem” trwała pięć lat! Dłużej niż nad którymkolwiek moim filmem animowanym. Nawet legendarna „Zbrodnia i kara”, po której zyskałem przydomek benedyktyna, bo siedziałem w swojej pracowni od świtu do nocy przez bite trzy lata, powstawała krócej. Fabułę kręci się może szybciej, ale trzeba zebrać na nią pieniądze, przez co cały proces się wydłuża.

Zresztą nawet jeśli sam okres realizacji był bardziej dynamiczny, bo na planie spędziliśmy w sumie niecałe dwa tygodnie, to moje zamiłowanie do obserwowania czasu i tak jest obecne w tym filmie. Widać to w leniwym tempie akcji lejącej się niczym gęsty miód. Nie pogałem więc z duchem epoki.

Ale kolejną animację, „Doktora Charaktera”, robi pan komputerowo, czyli na skróty.

– Tylko niektóre efekty będą komputerowe, reszta jest tradycyjnie animowana na kartkach – setki, setki rysunków. Wrażenie

przyspieszenia, które pani odniosła, czytając wywiady ze mną, to może efekt gorączki przed premierą „Lasu”. W dodatku spręgło się to ze startem pewnych projektów, z którymi do tej pory niewiele się działo, z upływem terminów zgłaszania wniosków produkcyjnych do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, moją profesurą i paroma innymi rzeczami.

„Las” to pierwszy pański film, który doczekał się regularnej dystrybucji.

Stresuje pana wizja zderzenia się z tak zwaną zwykłą publicznością?

– Coś w rodzaju regularnej dystrybucji miała „Zbrodnia i kara”, ale to fakt – „Las” jako pierwszy mój film wszedł do kin na równych prawach z innymi. I przyznam pani szczerze, że to był jeden z powodów, dla których tym razem nakręciłem fabułę. Chciałem, by trafiła na duży ekran, żeby zmierzyć się z publicznością. Z moimi animacjami było tak, że to widownia ich szukała, a nie one widzowi.

Sztuka dla wtajemniczonych.

– Tak, choć paradoksalnie animacje takie jak „Kafka”, „Czarny Kapturek”, „Łagodna” czy „Zbrodnia i kara” to dużo bardziej komercyjne filmy niż „Las”. Animacja ma atrakcyjną stronę wizualną, która w tych 10, 15, a nawet 30 minutach jest dla widzów ciekawa. „Niesamowite, zabójcze” – takie komentarze na temat moich animacji znalazłem w sieci. A z „Lasu”, który

pokazywałem już na festiwalach, zdarzało się, że ludzie po prostu wychodzili.

Śledzi pan to, co się pisze o pana filmach w sieci?

– Nie śledzę. Niechcący się natknąłem, chyba po pokazie „Lasu” na festiwalu we Wrocławiu. Odkryłem przy okazji światek tych wszystkich brudów internetowych, anonimowych wpisów frustratów, których ukochanym zajęciem jest dokopać innym zjadliwymi komentarzami.

Wcześniej nigdy pan się z tym nie zetknął?

– Nie, bo nie spędzam dużo czasu w Internecie. To zjawisko mnie zmroziło. Gdy przeglądałem fora, towarzyszyło mi uczucie podobne do tego sprzed lat, gdy Stanisław Tymiński wygrał w wyborach prezydenckich z Tadeuszem Mazowieckim. Pamiętam, że dowiedziałem się o tym na Dworcu Centralnym, czekając na pociąg do Katowic. Była piąta rano, otaczał mnie szary tłum, jak to na Centralnym. Powoli rozejrzałem się, myśląc, ilu z tych ludzi głosowało na Tymińskiego – z kim ja właściwie żyję, z kim jadę autobusem, za kim stoję w kolejce w sklepie.

W „Lesie” pokazuje pan – jak chyba nikt wcześniej w polskim kinie – czysto fizjologiczną stronę opieki nad umierającym rodzicem: podmywanie, wysadzanie. Zastanawiam się, czy na pojawienie się tych scen w filmie



→ miało wpływ przyjście na świat pana pierwszego dziecka? Bo w końcu tej fizycznej, w pewnym sensie wymuszonej bliskości doświadczamy chyba tylko dwa razy w życiu – przy narodzinach dziecka i opiece nad starzejącymi się rodzicami.

– Scenariusz napisałem przed narodzinami mojej córki, więc te wydarzenia nie wpłynęły na siebie. Pojawienie się dziecka w moim życiu jest dla mnie bardzo ważne, ale nie sądzę, żeby przekładało się na twórczość. Owszem, są ojcowie, dla których narodziny dziecka stają się uderzającą i bezpośrednią inspiracją. W moim wypadku przełożyły się głównie na energię, stosunek do świata, przyspieszenie, inną dyspozycję czasem. Ale ponieważ mam już określony dorobek artystyczny, nie grozi mi sytuacja potrzasku: chcę robić karierę, a tu mi się dziecko pod nogami płącze. Chociaż kocham swoją pracę maksymalnie, to najważniejsza jest dla mnie rodzina. Zresztą trudno porównać te miłości. Różnica polega chyba na tym, że świat rodzinny, prywatny, to świat, który dzielę, w którym jest miejsce na kompromisy, a w pracy jestem sam.

Nawet w pracy nad fabułą? Na planie, gdzie otaczają pana tłum ludzi, ekipa, aktorzy?

– Tak, bo przecież w bardzo dużym stopniu realizuję własne ambicje i marzenia. I ponoszę za to odpowiedzialność. Realizuję siebie. Praca nad fabułą jest zespołowa głównie od strony technicznej, bo psychicznie wciąż mam poczucie bycia sam na sam z moją ideą. Bez względu na to, ile osób mi w tym pomaga. Niemniej podczas zdjęć do „Lasu” odczuwałem chwilami ekstatyczną wręcz radość płynącą z bliskości z grupą i współtworzenia, o jakie trudno przy artystycznym filmie animowanym.

W życiu rodzinnym, w opiece nad dzieckiem w grę wchodzi kompromis, tam nie muszę wygrywać. Natomiast w pracy, żeby osiągnąć wymarzony efekt, wciąż muszę stawiać na swoim. No, chyba że bym stworzył coś w rodzaju twórczej komuny, ale to zupełnie mnie nie interesuje.

Przed pójściem na ASP chciał pan zostać pisarzem, a to chyba najbardziej samotne z twórczych zajęć. Udało się więc panu pozostać wiernym idei pisania, tyle że przeniósł ją pan do filmu?

– Przynajmniej na razie, zobaczymy, jak będzie w przyszłości. Bo „Las” był filmem bardzo specyficznym, małym i tanim, więc mogłem mieć nad nim całkowitą kontrolę. Kręcenie w lesie nie kosztowało nas nic, pozostałe sceny powstały w mieszkaniu moich rodziców...

Pański film skojarzył mi się z modnymi dziś ustawieniami rodzinnymi, terapią

wymyśloną przez Berta Hellingera. Jej uczestnicy wybierają spośród grona obserwatorów ludzi mających reprezentować ich najbliższych. Efektem swoistej psychodramy ma być zrozumienie źródeł rodzinnych konfliktów i problemów. Czy „ustawienie” Mariusza Bonaszewskiego i Stanisława Brudnego w rolach syna i ojca pomogło panu uporać się z demonami z przeszłości? Szczególnie że filmował pan w mieszkaniu, w którym umarli pańscy rodzice.

– Kiedy kręciłem te sceny, nie znałem metody Hellingera. Słyszałem o niej, ale nie wiedziałem, na czym dokładnie polega. Dopiero po zdjęciach pożyczyłem od znajomego płytę DVD z sesją hellingerowską i uświadomiłem sobie, że mój film rzeczywiście jest rodzajem takiego ustawienia. Ale jednak niezupełnie. Film, jak mi się wydaje, zakończył pewien etap związany nie tyle z rodzicami, ile z miejscem, z domem, w którym się wychowałem.

Z mieszkaniem na Wolskiej wiązał się kawał mojego życia, a kręcąc „Las”, mia-

łem wrażenie, że ono mi po raz ostatni coś ofiarowuje. Kiedy skończyliśmy zdjęcia i wszystko zostało stamtąd wyniesione, zostałem w pustych pokojach z gołymi podłogami. To była pustka, jakiej nigdy wcześniej nie znałem, bo przecież to mieszkanie, od kiedy je pamiętałem, zawsze było umeblowane, pełne przedmiotów, które rodzice gromadzili przez lata. Ten świat wydawał się nieskończony niczym nieprzebyte las i oto dotknąłem jego nagiego dna, jak w chwili gdy wszedł tutaj po raz pierwszy mój ojciec i wszystko się zaczynało.

W buddyzmie mówi się o ujrzeniu twarzy swoich rodziców sprzed własnych rodzin. Stojąc wtedy w tym mieszkaniu, ujrzałem je. Mieszkanie stało się wehikułem czasu.

Sprzedał pan to rodzinne mieszkanie?

– Nie, ono było kwaterunkowe. Szczęśliwym zrzędzeniem losu, zanim upłynął termin oddania kluczy, zdążyłem je uwiecznić. Zabrałem je ze sobą na zawsze na tamtym filmowej.

W polskim kinie śmierć to wciąż temat tabu. Próbowala je przełamać



W „Lesie” Dumala rzucił z ramion ciężar bolesnych wspomnień. Na zdjęciu: Stanisław Brudny i Mariusz Bonaszewski

Piotr Dumala, 53 lata, jeden z najbardziej cenionych na świecie polskich twórców filmu animowanego, kontynuator osiągnięć między innymi Waleriana Borowczyka czy Daniela Szczechury. Jego filmy „Lykantropia”, „Wolność nogi”, „Łagodna”, „Zbrodnia i kara” to poetyckie impresje, w których Dumala sięga po tematy psychologiczne, filozoficzne i społeczne.

Międzynarodową sławę zyskał przede wszystkim dzięki rewolucyjnym rozwiązaniom wizualnym. To on jako pierwszy zastosował technikę animowania na płytach gipsowych, którą wymyślił dzięki doświadczeniom wyniesionym ze studiów na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Prowadził wykłady na University College of Arts,

Crafts and Design w Sztokholmie i na Harvardzie. Za swoje filmy otrzymał nagrody między innymi na festiwalach w Ottawie, Oberhausen i Mannheim. Z twórczością Dumala z pewnością zetknęli się także widzowie mniej zainteresowani animacją, bo to on jest autorem teledysku do piosenki zespołu Maanam „Wiele piasek od strony wojny” (1995).

„33 scenami z życia” Małgorzata Szumowska. Oglądał pan jej film?

– Tak, to świetna robota, choć nie zgadzałem się z tym, że ci ludzie tak bronili się przed pozytywnym i pogłębiającym świadomością doświadczeniem, jakie może przynieść śmierć bliskich.

Pan zmądrzał po śmierci rodziców?

– Tak, przeżyłem najgłębszą w życiu lekcję zrozumienia spraw podstawowych i otwarcie na uczucia wobec rodziców, przed którymi wcześniej się broniłem.

I dlatego zdecydował się pan niedługo po ich śmierci na stały związek, dziecko, założenie rodziny?

– Nie, to jest myślenie bardzo na skróty. To może tak z zewnątrz wyglądać, ale nie chciałbym łączyć tych faktów.

Wielu artystów, zwłaszcza specjalizujących się w pana dziedzinie, czyli animacji, próbował w życiu i pracy za granicą, już tam zostało. Przez trzy semestry był pan profesorem Harvardu, ale wrócił do Polski.

Dlaczego?

– To był piękny czas. Nie obchodziły mnie drobiazgi, codzienne polskie kłopoty, miałem świetnych studentów, a czas wolny spędzałem, rysując i malując w cudownej pracowni.

W Polsce jakoś trudniej jest mi się rozprostować, ale z drugiej strony wiem, że wszystko zawdzięczam temu krajowi i czasem, któreśmy kopniakiem wygnali. Nie zostałem za granicą chyba dlatego, że nie znalazłem na świecie innego, tak zwanego swojego miejsca.

Poza tym jestem bardzo mocno związany z Warszawą: mój ojciec był stąd, dziadek przyjechał do stolicy pod koniec XIX wieku. Rodzina matki była jeszcze dawniej z Warszawy niż ojciec. Czuję się warszawiakiem, choć nie umiałbym raczej oprowadzić po tym mieście gościa z zagranicy. Moja Warszawa to miasto prywatne, związane z domem mojego dzieciństwa, z Wolą. Ta dzielnica ma w sobie szczególny magnetyzm. Pod ziemią są niezliczone warstwy jakiegoś chaosu, bo wciąż coś się tu burzyło i od nowa budowało.

Pamiętam czasy, gdy byłem mikrusem i bawiłem się na gruzach Woli, gdzie można było wlecieć do zawalonej piwnicy czy wykopać granat. Biegaliśmy z kolegami po wypalonych szkieletach kamienic bez stropów, ze szczątkami schodów. Teraz na takich domach wiszą tabliczki „Nie wchodzić! Grozi zawaleniem”. A wtedy żyli tam ludzie. Gdzieś sterczały rury, leżały rozbity sedes, poszarpany siennik, wszędzie pełno było butelek, unosił się specyficzny zapach.

Oczywiście w gruncie rzeczy było to straszne. Pamiętam, jak się bałem okropnie, że mnie jakiś pijak pobije. Wyszedłem kiedyś zza rogu i dostałem przypad-

Śmierć, odpowiedzialność za bliskich, trudne relacje z rodzicami – „Las” zdecydowanie jest filmem dla dorosłych



Wiedziałem, że kładę głowę pod topór, że ludzie będą łączyć „Las” z moim życiem. Ale to nie jest film o mnie i moim ojcu

PIOTR DUMAŁA

kiem fajerką w głowę. Rzucił ją mój kolega. Ścięła mi włosy na czole, wciąż mam w tym miejscu wgniecioną czaszkę. Ale i tak we wspomnieniach dzieciństwo zawsze oblane jest ciepłym, łagodnym światłem zachodzącego słońca.

Nostalgia.

– No właśnie.

Czy to samo stało się w „Lesie” z obrazem pańskiego ojca? Też go pan upiększył? Wspominał pan wcześniej w wywiadach, że pańska relacja z ojcem była trudna.

– Wiedziałem, że tym filmem kładę głowę pod topór, że ludzie będą łączyć film z moim życiem. Pytać, czy tak właśnie było. Kręcąc „Las”, inspirowałem się moim życiem, ale film nie jest o mnie i moim ojcu. Chciałem ukazać doświadczenie bliskości, jaka rodzi się między opiekunem a umierającym. Z drugiej strony to film o filmie. Ćwiczenie formy. Eksperymentowanie z językiem kina, obrazem. Film interesuje mnie jako fenomen antropologiczny. Lubię czytać rozważania na temat istoty języka kina.

Przy okazji „Lasu”, o dziwo, nie wypłynął towarzyszący zwyczajowo pańskim filmom motyw inspiracji snami. Ale przeczytałam gdzieś, że tytuł kolejnej fabuły – „Elderly” – znów się panu przyśnił.

– Tak, przed wielu laty... Okazało się później, że to słowo było dziwacznie stworzone przez mózg odgłosem piania koguta.

Czy opowiadając ochoczo o tym, jak to przyśnił się panu cały film, jakiś bohater, opowiadanie, nie miał pan nigdy obawy, że dla innych artystów to irytujące? To całkiem fajny układ: zarabianie na snach.

– Ale to szczerza prawda! Byłem szczęśliwym, któremu śniło się wszystko i nie musiał wiele myśleć. Mnie się śniły całe opowiadania, które później potrafiłem słowo w słowo spisać. Utraciłem tę umiejętność. Może wyjaśnieniem tej sennie zagadki było znane z psychologii pojęcie *lucid dreaming* [świadomego snienia – przyp. red.]. U mnie proces twórczy często przenosił się po prostu w sen. Już śpiąc, wymyślałem ciąg dalszy jakiejś historii. Nadal mam bardzo intensywne sny, ale w większości je zapominam. Kiedyś były bardzo fabularne, teraz działają raczej na zasadzie impulsów.

Zresztą jeśli wpada mi do głowy jakikolwiek pomysł na jawie, też dzieje się to jak gdyby samo, niczym we śnie.

Tak więc krótkie chwile olśnienia wciąż mi towarzyszą, ale nie jestem już zwolniony od myślenia i podejmuję dużo twórczych decyzji, o jakich wtedy mi się nie śniło. □

OTWÓRZ oczy

Takie obrazki
tworzył Tim Burton
po godzinach
w czasie swojej
pracy dla Disneya.
„Untitled (Romeo
i Julia)” rysowany
kredkami, tuszem
i markerem,
początek lat 80.



TIM BURTON BARTEK CHACIŃSKI

KRWAWA ZEMSTA NA DISNEYU

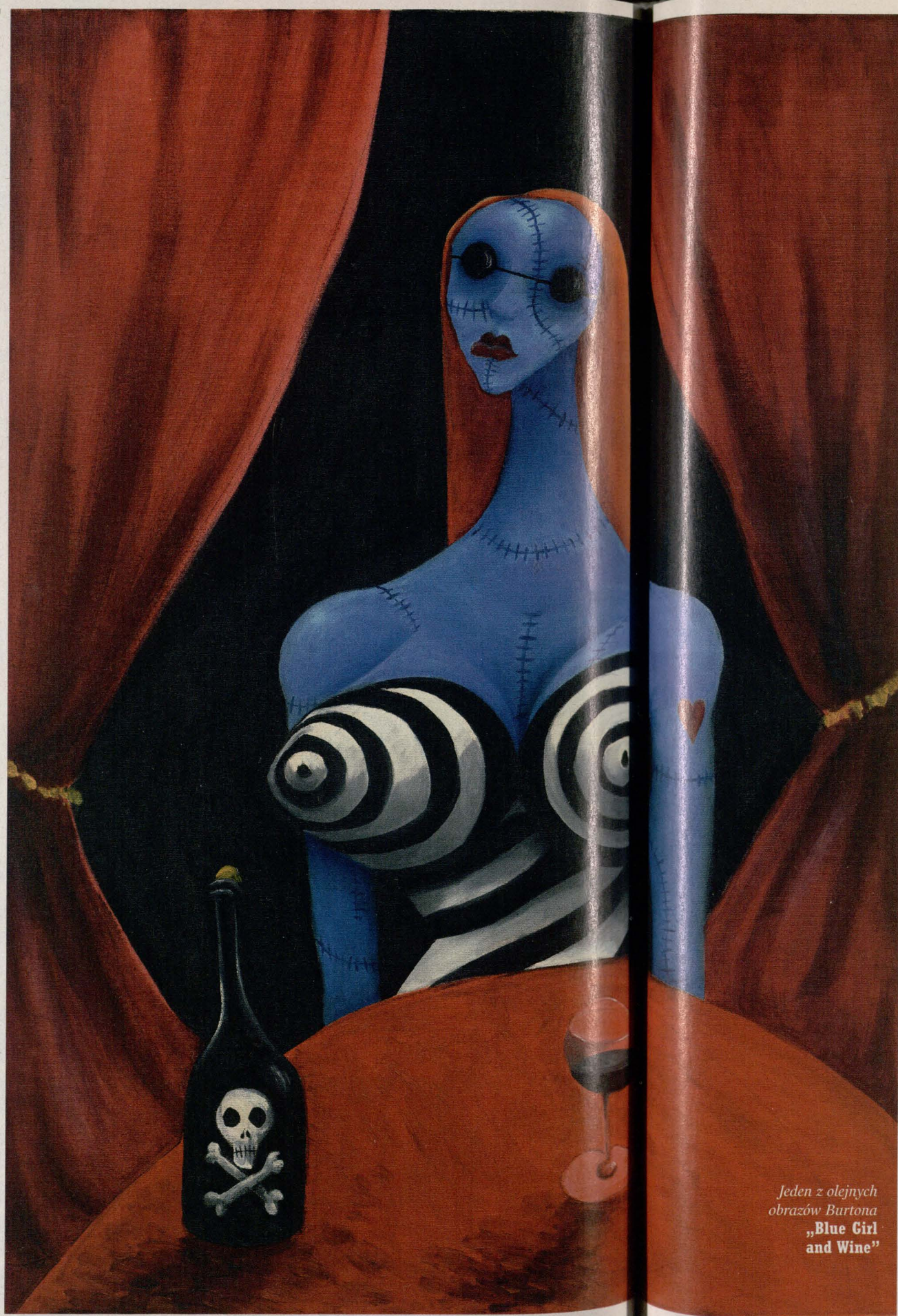
WYDAWAŁO WAM SIĘ, ŻE **TIM BURTON** TO TYLKO REŻYSER? TO RÓWNIEŻ RYSOWNIK, RZEŹBIARZ I ARTYSTA WIZUALNY, KTÓRY POSŁUGUJE SIĘ AKTORAMI JAK ZESTAWEM MARIONETEK

Różne kłopoty mają aktorzy z reżyserami. W wypadku Tima Burtona stałym problemem jest charakteryzacja. To dlatego na planie „Planety małp” makijażyści przestrzegali aktorów: „Uważajcie, gdy zapalacie papierosa. Możecie stracić twarz”. Tu cała skomplikowana stylizacja nie dość, że była łatwopalna, to jeszcze stwarzała szalone problemy w porze lunchu. Aktorzy narzekali, że nie wiedzą, gdzie mają usta. A Mark Wahlberg, odtwórca głównej roli, w pewnym momencie stanął w płomieniach i musiał się ratować skokiem do jeziora.

Burton rysuje swoje światy za pomocą wszelkich dostępnych mu środków. Myśli obrazami – nosi ze sobą szkicownik, farby i tworzy malowane notatki. A potem, niezależnie od tego, czy oglądamy jego animację (jak „Gnijąca panna młoda”), czy aktorską fabułę (jak „Charlie i fabryka czekolady”), wszystkie elementy świata pasują do siebie, jakby były częścią jednego, wielkiego szkicu. Bo w istocie rodzą się na papierze, już na etapie graficznej koncepcji, którą później autor tylko realizuje, rysując i rzeźbiąc aktorami. Cały pomysł na przełomowy w karierze Burtona film „Edward Nożycoręki” wziął się przecież od jednego rysunku.

Publiczność też odbiera te filmy w pierwszej kolejności na planie wizualnym. W zeszłym roku, kiedy do kin trafił dopiero trailer „Alicji w krainie czarów”, najnowszego filmu Burtona, pojawiły się szczegółowe poradniki mówiące o tym, jak wykonać przebranie Kapelusznika, a jak przygotować make-up Czerwonej Królowej – dwóch najbardziej charakterystycznych postaci filmu granych przez ulubionych aktorów Burtona: Johnnynę Deppa i Helenę Bonham Carter, prywatnie żonę reżysera.

Trwająca właśnie wystawa, którą poświęciła Burtonowi nowojorska MoMA (Museum of Modern Art) – jedna z najważniejszych instytucji w świecie sztuki współczesnej – przedstawia kilkaset graficznych prac, które powstawały oddzielnie lub podczas pracy nad filmami: „Te małe kartki, szkice, są dla mnie często



Jeden z olejnych obrazów Burtona „Blue Girl and Wine”



Po lewej oryginalny rysunek z postacią Edwarda Nożycorękiego. Po prawej kadr z filmu (1990) z Johnnym Deppem i Winoną Ryder



najważniejszą częścią całego projektu” – komentował Burton.

– Po sukcesie naszej wystawy poświęconej Pixarowi chcieliśmy znaleźć temat, który da podobną możliwość podejrzenia pocesu tworzenia sztuki filmowej – mówi „Przekroju” kurator wystawy Ron Magliozzi. – Burton był nie tylko logiczną, ale wręcz idealną kontynuacją. Założenie było proste: prześledzić, jak kształtowała się jego dzisiejsza wyobraźnia twórcza od dzieciństwa.

(Horror z przedmieścia)

Burbank nie jest mniej nudne od innych amerykańskich przedmieść, mimo że blisko stąd do Hollywood. Żaden budynek się tu nie wyróżnia – poza dwoma większymi położonymi na przeciwnych krańcach miasteczka. Jeden to charakterystyczne hale studiów Warner Bros., drugi jest wielką galerią handlową z kinowym multiplexem. W jednym wytwarzają produkty kultury masowej, w drugim je sprzedają. Burtonowi udało się na miejscu znaleźć przysze miejsce pracy i przyszłą publiczność.

Jednostajny krajobraz wolno stojących domków burzy jeszcze cmentarz, blisko którego urodzony w 1958 roku Burton przez całe dzieciństwo mieszkał. To z kolei jego podstawowe źródło inspiracji – uwielbiał tam się bawić. Nie wiadomo, czy była to przyczyna, czy może skutek zamknięcia w sobie i poczucia izolacji, które (jak twierdzi) czuł, kiedy był dzieckiem. Wiadomo jednak, że w dorosłym życiu mu nie przeszło.

– Zawsze przerażało mnie słowo „normalny”. Oznacza dla mnie coś strasznego, odwrótnie niż

dla innych – mówił przy okazji otwarcia wystawy w MoMA. Wychowywał się na filmach o potworach, w których to ludzie często byli najstraszniejszym elementem. Pasjonowały go niemiecki ekspresjonizm, wampiry, powieści gotyckie, Edgar Allan Poe i Vincent Price, słynny aktor z horrorów.

Żeby poznać ten krąg zainteresowań, wystarczy zobaczyć krótką animację „Vincent”, jeden z pierwszych filmów, które Burton nakręcił. O Vincencie Malloyu, grzecznym chłopcu z dobrej rodziny, który w duchu chce być jak Vincent Price, a zatem:

Robi doświadczenia na psie Abercrombiem Tak, aby czworonóg stał się strasznym zombi I by potem razem ze swoim strasznym psem Polować na ofiary gdzieś w londyńskiej mgle

– jak opowiada sam Burton w towarzyszącym filmowi wierszyku. A czyta sam Price, którego udało mu się poznać i namówić do współpracy.

Dziś miejsce dorastania Tima Burtona to oś wystawy w Museum of Modern Art podzielonej na to, co było, gdy mieszkał w Burbank, i to, co się stało potem. Ron Magliozzi widzi w nim jednocześnie filmowca i twórcę sztuki, który jest reprezentantem postmodernistycznego pokolenia garściami czerpiącego z popkultury. Porównuje go nawet z Warholem. – Kto z filmowców zebrał taki dorobek artystyczny? – zastanawia się kurator. – Owszem, reżyserzy w rodzaju Felliniego, Kurosawy czy Pasoliniego także tworzyli obrazy i rysunki. Z drugiej strony artyści wizualni, Dali, Duchamp czy wreszcie Warhol, mieli na koncie filmy. Ale Burton jest wyjątkowy w historii kina, gdy →



Jeszcze jeden z **nieznanych rysunków** Tima Burтона z lat 80. wyjętych z archiwum w jego studiu w Londynie

→ weźmiemy pod uwagę liczbę i jakość jego nie-filmowych prac oraz popularność jako reżysera, zarówno w kinie aktorskim, jak i w animacji.

Reżyser na propozycję wystawy zareagował z nieśmiałością: „Pierwszym, jakie widziałem, było prawdopodobnie muzeum figur woskowych w Hollywood”. Pamiętamy jednak, że z jego wejściem w świat kina było podobnie. „»Obywatel Kane«? Z jakiegoś powodu w moją pamięć mocniej wryły się sceny z filmu »The Brain That Wouldn't Die«” – wyznał kiedyś. A swoją słabość do produkcji klasy B udowodnił, kręcąc film „Ed Wood” poświęcony reżyserowi kiczowatego, „złego” kina.

(Katusze w koncercie)

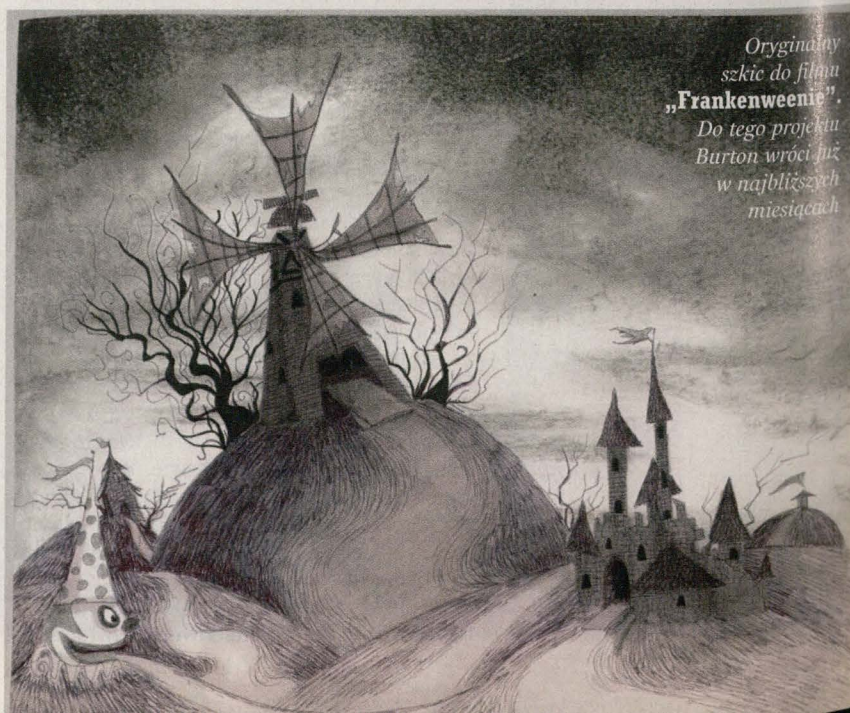
Jego wrażliwość kształtowała się w Burbank, ale zahartowała w koncercie Disneya. Burton studiował w prestiżowym California Institute of the

FOT. EVERETT/EAST NEWS, JASON MANDELLA/MOMA, MOMA

Arts (CalArts) założonym przez Włata Disneya na początku lat 60., szkole, z której rekrutowano nowych animatorów wytwórni, by – tak jak Burтона – posadzić ich przy taśmie produkcyjnej któregoś z dziecięcych tasiemców. Burton był więc sfrustrowanym artystą. Zresztą gdy miał 10 lat, zrozumiał już, że biorąc pod uwagę standardy obowiązujące w dziecięcej twórczości, nie powinien rysować, ale – jak mówi – „sprawiało mu to zbyt wielką przyjemność, by przestać”. Na studiach przeżywał katusze, bo nie umiał rysować z rzeczywistości. A u Disneya przeżywał męki, odreagowywał je po godzinach, oglądając horrory. To dlatego na wystawie w Nowym Jorku pokazują kilkadziesiąt rysunków i komiksów, które powstały w tym okresie.

Szkie z CalArts dowodzą, że o ile w realistycznej kresce Burton nie wyszedł poza mniej lub bardziej dopracowaną formę szkolną, o tyle przy wytworach własnej wyobraźni – zielonym gnomie albo rybce w kapeluszu – ewidentnie dostawał skrzydeł. A już perfekcyjnie wychodziły mu trupy czaszki, blade zjawy i psy zombi. Takie jak ten z filmu „Frankenweenie”, gdzie czworonóg niejakiego Victora Frankensteina, który ginie pod kołami samochodu, zostaje potem ożywiony przez swojego pana. Ten ostatni

NIE ROZUMIEM, DLACZEGO DOROŚLI **OBURZAJĄ SIĘ NA OBRAZY, KTÓRE W ICH DZIECIŃSTWIE BYŁY CZYMŚ NATURALNYM** – DZIWI SIĘ BURTON



Oryginalny szkic do filmu „Frankenweenie”. Do tego projektu Burton wróci już w najbliższych miesiącach

Praca bez tytułu z roku 1982. Charakterystyczna dla Burтона technika łączy tusz, marker i akwarelę



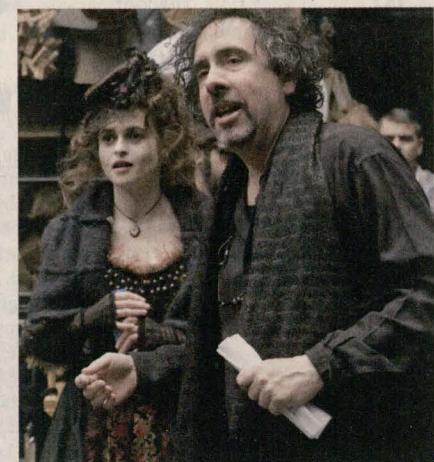
„Trzy stwory”, jedna z najnowszych prac Burтона, pokazując, że jej autor **wychodzi często poza papier i płótno**

film – nakręcony jako jedna z wczesnych autorskich prac Burтона – trafił w wytwórni Disneya na półkę jako „trwonienie funduszy firmy”. Ale za to przekonał szefów konkurencyjnej wytwórni Warner Bros. (tej z Burbank), by zainteresowali się chorą wyobraźnią jego twórcy i natychmiast podpisali z nim kontrakt.

Tu zaczęła się wielka kariera filmowa Tima Burтона, którą dobrze znacie: „Sok

z żuka”, „Batman” i tak dalej. Lepiej się to ogląda na DVD, niż czyta, więc przewińmy tę historię do przełomu lutego i marca 2010 roku, gdy „Alicja w krainie czarów” triumfalnie wchodzi do kin na całym świecie.

Burton ma tu bowiem osobiste powody do triumfu. Producentem „Alicji...” jest w końcu koncern Disneya, który kiedyś nie poznał się na jego stylu. Co więcej, to tylko połowa umowy z Disneyem. Drugim filmem obiecany do realizacji Burtonowi jest „Frankenweenie” – pełnometrażowa wersja odrzuconego niegdyś projektu. Wszystko wskazuje na to, że zmienił się koncern Disneya, bo Tim Burton nie zmienił się nic a nic.



Tim Burton wraz z żoną Heleną Bonham Carter na planie filmu „Sweeney Todd: Demoniczny golibroda z Fleet Street”

Wejście na nowojorską wystawę w MoMA też zaprojektowano na bazie szkiców Tima Burтона

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

KRZYŻÓWKA O TYM, CO W KŁATCE,
CHOĆ BYWA, ŻE I NA DŁONI,
SZARY DZIELI SIĘ MIŁOŚCIĄ,
A KURKIEWICZ ZASYPUJE...
PYTANIAM

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

PL – w tej brzydocie jest piękno (a może na odwrót?)

PIĘKNA NASZA POLSKA CAŁA – zanucił Szary, gdy wraz z małżonką jechali do rodziny na prowincję, a za oknami ich samochodu przepływały krajobrazy jak z folderu dla turystów z chicagowskiego Jackowa. – Może i piękna – powiedziała Szara – ale czy aby na pewno cała?

I Szary musiał jeszcze raz spojrzeć na ojczyznę okiem uzbrojonym w krytykę. Gdyby tylko zółcią zapalał rzepak, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, ale na razie... Góry

czarnego śniegu wyglądały niczym hałdy – jakby cały kraj starał się wydobyć jak największą ilość węgla, póki naszego CO₂ nie obejmą proekologiczne dyrektywy Unii. Każdą ulicę cechowała wyjątkowa wielość dziur – jakbyśmy je robili specjalnie, by za unijne pieniądze dokonać niezbędnych napraw, póki komisarzem do spraw finansów pozostaje Janusz Lewandowski. Lecz z drugiej strony, czy to nasza wina, że żyjemy w takiej strefie klimatycznej? – pomyślał Szary

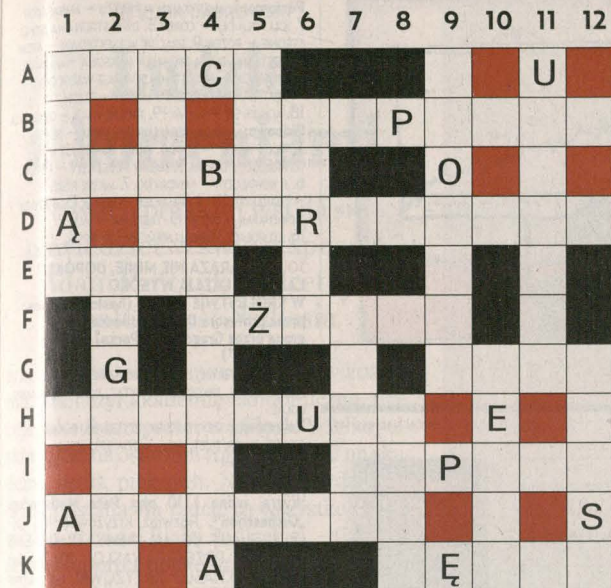
i od razu wyraził tę wątpliwość głośno. – A czy nasza zasługa jest to, czym się tak bardzo chwalimy? Gie-wont, szerokie plaże Bałtyku, mazurskie jeziora naszymi to niby, polskimi, rękoma zostały stworzone? – Szara nie dawała za wygraną i dalej zaczęła wymieniać dzieła człowieka: szpetota architektury (pomyśl na grę komputerową: znajdź na całej polskiej prowincji dziesięć ładnych domów. Stopień trudności: supertrudny), natłok reklam (przynajmniej w tym jesteśmy potęgą), oddolna inicjatywa społeczeństwa, by składowiska lodówek i opon zlokalizować w parkach narodowych, w ostateczności w zwykłych lasach. – Mówisz, jakbyś nie pamiętała o zniszczeniach wojennych... o dziedzictwie PRL-u! – zaprotestował

Szary, ale i tu żona prze-rwała mu, by udowodnić, że komuna jest jak pałac z Kafkowskiej „Ameryki” – zwała się na nią i to, w czym nigdy nie maczała palców: domy gargamele, wszędobylska kostka Bau-ma, która rok po ułożeniu fałuje niczym pukle Palikota, luksusowe osiedla z blokami ściśniętymi jak więźniowie w Alcatraz (kiedyś nie było architektury, ale była planistyka; teraz – na odwrót), bazyry o nazwie Manhattan, wyjścia z metra dziwnym trafem zawsze zaprojektowane nie tam, gdzie trzeba. No i PKP, które zebrzą o kolejne pieniądze, podczas gdy za żadne pieniądze nie chcą sprzedać swoich drogocennych terenów w centrach miast, na których dziś uprawiają chaszczę i zbierają kolekcję zardzewiałych szyn.

Po tych słowach Szary musiał potwierdzić, że Polska to jednak jakiś wieczny półprodukt, a on sam przestał otaczającą brzydotę dostrzegać. Kontekst potrafi zmienić wszystko – pomyślał – tak jak TVN zmienił brzydkie wyrazy Chylińskiej w piękne i teraz, gdyby nawet piosenkar-ka poleciała jakąś „k...ą”, w jej ustach i tak zabrzmiałoby to jak „bławatek” albo „aksamitka”. W ramach odwdu Szary włączył CD i cudowna Dag-mara Korona-Persowska zaśpiewała: „Bałagany, bałagany błogie, gdy niczego nie muszę, a mogę”, i pomyślał, że Polska jest jednak piękna, nawet z bałaganem. A może właśnie dzięki niemu? Bo Szary (jak każdy Polak) nic w niej nie musiał, a wszystko mógł.

JOLKA NR 9

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY 8-LITEROWE:

• CZŁOWIEK BEZCZYNU
• OSIÓŁ U OTIATRY
• KURSUNA NA TRASIE ARABICA-ROBUSTA
• PROCENTY PRZED PIERWSZYM

WYRAZY 7-LITEROWE:

• TRAFIA SIĘ DO NIEJ PO WYPADKU
• APAGE, POWAGO!
• DUMA JAKO ELEMENT KONSTRUKCYJNY

• DWUNOŻNOŚĆ OCALONA

WYRAZY 6-LITEROWE:

• PRZYGODA SPRZED GODÓW • MOŻNA Z NIĄ WYJŚĆ JAK ZABŁOCKI NA DZIKA • ORIENTUJ SIĘ, LUBY!

WYRAZY 5-LITEROWE:

• PRZYCIĄGA FANÓW WESTERNU
• NIEWZRUSZONY BAŁWAN • CO ŁÓDŹ,

TO MNIEJSZA NIŻ ŁÓDŹ
• SPOWIEDŹ KRWI • KOŁO PO CZOŁO • KONKURS Z DUDKIEM • SPISKUJE W BECZCE • TRZECIA ZMIANA W ZOO

WYRAZY 4-LITEROWE:

• WSZYSTKO MI MÓWI • ZAIKONOWE PORADY • RICHELIEU NA CHUSTECZCE
• MILADY • PRABRAT PRABRATOBÓJCY

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

FI_K11_D8_I11_E6_J5_J3_A2_E9_C3_ / A9_I10_B12_B3_G4_C11_I8_H2_D7_E2_.

LAUREACI Z NR. 5

KRZYŻÓWKA:

Wiesław Buczek, Gryfino;
Maria Dziamba, Tarnobrzeg;
Ireneusz Luchowski, Tarnobrzeg;
Małgorzata Rugień, Gdańsk;
Quynh Trang Nguyen, Warszawa

JOLKA:

Irena Frolowicz, Gliwice;
Bolesława Kozicka, Radłów;
Ewa Łagoda, Nakło;
Wiesława Swoboda, Żelów;
Maria Wysocka, Bydgoszcz

WILKOŁAK — MONODRAM

WYSTĘPUJE:
WILKOŁAK

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

WILKOŁAK: (chwilowo w ludzkiej postaci):

– Z góry przepraszam za to, co zdarzy się za chwilę (wzdycha). A co wydarzy się za chwilę? Otóż za chwilę dostanę drgawek (dostaje drgawek), konwulsji (dostaje konwulsji), porosną sierścią (porasta sierścią) oraz ogólnie rzecz biorąc, upodobnie się do wilka (upodobnia się do wilka; pauza). Najgorsze jest jednak to, że za moment wleżę na jakiś kamień i zacznę wyć do księżyca (włazi i wyje; pauza). Przepraszam. To w najwyższym stopniu żenujące.

KURTYNA zapada z litością.

LEWO
MYŚLNIE

Ankieta kandydacka Kilka osób ubiega się o urząd Prezydenta RP. Ich poglądy na większość spraw są mi nieznane. A chciałbym je znać. Dam im szansę. Oto ona

ROMAN KURKIEWICZ

ZORIENTOWAŁEM SIĘ OSTATNIO, że kilka osób zamierza się ubiegać o urząd Prezydenta RP. Ich poglądy na większość spraw, które są dla mnie ważne, są mi całkowicie nieznane. A chciałbym je znać. Dam im szansę. Oto ona.

Czy kandydat widział kiedyś muflona?
Gdzie kandydat był we wrześniu 1939 roku?

Ile wrzucił pieniędzy (łącznie) do puszek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy?

Dlaczego kandydat nie jest kobietą?

Czy kandydat woli landrynki, czy krówki?

Kiedy kandydat ostatni raz przejechał 10 km rowerem po mieście?

Czy kandydat czytał już książkę Artura Domosławskiego o Ryszardzie Kapuścińskim?

A dlaczego jeszcze nie czytał?

Ilu całowy jest największy telewizor kandydata?

Czy kandydat jeździ na desce, czy na nartach?

Czy kandydat ma poczucie humoru?

Czy kandydat mógłby tego dowieść, opowiadając jeden dowcip?

Czy kandydat mógłby w takim razie dowieść czegoś innego?

Kiedy kandydat rzucił palenie i picie?

Kiedy kandydat rzucał śnieżkami?

Czy kandydat słucha Chopina poza Rokiem Chopinowskim?

Czy władza obcym językiem?

Czy władza mieczem?

Czy wyjaśni sprawę więzień CIA w Polsce?

Czy sam się czeszesz?

Czy pisze pamiętnik?
Pies czy kot?

Makowiec czy budyń?

Chiny czy Rosja?

Łądowe czy powietrzne?

Góry czy morze?

Pola czy łąki?

Państwowe czy prywatne?

A do jakich szkół chodzą dzieci?

A czy krzyże mają wisieć w szkołach publicznych?

Czy budowa meczetu w Warszawie jest OK, czy nie OK?

Czy małżonka/małżonek pracuje zawodowo?

Kiedy kandydat korzystał ostatnio z państwowej służby zdrowia?

Czy TOK FM, czy Radio M?

Czy Karnowski Michał, czy Jacek?

Olejek czy Gargas?

Żakowski czy Najsztub?

Czy kandydat wybiera się na tegoroczną manifestację?

Kawa czy herbata?

Pomarańczowy czy fioletowy?

Na prąd czy na ropę?

Głębiej czy płycej?

Długo czy krótko?

Zgodnie czy zadziornie?

Tak czy owak?

I czy a?

Czy kandydat ma konto na Facebooku?

Śrut czy kula?

Czkawka czy bezdech?

Uniwersytet czy politechnika?

Karty czy automaty?

Chwin czy Chutnik?

Dlaczego kandydat?

A dlaczego nie?

Dziękuję za wypełnienie ankiety i odsłanie na adres redakcji „Przekroju”.

MYŚLNİK

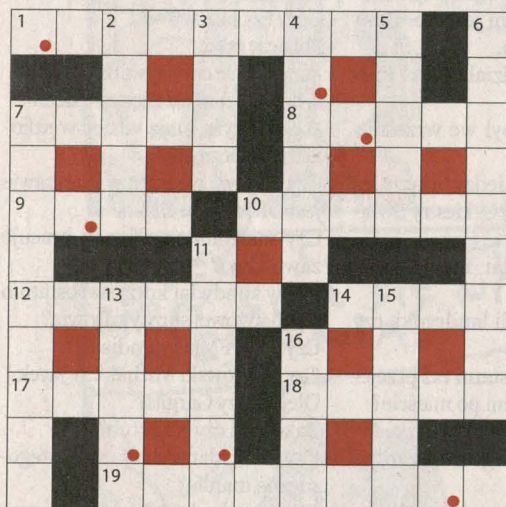
Człowieku, przedstaw dowód na istnienie samego siebie!

Krzysztof Bilica

FOT. BOGDAN KRZEL



KRZYŻÓWKA NR 9



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo tworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. PUCHAR POCIESZENIA
7. JAK NIE BIJE, TO ZABIJE
8. ACY FORDA
9. WOLNOŚĆ LUB POKÓJ
10. DO WYNOSENIA LUDZI
12. WYJŚCIE Z MIESZKANIA
14. MUR BERLIŃSKI
17. KOBIEȒA I ŻYCIE
18. W GORĄCEJ WODZIE KĄPANA
19. SZYBSZY OD POCIĄGU

PIONOWO:

2. POD TAPETĄ
3. MIŁOŚĆ PLATONICZNA
4. PIĘTA GRUPY ACHILLESA
5. MAŁA NOSTRA
6. PIERWSZY CZŁOWIEK NA KSIĘŻYCU
7. O LASCE
11. Z MŁODEJ PIERSI SIĘ WYRWAŁ
13. SYN LOTA
15. KOBRA INACZEJ
16. OSTATNIE HASŁO

stereo.pl

ROZWIĄZANIA Z NR. 7

KRZYŻÓWKA: BONANZA

Poziomo: 1. AMERYKANIN W PARYŻU — AMBASADOR 7. JOL I OLA OLA — CÓRKA 8. DZIE STRONY NA WIDNEJ STRONIE — POZEW 9. PRACUJE W ELEKTROWNI — ATOM 10. OSTATNIA PŁYTA MICHAELA JACKSONA — MATHUR 12. O AGACIE — AMULET 14. SZYCHA Z WACHÓWKA — OPAT 17. DZIE SZÓSTKI Z MATMY — TUZIN 18. KOKOSI SIĘ — PALMA 19. TROCHĘ RACI — DEKORACJA

Pionowo: 2. PADA NIEDALEKO OD JABŁKA — BEH 3. WODY WARTY — STAN 4. KAŻDY KURACJUSZ MUSI PRZEJŚĆ — DEPTAK 5. MĄDRY PODCZASY — POZIUM 6. J. KOWALCZYK — FAWORYTKA 7. JAK SIĘ PISZE — CHARAKTER 11. LISTA MARZEŃ — SENNIK 13. BUDUNEK Z OKIENKAMI — URZĄD 15. TAKI SAM — PALEC 16. CO POLACY STAWIAŁI NIEMCOM? — OPÓR

JOLKA: ZARAZA NIE MINIE, DOPÓKI ŁABĘDZIE LATAJĄ WYSOKO W KRÓLESTWIE WESTY (hasło zmyślone przez profesora Davida Pollocka [postać grana przez Gregory'ego Pecka] w filmie „Arabeska”)

Rzędami: WERWA, UCHWYT, LISTOWIE, LWICA, WSPÓŁRZĘDNE, REKORDZISTA, CYTAT, WIEŚNIAK, KAMRY, KOLAŻ

Kolumnami: CIEK, ELIKSIRY, ETYKA, WĄTRÓBKA, OTWÓR, DWÓR, DUET, CIELE, WDZIAŃKO, WOLIN, CENTRALA, TUJA

Wygraj jedną z 10 płyt Pata Metheny'ego „Orchestron”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO JOLKI lub PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przechrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 9” lub „krzyżówka 9”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 8 marca 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przechrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

KUBA DĄBROWSKI

Ludzie z korzeniami

Nawet o polskiej wsi da się powiedzieć w świeży sposób. Adam Pańczuk portretuje społeczność Podlasia

ROK 2005. ADAM PAŃCZUK MIESZKA W POZNANIU. Skończył akademię ekonomiczną, pracuje jako fotoreporter w „Głosie Wielkopolskim”, jest na ostatnim roku fotografii na akademii sztuk pięknych. Niemniej z dnia na dzień postanawia rzucić do wszystkiego i wrócić do rodzinnej Białej Podlaskiej. — Czulem, że jako reporter popadam w rutynę — tłumaczy fotograf. — Chciałem zrealizować duży dokumentalny projekt, humanistyczną opowieść utrzymaną w tradycji agencji Magnum. Pomyślałem, że skoro wychowywałem się na prowincji, mam babcię na wsi, to ten temat będzie dla mnie najłatwiej dostępny. Wchodziliśmy akurat do Unii, wydawało mi się to ciekawe. Chciałem zrobić z tego dyplom na akademii.

Pracę Pańczuk zaczyna we wsi Lubenka, dokumentuje tradycyjne nabożeństwa majowe. Lokalna ludność początkowo nie jest nastawiona do niego przychylnie. — Skakał jakiś z aparatem jak wariat, łysa pała, wyskakiwał przed procesję — wspomina jeden z mieszkańców. Fotograf stosuje klasyczne dziennikarskie metody. Zaprzyjaźnia się z bohaterami, oswaja ich z aparatem, przynosi odbitki zrobionych wcześniej zdjęć. Ludzie zaczynają rozumieć, czemu służy to dziwne skakanie, przekonują się do „łysej pały”. Z czasem otwierają się kolejne drzwi. Pańczuk fotografuje obrzędy, pracę, czas wolny... — Im głębiej wchodziłem w tę rzeczywistość, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że w typowych fotografiach nie uda mi się pokazać tego, co jest w tym świecie faktycznie ważne — mówi. — Zorientowałem się, że tu nie chodzi o kontekst wejścia do UE, tylko o ludzką mental-

7 Dokument to ślad rzeczywistości. Robię pozowane zdjęcia, ale to ciągle jest dokument, dokument o mentalności fotografowanych ludzi

ADAM PAŃCZUK

ność. Przywiązanie do ziemi, pogodzenie z losem, gotowość na śmierć. Wiedziałem, że chcę o tym opowiedzieć, ale nie wiedziałem jak.

W 2006 roku, kiedy zbliża się czas oddania dyplomu, fotograf zaczyna portretować aktorów z teatru obrzędowego Czeladońka. — Wymyśliłem, że chciałbym, aby zdjęcia wyglądały jak zrobione przez człowieka sprzed stu lat, który znalazł aparat z instrukcją obsługi i próbuje sobie z nim jakoś poradzic. Zastanawiałem się, jak taki ktoś by kadrował, jakie błędy by popełniał. To był mój mentalny punkt wyjścia. Teatralne portrety pokazują Pańczukowi nowy sposób obrazowania, kreacja okazuje się sposobem na dokumentowanie bardziej ulotnych spraw. Oswojonych „zwykłymi” zdjęciami bohaterów nie trzeba przekonywać do współpracy. — Mówili: to ty jesteś artystą, wystarczy, że ty wiesz, o co chodzi. Pozują, trzymając kamienie, dają się płącać w sieci i zakopywać w dołach. Powstaje cykl „Karczeby” — w podlaskiej gwarze słowo to oznacza ludzi przywiązanych do swojej ziemi. □

Wystawę Adama Pańczuka do 7 marca można oglądać w warszawskiej Yours Gallery

ŁADNE RZECZY!

✓ Trochę miś, trochę robot, czyli **Qee Bear**. Ten jest wyjątkowo duży — ma 20 cm



➤ Autor tego **Mad*I**, Otecki, zanim zaczął robić zabawki, malował graffiti



OLA SALWA

Brzydko się bawimy

A im brzydziej, tym jest fajniej

JEŚLI W DZIECIŃSTWIE ODRZUCAŁAS histerycznie przesłodzone laleczki Barbie, a teraz was mdli na widok kociaka Hello Kitty, proponujemy antidotum. Nieładne, jak sama nazwa wskazuje, Ugly Dolls oraz wszelkiej maści designer toys. Te ostatnie najczęściej zrobio-

ne są z akrylu i występują w różnych kształtach, kolorach i rozmiarach. Wiele z nich to autorskie projekty artystów, inne są przetworzonymi bohaterami z bajek Disneya, „Gwiezdnych wojen” czy „Star Treka”. I choć brzydkie, są bliżej krwioobiegu popkultury niż wszystkie filmowe gadżety wyprodukowane dla sieci fast foodów razem wzięte. Jeżeli nie chcecie inwestować w szpetne zabawki, zróbcie sobie własne — kupcie w supermarkecie zwykłego misia i sprawcie, by mu odpadło oczko. □

➤ Szkaradne, ale pocieszne **Ugly Dolls** szyte są z różnych materiałów, ale nigdy z uroczym miękkich. Te obok są z filcu

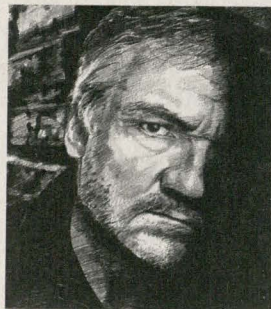


➤ W tym wydaniu **Dr. Mabuse** Dennisa Wojdy wygląda nawet miło. Groźnej wersji szukajcie w filmach Fritza Langa

➤ Chciecie się pozbyć arachnofobii? **Munny** Aleksandry Waliszewskiej oswoi was z widokiem pajaków

➤ **Patchwork Girl** Alexa Urbana też należy do typu Munny. Od różu majtkowego woli fuksję





Gdy w Krakowie w sławnym 1981 roku 70-letni Czesław Miłosz wkroczył do wypełnionej po brzegi sali w Collegium Witkowskiego – ujrzeliśmy przed sobą szparkiego 40-latka w dżinsach i tweedowej marynarce. Długowieczność musi zacząć się za młodu. Wtedy byliśmy za młodzi, żeby to docenić czy w ogóle zrozumieć

JERZY PILCH

7 LUTEGO

OJCIEC, GDYBY ŻYŁ, OBCHODZIŁBY 87. URODZINY. Wynik mało prawdopodobny, ale możliwy. Zwłaszcza w jego pokoleniu. Choć i tu nie obywa się bez sprzeczności. Z jednej strony niezbita fakty dowodzą, że ludzie żyją coraz dłużej, z drugiej panuje powszechne przekonanie, że prawdziwie długowieczne były tylko dawne pokolenia. Dziś urodzone cherlaki sił ani odporności – zwłaszcza w porównaniu z dawnymi olbrzymami – nie mają prawie żadnych, ale to im przypadnie w dziesiątkach lat liczona premia. Nauka, a zwłaszcza medycyna, tak idą do przodu, że podobno – jak gdzieś niedawno przeczytałem – już teraz chodzą po ziemi ludzie, którzy spokojnie dojadą do 150. czy 160. roku życia. Na oko wygląda nieźle, jak się zastanowić: upiornie. Wydłużenie życia czy wydłużenie starości? Dożyć 150 w kondycji nawet sprawnego 90-latka toż to dosyć – delikatnie mówiąc – kłopotliwy tryumf. Nie, żebym się targował! Skąd! Występuję w imieniu paromiesięcznych gnojów, co jeśli faktycznie chodzą już po ziemi, to na razie w śpiocinach – ich formacja zdaje się najprędzej objęta będzie radykalnym wydłużeniem pobytu na planecie. Co w istocie mamy tym Potomnym do zaofiarowania? Dodatkowe kilkadziesiąt lat życia czy ekstra pół wieku dalszego odlewania się w pampersy, co, niestety, bywa na lekkomyślnie kontynuowaną starość?

Słowem musi być proporcja, ergo nie chodzi o wydłużenie życia, chodzi o stare marzenie o wiecznej młodości, a nawet – niech będzie – średniości. Wydłużenie sędziwości? – toż to nieprzyzwoitość gruba.

8 LUTEGO

GDY W KRAKOWIE W SŁAWNYM ROKU 1981 70-letni Czesław Miłosz wkroczył do wypełnionej po brzegi sali amfiteatralnej w Collegium Witkowskiego – ujrzeliśmy przed sobą szparkiego 40-latka w dżinsach i tweedowej marynarce. Długowieczność musi zacząć się za młodu. Wtedy byliśmy za młodzi, żeby to docenić czy w ogóle zrozumieć.

9 LUTEGO

JULIAN BARNES: „W DAWNYCH CZASACH LUDZIE nie żyli nawet w połowie tak długo, jak żyją obecnie. Czterdziestka uchodziła za niezły wynik, biorąc pod uwagę zarazy, wojny i lekarzy, którzy z taką samą skutecznością za-

bijali, co leczyli. Umrzeć na »wyczerpanie sił witalnych spowodowane nadzwyczaj podszłym wiekiem« oznaczało za czasów Montaigne'a rzadką, wyjątkową i nadzwyczajną śmierć. Obecnie zakładamy, że jest to nasze prawo. Philippe Ariès zauważył, że kiedy naprawdę zaczęto bać się śmierci, to przestano o niej rozmawiać. Przyczyniła się do tego w dużym stopniu większa długość życia: ponieważ sprawa nie wydaje się już tak nagła, uznano, że jej podnoszenie to rzecz makabrycznie niesmaczna”.

10 LUTEGO

O BARNESIE MOGĘ POWIEDZIEĆ PRAWIE TAK, jak on mówi o Montaigne'u: Jego stronił o śmierci, a też o Panu Bogu są erudycyjne, wyrafinowane, ironiczne. Nie tyle czytam, ile w koło kartuję ten autobiograficzny esej o tym, że z jednej strony nie ma czego się bać – z drugiej nie warto o niczym innym myśleć. Mam słabość do tego – sądząc z fotografii – trochę do Franka Rosseta podobnego, ciekawego, choć nieco, a nawet podwójnie pechowego pisarza. Pech pierwszy (niezawiniony) polega na tym, że przyszło mu tworzyć w epoce niezłej plejady brytyjskich prozaików i nieco jest w cieniu Amisa, McEwana, Rushdiego czy Lodge'a.

Pech drugi (zawiniony) polega na tym, że postanowił napisać książkę o Flaubercie i na dodatek uczynił to; i na jeszcze większy dodatek uczynił to znakomicie – tak jest, napisał doskonałą książkę o Flaubercie i stało się to, co musiało się stać: Flaubert go pożarł. Niektórzy geniusze mają smocze cechy: pożerają swych egzegetów. W tym wypadku było to pożarcie z kopytami; z kimkolwiek o Barnesie by się gadało, każdy, nawet ten, co doskonale wie, każdy, każdziutki musi się odruchowo upewnić: czy to ten od „Papugi Flauberta”? Tak ten. (I taką ma małą główkę? Tak! I taką ma małą główkę!) Inne tytuły Barnesa rozpoznawalne są słabiej, został panem od Flauberta; niezręcznie to – zwłaszcza komuś, kto uważa listy autora „Pani Bovary” za najwyższy wykład sztuki pisarskiej, a „Bouvarda i Pécucheta” za najgenialniejsze szaleństwo w dziejach epiki – niezręcznie to powiedzieć, ale Barnes zasługuje na więcej.

Oczywiście Flaubert na kartach „Nie ma się czego bać” obecny jest i duchem, i słowem. „W Paryżu, w jadłodajni Magny luźna

grupa pisarzy Flaubert, Turgieniew, Edmont de Goncourt, Daudet i Zola – omawiała wiadomą sprawę spokojnie i w przyjaznej atmosferze. Wszyscy byli ateistami albo poważnymi agnostykami, bali się śmierci, ale nie unikali tematu. Ludzie tacy jak my – pisał Flaubert – powinni wyznawać religię rozpacy. Trzeba stawić czoło swemu przeznaczeniu. Innymi słowy być obojętnym jak ono. Mówiąc: Tak po prostu jest! Tak po prostu jest! I spoglądając w głąb czarnego dołu u swoich stóp, zachowuje się spokoj”.

11 LUTEGO

GDY W MŁODOŚCI ZANOSIŁEM DO OCENY MOJEMU przyjacielowi i mistrzowi Kornelowi Filipowiczowi pierwsze opowiadania, pytał on: ile tekst ma stron? – Dwanaście – odpowiadałem. Kornel zamyślał się i po chwili mówił: piękny rozmiar. Otóż „Nie ma się czego bać” Juliana Barnes'a ma rozmiar nie tyle piękny, ile taki, jak Pan Bóg przykazał: 300 stron z niewielkim hakiem. Piękny rozmiar – ma się rozumieć – jak na powieść ma inna jego książka „Artur & George”. Nie czytałem, choć wiarygodne zachwyty o tym dziele – na przykład piórem Marcina Króla – zostały sformułowane. Nie czytałem, odkładałem te bez mała 600 stron na później, odkładałem, szczerze mówiąc, na czarną, a nawet najczarniejszą godzinę. Odkładałem na specjalne, latem wykonane, a przeznaczone na grube, a nawet bardzo grube tomy regały. Tak jest: na wieczność je obstałowałem. Tak jak gromadzę zapasy gauloises – gromadzę zapasy grubych, a nawet bardzo grubych książek. Sposób może nie na wieczność, ale na prolongatę ostatniego oddechu. Grube książki są twoimi Szeherazadami, twoją wodą życia.

Tylko grube książki są w twoim zasięgu – w kosmos nie polecisz, w olimpiadzie nie weźmiesz udziału, na mundial nie pojedziesz, w podróż dookoła świata nie ruszysz, nawet do Wenecji ci się już nie chce, masy rozmaitych rzeczy już nie dasz rady zrobić, ale nadzieję na przeczytanie grubej książki możesz mieć zawsze; czytać możesz ją długo, da ci ona bezpieczne schronienie; choćbyś był nie wiadomo jak przyciśnięty do muru, zawsze możesz wziąć do ręki „Historię Chin” albo wszystkie trzy tomy „Millennium”, albo „Artura & George'a”, albo inny – ciężki jak ocean – tom i zawsze możesz mieć złudzenie, że przed końcem – dopłyniesz, dobrniesz do końca.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W marcowym numerze SUKCESU
w prezencie dla Ciebie próbka
najnowszego zapachu
Dsquared SHE WOOD dla niej



SZUKAJ SUKCESU Z ZAPACHEM



PONADZASOWA POTRZEBA UMOWY MINUTOWEJ



Jej Wysokość Potrzeba Umowy Minutowej oraz Sekretarz
Stanu Ducha Abonenta mają przyjemność przedstawić
Umowę Minutową.

- tylko w Plusie umowa liczona w minutach rozmowy, a nie w latach.
- każda wydzwoniona minuta przybliży do nowej promocji i telefonu.
- dla Klientów przedłużających umowę oferta specjalna.

Jednocześnie uroczymy oznajmiamy Jaśnie Państwu Abonentom.

- teraz w Umowie Minutowej Jej Wysoka Jakość
Nokia E52 z superwytrzymałą baterią i GPS od 1 zł.

Plus

RAZEM LEPIEJ